

PRZE KRÓJ

NUMER 9/2906
4 MARCA 2001 r.

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)



CZY MIR SPADNIE NA KRAKÓW?

ISSN 0033-2488



9 770033 248014

Indeks 371424 • Y-9013-C



FILHARMONIA NARODOWA

Dyrektor Naczelny i Artystyczny KAZIMIERZ KORD

M A R Z E C 2 0 0 1

Czwartek, 1 III 2001, godz. 18.00, Sala Kameralna
Czwartkowe spotkania muzyczne
Koncert kameralny
W hołdzie Fryderykowi Chopinowi

Piątek, 2 III 2001, godz. 19.30, Sala Koncertowa, Abonament B1
Sobota, 3 III 2001, godz. 18.00, Sala Koncertowa, Abonament B2
Koncert symfoniczny
Orkiestra Symfoniczna Filarmonii Narodowej
Kazimierz KORD dyrygent
Murray PERAHIA fortepian
Program: Schumann, Czajkowski, Perkowski

BANK HANDLOWY W WARSZAWIE SA
Member of Citigroup

Wtorek, 6 III 2001, godz. 19.00, Sala Koncertowa, Abonament K4
Koncert z cyklu Arcydzieła kameralistyki
Urszula KRYGER mezzosopran
Wojciech DRABOWICZ baryton
Tomasz HERBUT fortepian
Program: BAIRD, LUTOSŁAWSKI, PADEREWSKI

Czwartek, 8 III 2001, godz. 18.00, Sala Koncertowa, Abonament M1
Czwartkowe Spotkania Muzyczne
Koncert symfoniczny
Orkiestra Symfoniczna Filarmonii Narodowej
Marek PIJAROWSKI dyrygent
Patrick GALLOIS flet
Program: ŻELEŃSKI, MERCADANTE, RESPIGHI

Piątek, 9 III 2001, godz. 19.30, Sala Koncertowa, Abonament E1
Sobota, 10 III 2001, godz. 18.00, Sala Koncertowa, Abonament E2
Koncert symfoniczny
Orkiestra Symfoniczna Filarmonii Narodowej
Marek PIJAROWSKI dyrygent
Patrick GALLOIS flet
Program: ŻELEŃSKI, PENDERECKI, MERCADANTE, RESPIGHI

Niedziela, 11 III 2001
godz. 11.00, Sala Kameralna, Abonament Dz1
godz. 14.00, Sala Kameralna, Abonament Dz2
VI Koncert dla dzieci Młodsza siostra wielkiej orkiestry
Prowadzenie: Ciocia Jadzia – Jadwiga MACKIEWICZ

Wtorek, 13 III 2001, godz. 19.00, Sala Koncertowa, Abonament K2
Recital organowy
Gillian WEIR organy
Program: FRANCK, WIDOR, MESSIAEN, DURUFLÉ, VIERNE

Czwartek, 15 III 2001, godz. 18.00, Sala Koncertowa, Abonament M2
Czwartkowe Spotkania Muzyczne
Koncert kameralny
POLISH ORGAN DUO
Karol GOŁĘBIEWSKI
Zygmunt STRZEP
Program: HANDELM, J.S. BACH, HASSE, MERKEL, RUTTER

Piątek, 16 III 2001, godz. 19.30, Sala Koncertowa, Abonament A1
Sobota, 17 III 2001, godz. 18.00, Sala Koncertowa, Abonament A2
Koncert symfoniczny
Orkiestra Symfoniczna i Chór Filarmonii Narodowej
Tamás VASÁRY dyrygent
Konstanty Andrzej KULKA skrzypce
Program: MALAWSKI, LAŁO, LISZT

Wtorek, 20 III 2001, godz. 19.00, Sala Koncertowa, Abonament K3
Koncert kameralny z cyklu Muzyka dawna
THE ENGLISH CONCERT
Trevor PINNOCK kierownictwo artystyczne, klawesyn
Rachel PODGER skrzypce barokowe
Program: HANDELM, PISENDEL, HAYDN

The British Council

Czwartek, 22 III 2001, godz. 18.00, Sala Kameralna
Czwartkowe Spotkania Muzyczne
Koncert kameralny
KWARTET CAMERATA
HENSCHEL QUARTETT
Program: JANÁ EK, GRIEG, GLIER

Piątek, 23 III 2001, godz. 19.30, Sala Koncertowa, Abonament D1
Sobota, 24 III 2001, godz. 18.00, Sala Koncertowa, Abonament D2
Koncert symfoniczny
Orkiestra Symfoniczna i Chór Filarmonii Narodowej
Jerzy SEMKOW dyrygent
Izabella KŁOSIŃSKA sopran
Henryk WOJNAROWSKI kierownik chóru
Program: SZYMANOWSKI, BEETHOVEN

Niedziela, 25 III 2001
godz. 11.00, Sala Kameralna, Abonament Dz1
godz. 14.00, Sala Kameralna, Abonament Dz2
VII Koncert dla dzieci Młodsza siostra wielkiej orkiestry
Prowadzenie: Ciocia Jadzia – Jadwiga MACKIEWICZ

Wtorek, 27 III 2001, godz. 19.00, Sala Koncertowa, Abonament K5
Koncert kameralny z cyklu Słynne kwartety
KWARTET SŁĄSKI
Anna RECHLEWICZ I skrzypce
Arkadiusz KUBICA II skrzypce
Łukasz SYRNICI altówka
Piotr JANOSIK wiolonczela
Prowadzenie: MENDELSSOHN- BARTHOLDY, LASOŃ, SZOSTAKOWICZ

Czwartek, 29 III 2001, godz. 18.00, Sala Koncertowa, Abonament M1
Koncert symfoniczny
Czwartkowe Spotkania Muzyczne
Orkiestra dęta Akademii Muzycznej im. F. Chopina w Warszawie
Paweł PRZYTOCKI dyrygent
Krzysztof BEDNARCZYK trąbka
Roman SIWEK puzon
Program: VERDI, RIMSKI-KORSAKOW, LUTOSŁAWSKI, REED, ARUTUNIAN, MAŁECKI, BERNSTEIN

Piątek, 30 III 2001, godz. 19.30, Sala Koncertowa, Abonament B1
Sobota, 31 III 2001, godz. 18.00, Sala Koncertowa, Abonament B2
Koncert symfoniczny
Orkiestra Symfoniczna i Chór Filarmonii Narodowej
Warszawski Chór Chłopcy przy Akademii Muzycznej im. F. Chopina
Jerzy SEMKOW dyrygent
Ewa PODLEŚ kontralt
Henryk WOJNAROWSKI kierownik chóru
Krzysztof KUSIEL-MOROZ kierownik chóru chłopięcego
Program: MAHLER

Kasy Sali Koncertowej czynne w godz. 10.00-14.00; 15.00-19.00 – tel. 55-17-130, 55-17-131
Kasa Sali Kameralnej czynna w dniu koncertu w Sali Kameralnej
od 16.00 do godziny rozpoczęcia koncertu oraz w niedzielę przed koncertami dla dzieci
od 10.00 do 14.00 – tel. 55-17-132.
Informacja o biletach – 55 17 128.
Rezerwacja biletów – tel. 55 17 130 (w godz. 10.00- 15.00)

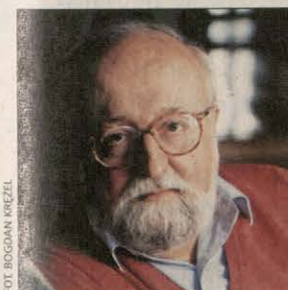
e-mail: bilety@filharmonia.pl
Najaktualniejsze informacje na naszej stronie internetowej
www.filharmonia.pl

FILHARMONIA NARODOWA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIANY REPERTUARU.



FOT. JACEK ODWINISZAK/REPORTER

10 PANOPTIKON WIELKIEGO BRATA. Przedstawiciel producenta, zapytany o wartości serialu „Big Brother”, w ogóle nie zrozumiał pytania. Bo w takich programach nie chodzi o rozum i ambicje, lecz o to, aby zrobić kasę na zaspokajaniu najniższych instynktów telewidzów – IZABELLA BODNAR, WOJCIECH CZUCHNOWSKI, BARBARA PAJCHERT.



FOT. BOGDAN KRZEL

16 LABIRYNT NA PIĘCIOLINII. – Nie należy robić ze swojego warsztatu ołtarza. Ktoś, kto posiadał tajniki wiedzy i doświadczenia, powinien mieć dystans do własnej twórczości i umieć się tym bawić – mówi KRZYSZTOF PENDERECKI w rozmowie z JUSTYNĄ TAWICKĄ.

62

BAJKA DLA DOROSŁYCH.

Weź kilkuset bogów, co najmniej kilka demonów, trochę zwierząt, jednego obłąkanego architekta. Dodaj szczyptę szaleństwa, nieco okrucieństwa, garść tolerancji, kroplę mądrości, dosyp magii czarnej i białej, zamieszaj, potrząśnij i rozsyp to wszystko w okolicy najwyższych gór świata. Wtedy zrozumiesz, co to jest Katmandu – ETA ZARĘBA.



FOT. ETA ZARĘBA

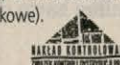
PRZEKRÓJ WYDAWNICTWO „PRZEKRÓJ” Sp. z o.o. ADRES: 31-012 Kraków, ul. Reformacka 3 lub 30-960 Kraków I, skrytka pocztowa 533, e-mail: prze_red@przekroj.pl; TELEFONY – łączą centrala: (012) 422-18-33, 422-18-72, 422-59-54, 422-18-92, 421-91-37. Fax: (012) 421-49-29, 422-70-61.
ZAŁOŻYŁ w Krakowie Marian Eile. REDAKTOR-SENIOR: Ludwik Jerzy Kern. PREZES ZARZĄDU I DYREKTOR WYDAWNICTWA: Leopold Stefański. REDAKTOR NACZELNY: Maciej Piotr Prus. Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO: Piotr Bikont. SEKRETARIAT ODPOWIEDZIALNY: Mirosław Chomko, Józef Lubiński, Andrzej Ruchalski. KIEROWNICY DZIAŁÓW: Aktualności – Jerzy Piekarczyk, Kultura – Marcin Baran, Ludzie i obyczaje – Wojciech Czuchnowski, Nauka i zdrowie – Janusz Marjan, Rozmaitości – Marcin Fedisz, Publicysta – Leszek Mazan. KIEROWNIK ARTYSTYCZNY – Bożena Kalinowska. FOTOEDYTOR: Marcin Kędryna. PRACOWNIA GRAFICZNO-KOMPUTEROWA: Joanna Sroka (kierownik), Piotr Gidlewski. KOREKTA: Barbara Wojtanowicz (kierownik). PRODUKCJA – Andrzej Laurisz. WYDAWNICTWO: gl. księgowo – Halina Zięba, kolportaż – Barbara Bagińska (kierownik). DZIAŁ PROMOCJI: Anna Korwin (kierownik), Wacław Kaczmarski („Złoty Grosz”). DZIAŁ REKLAMY: Biuro w Warszawie – ul. Wolska 45 A, tel./fax (022) 631-46-68, 631-35-62, Halina Sułkowska. Biuro w Krakowie: (012) 422-70-61, Marzena Kiedacz. NASZE KONTO: Bank Pekao SA – Grupa Pekao SA O/Kraków nr 12401431-7010439-2700-401112-001. DRUK: Donnelley Polish American Printing Company DPA Kraków. PRENUMERATA – krajowa: terenowe oddziały Ruch SA, wszystkie urzędy pocztowe oraz redakcja; zagraniczna: Ruch SA, Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy, 00-958 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33. Konto: Pekao SA IV O/Warszawa, nr 12401053-40060347-2700-401112-001, tel. +48(22) 5328-731, fax +48(22) 5328-732 oraz redakcja (wpłata na podane wyżej konto bankowe). Artykułów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

Loża dzisiaj OLBRYCHSKI	4
Tygodnik	5
Przekrój tygodnia	6
Temat w „Przekroju”	10
Rada na Zachętę	
Minister kultury powołuje rady programowe dla galerii	14
Spadający Mir	
Mir ciągle dostarcza emocji	21
Świat	24
Przekrój kulturalny	
VOO VOO, POKEMONY	26
Nie potrafię powiedzieć wszystkiego	
Rozmowa z artystą plastykiem Milanem Knižákem	36
Galeria: BALTHUS	38
Bikont grzebie	
w starych „Przekrojach”	46
Mieszanka firmowa	48
Francuski punkt widzenia	
Papież JAN PAWEŁ II na 60 zdjęciach	50
Formy	54
Dziennik duszy	
ADAMA WIEDEMANN	59
Rozmowy przy obrazach	60
Tu i tam	62
Twardziel znad Węławy	
Stalin mordował swe ofiary jeszcze po śmierci	66
Co Pan na to, Panie LEM	69
Nauka	70
Internet	72
Instrukcja obsługi telewizora	74
Sport	75
Kuchnia	76
Kwestionariusz Prusa	
Odpowiada LEW-STAROWICZ	77
Listy	78
Krzyżówki	80
Szatnia – dzisiaj KEFF	82
Rozmaitości	84

MECENAS ROKU JUBILEUSZOWEGO FILHARMONII NARODOWEJ
I SPONSOR CYKLU WIELCY PIANIŚCI Z IDEA



MECENAS ROKU JUBILEUSZOWEGO FILHARMONII NARODOWEJ
BANK HANDLOWY W WARSZAWIE SA
A member of Citigroup



Nakład: 80 000 egz.



FOT. Z ARCHIWUM PRZEMISŁA

CHCIAŁEM O KONIACH, PSACH...

Drogi Mecenase Wende, Edwardzie – to do Ciebie. Chciałem napisać wreszcie o czymś, co kocham. Nie powiem, czasami można pokochać ludzi, ale często trudno, a nigdy bezkrytycznie. Bezkrytycznie kocham tylko zwierzęta. Właśnie konie, psy, koty, szpaki, które zaraz przylecą do budek w moim ogrodzie, bociany, co też pewnie niedługo wylądują przy moim domu w Drohiczynie.

Niestety – znowu mnie wzięła cholera. Tym razem na polski wymiar sprawiedliwości. Niemożność jego usprawienienia, sprawienia, by sprawiedliwość stała się w końcu sprawiedliwa i nieopieszata, porównać można tylko do niemożności i opieszatości budowania w Polsce autostrad.

Mecenas Edward Wende, kiedyś senator, teraz poseł Unii Wolności, od wieków mój Kolega, twierdzi, że prawo w Polsce jest świetne, natomiast winni czasami! (wykrzyknik mój – D.O.) są ludzie, którzy je egzekwują. Ślepy by zauważył, że tych, co je (to świetne prawo) głu- pio egzekwują, jest chyba za dużo.

Może więc niewłaściwi ludzie idą studiować prawo albo może właściwych ludzi niewłaściwie uczyć. Oby jak najdłużej ministrował nam Lech Kaczyński. Życzę Mu i nam, aby po uporządkowaniu spraw najważniejszych, za które wziął się z energią, odwagą i jak już wyraźnie widać, skutecznością, dotarł do etapu, od którego zaczyna się normalność szarego życia. Na tym etapie ma się czuć bezpiecznie anonimowy człowiek, który na razie nie może dojść swoich praw w elementarnych i – zdawałoby się – oczywistych sprawach. Dochodzi ich latami, często bezskutecznie.

Jeśli jest uparty i naiwnie w prawo wierzy, nierzadko dostaje zawatu. W sanatorium dowiaduje się, że następna rozprawa będzie za rok, więc, mimo hartu ducha, z wściekłości i bezradności – umiera. Mam

Znowu mnie wzięła cholera. Tym razem na polski wymiar sprawiedliwości.

dość bogate doświadczenie osobiste, więc wiem, że liczne głosy, jawnie mówiące o impotencji polskiego wymiaru sprawiedliwości, nie są gołosłowne. Przykłady można by mnożyć. Podam kilka.

Przypadek pierwszy. Przed kilku laty kupiłem mieszkanie od znajomego. Okazało się – był oszustem. Sprzedał mi mieszkanie jako wolne od zobowiązań. Potwierdziła to księgowa spółdzielni, która zaraz potem poszła na emeryturę. Okazało się jednak, że jest obciążone kredytem budowlanym. Sąd bezradny, adwokat bezradny, ja bezradny, a sprawa jakby prosta. Zapłaciłem swój – nie swój kredyt, koszty adwokata. Złodziej chichotał, bo za moje pieniądze wybudował sobie willę w moim sąsiedztwie... Mijając go, mogłem tylko mówić „witaj oszuście” był przyzwyczajony.

Przypadek drugi. Przed kilku laty użyto mojej twarzy do reklamy koniaku Hennessy. Bez mojej zgody, bez umowy. Opublikowano plakaty (trzy różne) ze mną w roli głównej, w poczytnych polskich magazynach. Wystąpiłem o odszkodowanie. Wszyscy wiedzą, że mam rację. Co z tego, kiedy od czterech lat sąd obraca moim wadium, a wszyscy czekamy na zeznania świadka z Australii? Ostatnio dowiedziałem się nawet, że właśnie nadeszły, niestety, po drodze zaginęły najważniejsze strony. I jak tu nie kpić?

Przypadek trzeci. Pijany kierowca uderzył w bok mojego samochodu w zimowy wieczór na dwupasmówce pod Oleśnicą. Uciekł z miejsca wypadku. Potem tłumaczył w sądzie, że to nie był on. Udowodniono mu winę. Świadkowie potwierdzili, że był pijany. A ponieważ facet migał się, nie był na rozprawach, a Oleśnica daleko, zeszło nam sporo czasu – ponad rok. Wyrok jest, ale co mi z tego. Samochód sprzedałem, pieniędzy za remont nie odzyskałem do dziś. Będę musiał znów dać sądowi w Oleśnicy pracę i założyć pijakowi nową sprawę. A czasu na podróże mi szkoda. Zwłaszcza do Oleśnicy. No – ale trzeba będzie się skupić. Szkoda, że sąd nie załatwia takich prostych spraw za jednym zamachem.

I jak tu się, Drogi Edwardzie, nie pieklić. Gdyby nie to, że ciągle jeszcze różni reżyserzy proszą mnie do tańca, więc kalendarz dość zajęty, zostałbym chyba przykładowym pieniaczem. A tak – niestety – do roboty. Jaka szkoda – dzięki Bogu. Ale może Ty byś się leciutko poderwał? A może Twoi Koledzy? Sam minister Kaczyński nie da rady. A prawo ciągle nie jest prawem!

Z przyjaźnią

Daniel Olbrychski

ŚRODA 28 LUTEGO 2001

Hilarego, Makarego, Romana
Wschód słońca: 6.24. Zachód: 17.13.

● 40 dni na przemyslenia. Popielec rozpoczyna czas Wielkiego Postu.

● Finowie, przywiązani do baśni, obchodzą Dzień Kalewali – narodowego eposu opublikowanego w 1835 r.

CZWARTEK 1 MARCA 2001

Albina, Antoniego, Feliksa
Wschód słońca: 6.22. Zachód: 17.15.

● Atomowy grzyb rozkwitł w 1954 r. nad atolem Bikini.

PIĄTEK 2.03.2001

Agnieszki, Halszki, Heleny
Wschód słońca: 6.20. Zachód: 17.17.

● „Piłka jest jedna, a bramki dwie”. 80 lat temu urodził się autor tego błyskotliwego powiedzenia – Kazimierz Górski.

● Najszybszy pasażerski samolot świata (moc mają 4 silniki odrzutowe Rolls-Royce'a), concorde, zadebiutował w przestworzach w 1969 r.

SOBOTA 3.03.2001

Kunegundy, Maryny, Pakosława
Wschód słońca: 6.18. Zachód: 17.19.

● Kolejny argument za pozytywnym myśleniem: wg brytyjskich lekarzy optymiści krócej chorują na grype. U osób depresyjnych walka z wirusem grypy trwa średnio 3 do 5 dni dłużej.

NIEDZIELA 4.03.2001

Łucji, Kazimierza, Jagody
Wschód słońca: 6.16. Zachód: 17.23.

● Średnia waga dorosłego mężczyzny, mieszkańca Europy i USA, w ostatnich 10 latach wzrosła statystycznie o 4,2 kg. Kobiety – o 3,8 kg. Wkrótce wiosna, czas zrzucania zimowych kurtek.

PONIEDZIAŁEK 5.03.2001

Adriany, Oliwii, Fryderyka
Wschód słońca: 6.14. Zachód: 17.25.

● Przed 55 laty w Fulton, stan Missouri, premier Winston Churchill użył określenia „żelazna kurtyna”. Trzeba było lat, by przerdzewiała.

● 100 lat temu urodził się Julian Przyboś. Niegdyś skandalista poetycki, dziś klasyk i autor ze szkolnych wypisów.

WTOREK 6.03.2001

Róży, Jordana, Wiktora
Wschód słońca: 6.11. Zachód: 17.23.

● Andrzej Wajda kończy 75 lat. Jedyne polski reżyserski Oskar za całokształt. Jedyne, który tak fra- Nieśmiertelnego Akademii Francuskiej nosi. Sto lat!

DOBRE SŁOWO

„Śmiech jest dla duszy tym, czym tlen dla płuc”
– Louis de Funes

ŚRODA 28.02.2001

STOMPI! I wszystko jasne. Teatralny dynamit. Mało słów, a tańca wiele. Także dźwięku (wydobywanego m.in. z solidnych brytyjskich kubłów na śmieci).

Teatr żywołowych, pierwotnych brzmień. Zespół zadebiutował w 1991 r. na festiwalu w Edynburgu. Ma w dorobku występy w ramach „off Broadway”, liczne nagrody, w tym Srebrnego Lwa w Cannes za reklamę „Apples”. W ubiegłym roku gościł w Polsce. Powrócił i jeszcze do 4 marca prezentuje się na scenie Teatru Roma w Warszawie. Potem – Teatr Muzyczny w Gdyni (6–11.03) i Teatr Wielki w Poznaniu (13–18.03).

W Teatrze Muzycznym w Gdyni eksportowy koncert dwóch krakusów – Grzegorza Turnaua i Andrzeja Sikorowskiego. Będzie śmiesznie i nostalgicznie, solo i w duecie, i, oczywiście, po krakowsku.



FOT. AGENCJA GAZETA



FOT. TVN

POGODA na cały tydzień

Często zapominamy o tym, ale bóle głowy i senność w szary deszczowy dzień przypominają nam o wahaniach ciśnienia. Do tego dochodzą nagle przeskoki temperatury. 12 grudnia 1998 r. w Jeleniej Górze w ciągu 20 godzin temperatura wzrosła o około 30 st. W sobotę o godz. 6 zanotowano w tym mieście –22 st. C., w niedzielę przed południem +7. 22 stycznia 1943 r. w Spearfish (płd. Dakota) w zaledwie dwie minuty temperatura zmieniła się z –20 st. na +7,2. Na razie czeka nas powrót zimy, z mrozem w dzień do –8 st., a nocą do –15. Przy północnym wietrze należy się spodziewać opadów śniegu. Tak więc, im bliżej wiosny, tym więcej zimy. Jeśli wierzyć tym, co obserwują przyrodę, na ciepło trzeba będzie poczekać do kwietnia.

TOMASZ ZUBILEWICZ (TVN)

IMIĘ TYGODNIA: KAZIMIERZ – z języków słowiańskich ten, który niszczy pokój. Imię królów i książąt z rodu Piastów oraz Jagiellonów. Jedno z nielicznych imion polskich znanych na Zachodzie. U nas coraz rzadsze – w Warszawie w roku 2000 nadano je tylko czterokrotnie.





SWOJSKIE NUTY KRAKOWIAKA

Rozpoczął się proces, jakiego nie było w dziejach polskiego sądownictwa. Wymagania bezpieczeństwa, których nie mógł spełnić budynek katowickiego sądu sprawiły, że rozprawy przeniesiono do koszar katowickiej policji, gdzie przygotowano salę specjalnie dla potrzeb tego procesu. Za kuloodporną szybą siedzi 36 oskarżonych, na czele z z szefem

gangu, Tadeuszem T. – „Krakowiakiem”, który zaczynał w Nowej Hucie od napadów na pijaczków, a potem wdrażał konsekwentnie metody znane wcześniej w Polsce jedynie z filmów gangsterskich. Odczytywanie aktu oskarżenia trwało trzy godziny. Prowadzący śledztwo zespół prokuratorów przesłuchiwał 618 świadków, ale przywódców grupy udało się

posadzić na ławie oskarżonych dopiero dzięki instytucji świadka koronnego. Dwie osoby z otoczenia „Krakowiaka” zgodziły się zeznawać w takim właśnie charakterze za cenę uniknięcia więzienia. Proces da odpowiedź, jak mocne oparcie w dowodach będą miały ich zeznania. Gang działał w latach 1991–99 głównie na terenie południowej Polski. Miał ustaloną



hierarchię, charyzmatycznego przywódcę oraz precyzyjny podział zadań. Przywódca gangu decydował o wszystkim: o zabójstwach na zlecenie, wymuszeniach haraczy, napadach, uprowadzeniach, handlu bronią i narkotykami. Na terenie swojej działalności zrobił takie „Chicago”, że nie trzeba było wyjeżdżać za ocean.

FOT. PIOTR GALEKSE, PAPYRA, PAPYRA, PAPYROMASZ GZELL

ROPA HUSAJNA

Według analityków Irak zarabia dziennie 3 mln dolarów, pompując nielegalnie ropę rurociągiem do Syrii. Wynika stąd zwątpienie w sens antyirackich sankcji ONZ. Rząd w Bagdadzie i tak się wyżywi, a najbardziej za grzechy Saddama Husajna pokutuje naród.

ICH DWÓCH I TEN TRZECI

Szef Gazpromu, Rem Wiachiriew, zgodził się z wicepremierem Januszem Steinhoffem co do równych (po połowie) udziałów w EuRoPol Gazie. Teraz trzeba jeszcze znaleźć sposób na wykołegowanie Aleksandra Gudzwowatego i jego Bartimpexu, który na razie jest trzecim udziałowcem spółki.

KOMU ŚPIEWAŁ „SŁOWIK”?

Minister sprawiedliwości, Lech Kaczyński, postanowił dociec, co sprawiło, że Andrzej Zieliński, ps. Słowik, zamiast siedzieć, został w 1993 r. ułaskawiony przez Lecha Wałęsę podczas jego prezydentury. „Słowik” nic nie powie, bo niedługo po ułaskawieniu wyfrunął i przebywa podobno za granicą.

OSTATNI AKT PREZYDENTA

Prokurator zbada okoliczności ułaskawienia przez Billa Clintona oszusta podatkowego, biznesmena Marka Richa, którego żona wpłaciła ponad milion dolarów na kampanie wyborcze demokratów oraz 450 tys. dolarów na bibliotekę-muzeum byłego prezydenta.

PRZEDWCZESNY OPTYMIZM

„Unia Wolności idzie w tych wyborach po zwycięstwo i robi panu Millerowi niespodziankę” – powiedział Łukasz Mężyk, jeden z założycieli unijnego Młodego Centrum. Niespodziankę zrobił tymczasem CBOS, podając, że dzisiaj w wyborach UW nie zdobyłaby dość głosów, aby znaleźć się w Sejmie.

ROZPACZ NA ARENIE

Mięsa zabitych podczas corridy byków nie wolno już sprzedawać, trzeba spalić. Wiadomo – szalone krowy. Teraz władze zapowiadają wprowadzenie zakazu obcinania byczych uszu po walce. Trofeum zwycięzcy będzie bycze ucho z plastiku. Dla Hiszpanów to dramat. Pora umierać albo wystąpić z Unii.



„Dlaczego pan nie zajął pierwszego miejsca, tylko drugie?” – pytał reporter radiowy Adama Małysza po zakończeniu konkursu skoków. „To głupie pytanie” – odpowiedział zgodnie z prawdą wicemistrz świata. (czytaj też str. 75)



„Robią z nas imperium zła, a przecież nikomu nie zagrażamy” – mówił prezydent Władimir Putin do sekretarza generalnego NATO, George’a Robertsona. „Nie jest panu zimno w Moskwie?” – troskliwie pytał swego gościa.

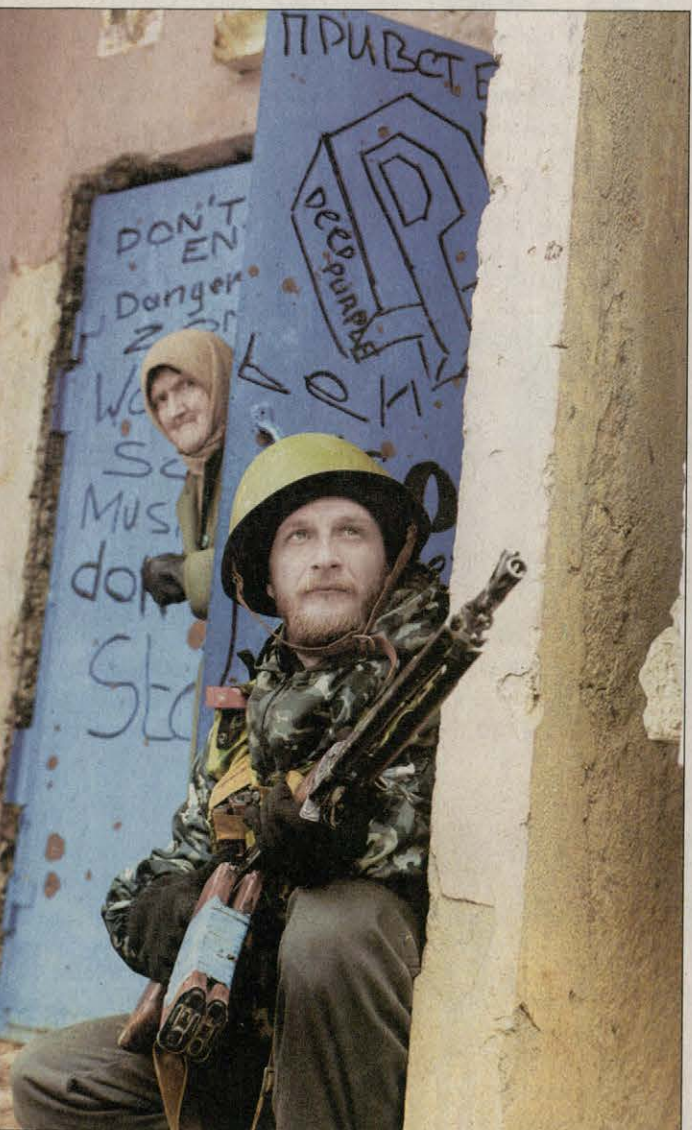


Cukier krzepi postać Gabriela Janowskiego. Okupacją gabinetu ministra skarbu próbował przekonać rząd, że jeśli nie powstanie narodowy holding, polski cukier wpadnie w obce ręce.





Jednostki antyterrorystyczne walczyły pod Seulem ze związkowcami demonstrującymi przeciw zwolnieniom w Daewoo Motor 1751 pracowników. Tymczasem prokuratura oskarżyła 34 wysokiej rangi urzędników koncernu o defraudację 20 mld dolarów, co doprowadziło firmę do bankructwa.



Żołnierz OMON w Groznm. W oczekiwaniu na zapowiedzianą przez rosyjskie MSW „serię aktów dywersyjnych”, jakie przeciwko wojskom wewnętrznym mają szykować „rebelianci czeczeńscy”.

MILCZENIE JEST ZŁOTEM

Amerkańskie i brytyjskie samoloty zbombardowały irackie stanowiska radarowe koło Bagdadu. Doradca premiera, Jerzy M. Nowakowski odniósł się do akcji ze zrozumieniem, choć nikt go do tego nie upoważniał. Irak uznał, że Polska popiera naloty i zerwał z nami stosunki handlowe. Trzeba teraz zapytać doradcę, jak odzyskać 700 mln dolarów, które Polsce winien jest Irak.

ADDIO POMIDORY

Celnicy powiadają, że sprowadzać przeciw pomidorowy z Litwy to tak, jak importować samochody z Wybrzeża Kości Słoniowej. Litwini przecieru nie produkują, ale można tam zmienić etykietę na obłożonym wysokim cłem koncentracie tureckim, który jako litewski przecieka przez polską granicę.

PARASOLKI Z KREMLA

W odpowiedzi na amerykański plan budowy systemu antyrakietowego, Rosja proponuje Europie własny parasol ochronny. Obserwatorzy uważają, że rosyjskie parasolki nijak się jednak mają do parasola made in USA.

SYMPATIE I ANTYPATIE

W rankingu zaufania CBOS-u prowadzi Aleksander Kwaśniewski (78%) przed Lechem Kaczyńskim (67%). Kto budzi największą nieufność respondentów? Zdecydowane prowadzenie objął Marian Krzaklewski.

APOKALIPSY NIE BĘDZIE

Czegoś takiego jak indywidualny numer podatnika prawdziwy prawosławny nie zaakceptuje – twierdzą w Rosji przeciwnicy INN (rosyjski odpowiednik NIP-u), powołując się na Pismo Święte, które numerowanie ludzi przypisuje antychrystowi. Patriarcha i Święty Synod są bezradni.



MYŚL TYGODNIA

Nie po to obalałem system komunistyczny, aby dać się sprzedać jakiemuś łajdakowi.

Lech Wałęsa, pytany o utaskawienie „Słowika”



„Jeżeli ktoś chce mieć w Waszyngtonie przyjaciela, powinien sobie kupić psa”. Prezydent George W. Bush posłuchał rady sprzed lat prezydenta Harry'ego Trumana.



Stłumiono rebelię w więzieniach brazylijskiego stanu São Paulo. Posługując się telefonami komórkowymi, wznicił ją jednocześnie w 27 zakładach karnych więzienny gang.



Chiny oczekują na wstąpienie do Światowej Organizacji Handlu (WTO), co ma nastąpić latem tego roku. Gęsi jeszcze nie mają pojęcia, co to są pasztesy strasburskie.



Znowu w Kosowie podłożono bombę pod serbski autobus. Separatyści albańscy posługują się terrorem, wojska KFOR są bezradne, a ludność albańska odmawia współpracy z policją, uniemożliwia ujęcie sprawców zamachów.



Były premier Izraela. Ehud Barak (z lewej), nie zostanie jednak ministrem obrony w koalicyjnym rządzie Ariela Szarona (z prawej). Odmówił pod wpływem negatywnych głosów swej partii i postanowił wycofać się z polityki.



Wicepremier rządu ukraińskiego, Julia Timoszenko, została aresztowana pod zarzutem przemytu, fałszerstwa dokumentów oraz przekupstwa. Opozycja twierdzi, że to robota prezydenta. Nad głową Leonida Kuczmy gromadzą się chmury. Nigdy dotąd nie miał tylu przeciwników swoich rządów, co teraz.

Przedstawiciel producenta, zapytany o wartości serialu „Big Brother”, w ogóle nie zrozumiał pytania. Bo w takich programach nie chodzi o rozum i ambicje, lecz o to, aby zrobić kasę na zaspokajaniu najniższych instynktów widzów.

IZABELLA BODNAR, WOJCIECH CZUCHNOWSKI, BARBARA PAJCHERT



PANOPTIKON Wielkiego Brata

Literackiej fikcji George'a Orwella nie udało się wprowadzić w życie dwudziestowiecznym totalitaryzmem. Zrobiła to za nie telewizja.

Bohaterowie powieści „Rok 1984” żyli pod nieustanną kontrolą zainstalowanych w mieszkaniach ekranów. Spoglądała na nich twarz wodza – Wielkiego Brata. Ekran działał jak lustro weneckie. Siedzący z drugiej strony strażnicy obserwowali życie obywateli – poddanych Wielkiego Brata.

Wizja Orwella nie jest nowatorska. Pierwowzór wymyślił angielski filozof Jeremy Bentham. Trzy wieki przed emisją serialu „Big Brother” wpadł na pomysł, by więźniów trzymać w urządzeniu zwanym „panoptikonem”. Jego działanie spopularyzował Michel Foucault w pracy „Nadzorować i karać”. Był to okrągły, podzielony na cele budynek, w którego środku stała wieża. Cele miały dwa okna tak ustawione, że pozwalały widzieć wnętrze na wylot. Strażnicy w wieży mogli bez przerwy kontrolować więźnia, a przynajmniej wywoływać w nim wrażenie, że jest nieustannie podglądany. Członek Rady Programowej Telewizji Kraków

i wykładowca w Instytucie Sztuk Audiowizualnych UJ, prof. Wiesław Godzic, uważa, że współczesne media nadały benthamowskiej wizji nową jakość. Jest nią dobrowolność udziału w widowisku, zgoda na zamknięcie i bycie podglądanym.

Ekshibicjonista naszych czasów

– Każdy chce mieć swoje pięć minut i zapisać się w umysłach ludzi. To stare dążenie wywodzące się od Herostratesa – mówi Godzic. – Jednak współczesna psychoanaliza twierdzi, że tendencja ekshibicjonistyczna jest znakiem naszych czasów. Pokazanie się w telewizji bywa uznawane za wartość bez względu na kontekst, w jakim dana osoba jest pokazana. Według badań tolerancja dla bohaterów talk show jest ogromna. Występujący w nich ludzie są bohaterami, poza przypadkami szczególnie odrażającymi.

Zdaniem profesora nie tylko telewizja jest wstępem do „globalnego panoptycyzmu”, na który wyrażamy zgodę. Dobrowolnie tracimy prywatność, używając na przykład kart kredytowych czy telefonów komórkowych. Na

podstawie informacji o transakcjach właściciela karty tworzy się tzw. profil użytkownika – co lubi, jaką pije wódkę, jak spędza wolny czas. Właściciel telefonu komórkowego godzi się na to, żeby w każdej chwili zostać namierzonym przez operatora.

– Media elektroniczne dały ludziom możliwość zaspokojenia dwóch potrzeb: upublicznienia własnej twarzy i własnych problemów oraz pozbycia się naturalnego wstydu – uważa dr Grażyna Stach, specjalistka od kultury masowej w Instytucie Sztuk Audiowizualnych UJ. – Nie ma problemu ze znalezieniem ludzi, którzy chcieliby wystąpić w takich widowiskach. Ekshibicjonizm staje się normą. Normą staje się też podglądactwo, voyeryzm, czyli drugie zjawisko, które dotychczas uchodziło za dewiację. Zmienia się granica zakazu obyczajowego. Gdy dana formuła się opatrzy, następuje przesunięcie granicy. Zaczęło się od pokazywania zwykłego życia pani czy pana Smith, teraz mamy filmowanie porodów i seksu w Internecie. Mechanizm jest taki: publiczność w pewnym momencie dostaje od mediów sygnał, iż może ujawnić swoje żądze i że to jest właściwe i dopuszczalne.



Kandydaci na polskich bohaterów „Big Brother” (od lewej): Dominika Stachowska, Andrzej Białowas, Edyta Strząbała, Eugeniusz Schulz, Wiesława Walotek.

Ekshibicjonizm i voyeryzm istniały zawsze. Współczesne media sprawiły, że ze wstydlivej dewiacji stał się normą społeczną.

Będą robić na żywo

Gorączka się zaczęła, nim Wielki Brat postawił swą stopę w Polsce.

– Ma pani wolny bilet na pokaz „Big Brother”? – zaczepia młoda kobieta pod multikinem w podwarszawskim Imielinie, gdzie odbyła się promocja serialu. – Z sąsiedami już się tego nie możemy doczekać.

– Kołtuństwo – kwituje wychodzący z kasy kina student. – Facet, który podglądał sąsiadkę przez lornetkę, dawniej uważany był za zboczeńca.

Ponad 10 tys. Polaków chciało uczestniczyć w castingu TVN do krajowej edycji „Big Brother”, programu, który w świecie bił niedawno rekordy popularności. Powieści Orwella prawie nikt z nich nie zna. Na zdjęcia próbne zaproszono 500 osób. Dziesięciu wybrańców – dotąd sobie nie znanych – spędzi sto dni w kontenerowym domu o pow. 300 metrów kw., specjalnie zmontowanym w Sękocinie pod Warszawą.

Duże szanse udziału w programie mają: 20-letnia Dominika Stachowska (studentka socjologii z Torunia), 60-letnia Wiesława Walotek z Czatkowy pod Tczewem, 22-letnia Edyta Strząbała (studentka Wyższej Szkoły Ekonomiczno-Informatycznej z Warszawy), 46-letni Eugeniusz Schulz (bezrobotny ze Szczecinka) i 53-letni Andrzej Białowas (właściciel dwóch firm z Gliwic). Brali udział w ostatniej próbie kamerowej – 150 osób popisywało się tam zdolnościami aktorskimi, uczestniczyło w karaoke itp. Na każdym etapie selekcji grupa psychologów analizowała charakter i osobowość kandydatów. Aby zapewnić dobry show, wybrano zwykle, lecz nietuzinkowe osoby, z którymi widzowie chętnie się utożsamiają. Będą one przekrojem polskiego społeczeństwa. Ostateczną listę 10 uczestników poznamy na 24 godziny przed początkiem emisji „Big Brother” – już w marcu.

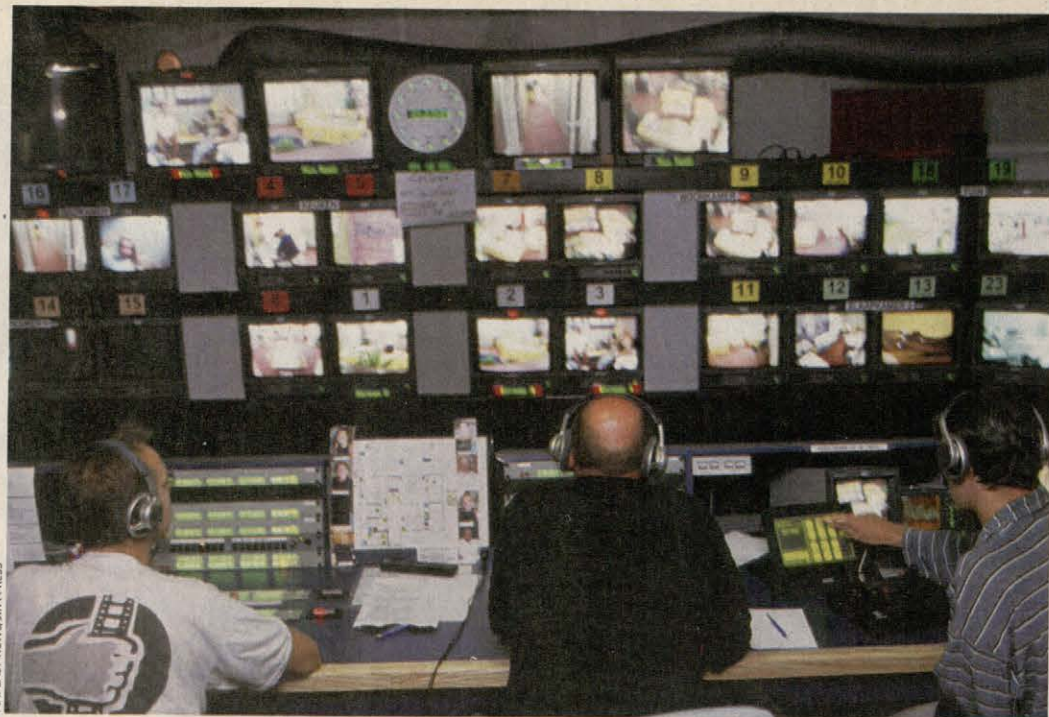
– Mam w sobie coś, czego inni nie mają – reklamuje się Edyta Strząbała. Z mamą prowadzi dwa butiki z bielizną i zamierza mieć całą sieć takich sklepów. W „Big Brother” chce się pokazać choćby po to, by kiedyś

o tym opowiadać wnukom. – Samej siebie się nie wstydzę – mówi. – A jeśli ktoś zobaczy coś, czego widzieć nie powinien, to trudno. Trzeba żyć dalej. Dla mnie udział w „BB” to wielkie wakacje.

Z woli mas

Bohaterów „BB” dzień i noc będzie obserwowano 57 kamer telewizyjnych zainstalowanych we wszystkich pomieszczeniach, z łazienką i WC włącznie. Zarejestrują każdy gest i słowo. Przez 24 godziny na dobę ich życie śledzić mogą – niczym Wielki Brat z Orwellowskiej powieści – internauci, wykorzystując podgląd na żywo (na Zachodzie internetowe witryny „BB” odwiedzone 70 mln razy). W dotychczasowych edycjach programu „BB” na świecie zdarzyło się niemal wszystko: romanse, związki erotyczne, spory, bójki, przyjaźnie, śmiech i łzy.

W polskiej wersji może być podobnie. Jeśli widzów ta „opera mydlana na żywo” rozbawi – oglądać ją będą przez pięć dni w tygodniu. Potem zadecydują w głosowaniu o dalszych losach jej mieszkańców.



Holandia. „Życie w domu Big Brothera” podglądało kilkadziesiąt kamer.

O tym, kto jest mało zabawny i musi opuścić kontener, a kto w nim pozostanie. Osoba brzydka, głupia czy naiwna, która – z woli mas – do końca wytrwa w izolacji od świata, zainkasuje 500 tys. zł nagrody. Z kontenera wyjdzie więc jako zwycięzca, nawet jeśli będzie to triumf – jej i telewizorów – głupoty.

Wiadomo, że bohaterowie programu prawdopodobnie zrobią potem karierę choćby w reklamie. W Niemczech milionerem został uczestnik „Big Brother”, którego masy pokochały za to, że nie wiedział i nie chciał wiedzieć, kim był Szekspir. Najwyraźniej kultura niewiedzy jest w modzie i ludzie lubią wiedzieć, że nie są gorsi od innych.

Teleterapia

Z dotychczasowych edycji programu w innych krajach wynika, że najwięcej widzów zasiada przed telewizorem w te w dni, w które każdy z uczestników odwiedza pokój zwany konfesjonałem. Tam zwierza się ze swoich uczuć i najszybszych przemyśleń. Podaje też nazwiska dwóch współmieszkańców, których chciałby usunąć z domu. Te wyznania mają charakter spowiedzi.

Zdaniem Ervinga Fullera Torreya, amerykańskiego psychiatry i antropologa kulturowego, spowiedź publiczna ma wartości terapeutyczne. Pacjent czuje się lepiej, jeśli się wygada.

Reminiscencje spowiedzi publicznej znajdujemy w tokszołach, a czasem nawet w niektórych teleturniejach. Najdalej, jak dotąd, w zachęcaniu do wyznań poszli autorzy programu „Wybacz mi”. Zachowane są w nim wszystkie elementy spowiedzi o charakterze

religijnym: wyznanie grzechów, żal za nie i w końcu – odpuszczenie.

W Wielkim Bracie spowiedź w pokoju zwanym konfesjonałem ma podobny charakter. A widzowie wcielają się w rolę kapłana i decydują, czy odpuścić winy i zostawić spowiadającego się w programie, czy go wyeliminować.

Jak pokazują poprzednie edycje, widzowie najbardziej cenią intymne zwierzenia i drastyczne nieraz wspomnienia z przeszłości. Zamiast do kościoła albo do psychiatry, idzie się na spowiedź do telewizora.

Z badań nad odbiorcami serialu wynika również, że publiczność nie lubi patrzeć na cudze szczęście. Irytuje się, gdy między bohaterami rodzi się jakieś uczucie.

W holenderskiej wersji programu Bart Ilną od samego początku do blondwłosej Sabiny. Spędzili noc w jednej z sypialni domu i zaraz potem zostali wyeliminowani. W wersji hiszpańskiej telewizorze zadecydowali o przerwaniu romansu zawiązującego się na ich oczach. Dziewczyna musiała opuścić dom.

Niech sobie patrzą

Stres z powodu podglądania w domu Wielkiego Brata w Sękocinie bohaterom raczej nie grozi.

– No to co, że mnie ktoś będzie podglądać? – obrusza się Wiesława Walotek. – W życiu najgorsza jest pruderia.

A gdyby w kontenerowym domu przytrafił się jej romans z młodzieńcem? – Mam sześćdziesiąt lat i nie wyobrażam sobie – ripostuje bez wahania – żebym się mogła kochać z własnym synem. Najbardziej boję się



W niemieckiej edycji bohaterowie serialu spędzili sto dni w izolacji.

tylko, że za sprawą telewizorów szybko wylecę z kontenera, bo na ekran jestem za stara.

Mieszkańcy domu Wielkiego Brata zdani są na własne towarzystwo. Nie mają prasy, radia, telewizora, książek, telefonu i kontaktów z rodziną oraz przyjaciółmi, a nawet zegara. Żywność jest racjonowana. Przydziały jedzenia i picia można zwiększyć, wykonując cotygodniowe zadania zlecane przez Wielkiego Brata. Jedynym głosem, jaki będzie docierać do mieszkańców, jest głos Wielkiego Brata. Kontenerowej izolacji jakoś nikt się specjalnie nie boi.

– Fakt, że TVN zwróciła uwagę właśnie na mnie, to już duże wydarzenie w moim życiu – powiada Eugeniusz Schulz, fan biegów maratońskich. – Zresztą sam siebie zaskoczyłem, zgłaszając swą kandydaturę do reality show. Jako introwertyk ceni intymność, przekroczył już więc własną granicę.

Rajdowiec Andrzej Białowas obiecuje publiczności dobrą zabawę. Osiem razy zwyciężył w rajdowych mistrzostwach samochodowych i musi być stale „nakręcony”. Czyta Lema, dobre sensacje, ale twierdzi, że „Ulisses” Joyce’a też każdy powinien choćby przejrzeć.

– Boję się tylko – mówi po cichu – żeby w „Big Brother” nie chcieli iść na całość. Aby ożywić akcję, telewizorze na Zachodzie domagali się od uczestników programu seksu i to seksu na żywo, a przynajmniej codziennej porcji golizny.

Piątką kandydatów do udziału w „BB” woli dziś o programie za dużo nie wiedzieć. Być może gotowi są na wszystko. Dla nich pobyt w Sękocinie będzie – jeśli tam się znajdą – fascynująca podróżą w nieznanne.



USA. Amerykanie występujący w filmie kontaktowali się ze światem przez Internet.

– Choć raz w życiu chcę coś ciekawego przeżyć. Jakąś przygodę – mówi wprost pani Wiesława Walotek. W młodości dała rękę Cygance, ta jej powiedziała, że ańi do mężczyzn, ani do pieniędzy nie będzie mieć szczęścia. I wróżba się spełniła. Przez całe życie pracowała jako ekspedientka i kucharka. Kilka lat temu kupiła mały zrujnowany domek, popegeerowską rozlewnię mleka i sama z córką go wyremontowała. To pierwsze jej prawdziwe mieszkanie po 20 przeprowadzkach. – Teraz – powiada – siedzę i nic nie robię.

– Nie wiem nawet, co bym wzięła ze sobą do walizki na sto dni – szczerze wyznaje Dominika Stachowska. Jest aktywną uczestniczką katolickiego ruchu młodzieżowego „Światło-Życie”, uczestniczy w pielgrzymkach i rekolekcjach, tym bardziej więc dziwi jej udział w castingu. Jeśli trafi do kontenerowego domu Wielkiego Brata, boi się tylko braku kontaktu z rodziną i przyjaciółmi. – Z natury – opowiada – jestem kontaktowa. Ma nadzieję, że w „Big Brother” nie będzie tak drastycznych scen, jak we „Władcy much” Goldinga. O tym, że przez sto dni nie będę chodzić do kościoła, wiem od początku. Jednak wiara towarzyszy mi całemu życiu człowieka. Ludzie wierzący nie muszą się więc zamykać w kościele. A ponieważ 95 proc. Polaków deklaruje się jako katolicy, w „Big Brother” katolicy też powinni się znaleźć.

Pełną energii Dominikę pasjonuje dziennikarstwo i współpraca z regionalną rozgłośnią radiową. Píše teksty piosenek i scenariusze słuchowisk. Mając niepełnosprawną siostrę, wie dużo o życiu. Gdyby

wygrała w „BB” pół miliona złotych, nie dla siebie je przeznaczy.

Zwierciadło, ale jakie

O bezwstydzie, z jakim miliony telewizorów oglądały w kilku krajach „Big Brothera”, żyjąc życiem jego bohaterów, nikt nie wspominał. Pasja podglądania najbardziej przeżyła Niemców, którzy fanów programu nazwali pogardliwie „prołami”. Są to reprezentanci najniższej klasy społecznej. Ale stacje telewizyjne doskonale wiedzą, że najbardziej się opłaca żerowanie na najniższych instynktach. W Wielkiej Brytanii, w finałowym głosowaniu na „Big Brother” uczestniczyło 7 mln telewizorów i ulice Londynu opustoszały.

„BB” to – jak powiedział przedstawiciel TVN na spotkaniu z dziennikarzami – najbardziej ambitne i najdroższe przedsięwzięcie w historii polskiej telewizji.

– Czy udało się panu dostrzec jakiegokolwiek autentyczne wartości w „Big Brother”? – pytamy obecnego na spotkaniu Mike’a Morleya, dyrektora Endemol-Neovision. Ale dyrektor w ogóle nie zrozumiał pytania. – O jakich wartościach państwo myślisz? – zapytał w końcu. – Program ten ma stanowić zwierciadło. Telewidzowie zobaczą zarówno to, co w nich piękne, jak i to, co mało urodziwe. Współczesne społeczeństwo pragnie się już na chwilę zatrzymać i przyjrzeć sobie. Będzie to mikrokosmos polski.

Trudno uwierzyć, że dopiero dzięki TVN Polak pozna samego siebie. W „Big Brother” będzie przecież jak w piwiarni. Senne życie i jałowe dyskusje. Polski wkład w „Big Brothera” polega na tym, że telewizorze będą



Holandia. Widzowie najbardziej lubili takie sceny.

mogli głosować na dwie dodatkowe osoby, które odegrają rolę gospodarzy w domu Wielkiego Brata. To wątpliwe osiągnięcie TVN uważa za swój wielki sukces.

Psycholog Jacek Santorski, który współpracuje z twórcami i producentami „Wielkiego Brata”, próbuje wytłumaczyć fenomen tak olbrzymiego zainteresowania programem.

– Ludzie do udziału w tym programie motywują nie tylko pieniądze i sława czy chęć pokazania się. Często to potrzeba przeżycia czegoś niezwykłego, chęć sprawdzenia się. Wszyscy, którzy się na to decydują, muszą jednak pamiętać, że narażają na szwank swoją intymność i godność, że mogą mieć po powrocie do domu problemy z bliskimi.

Profesor Godzic nie wierzy w deklaracje producentów „Big Brothera”, którzy mówią, że kamera pokaże prawdziwy świat. – Dawno już udowodniono, że kamera wyzwała konflikty, napięcia, nienaturalne zachowania. Pierwszym takim eksperymentem był amerykański „Bio dokument” – wsadzano kamerę do klasy składającej się z uczniów z różnych środowisk i różnych ras. Wcześniej w tej klasie nie było konfliktów – obecność kamery wyzwoiliła napięcia. Tak jakby uczniowie stwierdzili, że jeśli są filmowani, to muszą się w szczególny sposób zachowywać. Nie sądzę, by pod wpływem kamery człowiek stał się sobą, zrzucił maskę. Jest dokładnie na odwrót. Stając przed kamerą, decyduje się na grę do kwadratu. Produkcje typu „Big Brother” to nie jest podstawienie lustra masom. Nie ludźmy się, że zobaczymy nas samych. Zobaczymy tylko odbicie w krzywym zwierciadle. ■

LIST OTWARTY ZARZĄDU SEKCJI POLSKIEJ MIĘDZYNARODOWEGO STOWARZYSZENIA KRYTYKÓW SZTUKI (AICA) DO MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Szanowny Panie Ministrze,

Zarząd Sekcji Polskiej Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki (AICA) protestuje przeciwko powoływaniu przez MKiDN „rad programowych” dla Galerii Zachęta i Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie.

Równocześnie oświadczamy, że nasze Stowarzyszenie nie podejmie żadnej współpracy przy tworzeniu tych rad. Intencją MKiDN jest tworzenie nadzoru merytorycznego i ubezwłasnowolnienie Dyrekcji w zakresie programu artystycznego tych instytucji. W naszym przekonaniu metoda takiego nadzoru ze strony środowisk politycznych kojarzy się jednoznacznie z instytucją cenzury. Uważamy, że przyczyną całej akcji MKiDN są przestępcze zachowanie i haniebny, rasistowski list pisma Tomczaka. W naszym przekonaniu ten rodzaj inspiracji nie przystoi Ministerstwu, którym Pan kieruje.

Zwracamy uwagę, że pani Anda Rottenberg została wybrana w dwóch konkursach na dyrektora Galerii Zachęta. Jej autorytet międzynarodowy i niekwestionowany, wieloletni dorobek krytyki i kuratora wystaw spowodował, że Zachęta przeżywa najlepszy okres swojej działalności. Przypominamy również Panu niektóre wystawy: „Gdzie jest Twój brat Abel?”, „Słońce i inne gwiazdy”, „Szare w kolorze”, „Klasyki XX wieku”, monograficzne pokazy Jana Cybisa, Piotra Potworowskiego, Aliny Szapocznikow, Edwarda Krasińskiego i szereg znaczących wystaw organizowanych za granicą. Program Zachęty dowodzi wielkiej dbałości o nowoczesne prezentowanie społeczeństwu polskiej i światowej sztuki XX wieku.

Na zakończenie podkreślamy, że powoływanie się na praktyki europejskie w tworzeniu rad programowych jest nietrafne, bowiem zasadą nadrzędną prowadzenia instytucji sztuki jest powierzanie ich wybitnym osobowościom o ugruntowanym dorobku i autorytecie.

Zarząd Sekcji Polskiej Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki (AICA):
Maria Anna Potocka
Piotr Piotrowski
Andrzej Przywara
Piotr Rypson
Jarosław Suchan



Minister kultury Kazimierz Ujazdowski chce powołać rady programowe przy galerii Zachęta i Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie.

Będą one oceniać i opiniować przedsięwzięcia tych placówek. Zdaniem dyrektorów galerii decyzja ta może doprowadzić do przejęcia kontroli nad ich programem merytorycznym.

– Wchodzimy w niebezpieczny związek sztuki i polityki – twierdzi zastępca dyrektora Zachęty, Michał Jastrzębski. – Minister, który jest niewątpliwie politykiem poddanym naciskom i układom, powołuje ciało, decydując się na to, że będą naciski na radę i na jej kształt, i tego się obawiamy. – Galerie sztuki mają pewien zakres oddziaływania – mówi dyrektor CSW, Wojciech Krukowski. – Jeżeli ktoś dąży do opowania sfer życia publicznego, to takie miejsca są dość intratne.

Przypomnijmy, że debatę polityków wywołały grudniowe wydarzenia w Zachęcie. Po raz pierwszy, gdy Daniel Olbrychski zniszczył szablą kilka fotografii z wystawy Piotra Ukińskiego „Naziści”, na której eksponowano foty z filmów, przed-

stawiające znanych aktorów – w tym jego – w mundurach hitlerowskich. Drugi raz, gdy w galerii wystawiono rzeźbę Maurizio Cattelana, prezentującą figurę papieża przygniecioną meteorytem.

– Kroki podjęte przez ministra nie mają nic wspólnego z wydarzeniami w Zachęcie – twierdzi rzecznik prasowy ministerstwa, Klaudiusz Kryczka. Przeciwnego zdania jest kierownictwo galerii.

Dotąd nie są znane kompetencje rad. – Rady będą oceniać i opiniować, to możemy powiedzieć już dziś – mówi rzecznik Klaudiusz Kryczka. – Nie będzie to cenzura. Jestem głęboko przekonany, że rady nie będą mogły zakazać zorganizowania jakiegos przedsięwzięcia, lecz jedynie je ocenić. W ten sposób unikniemy sytuacji, w których politycy zabierają głos i debatuje, czy dana instytucja działa dobrze, czy źle.

Nie wiadomo jeszcze, kto znajdzie się w ich składzie, ilu będzie członków i jak będą wybierani. Ministerstwo kultury podaje, że „będą to ludzie, którzy są niekwe-

zapytał mnie o szczegóły, i nie poprosił o radę – powiedział dyr. Krukowski. Od lutego 2000 r. CSW ma radę zewnętrzną powoływaną spoza grona pracowników Centrum. W jej skład wchodzi autorytety z dziedziny sztuki: Magdalena Abakanowicz, Wiesław Borowski, Beata Chmiel, Elżbieta Grabska-Wallis, Aleksander Jackowski, Maria Janion, Grzegorz Kowalski, Zygmunt Krauze, Stefan Morawski, Andrzej Mencwel, Stefan Starczewski i Edmund Wnuk Lipiński. – Trzeba niezwyklej determinacji i odwagi, aby odmówić kompetencji radzie CSW w takim składzie – mówi dyr. Krukowski.

Wszyscy członkowie rady pracują społecznie. Oceniają i opiniują projekty galerii, ale ostateczną decyzję podejmuje dyrektor, który może także poradzić się rady wewnętrznej złożonej z pracowników galerii.

Zachęta ma tylko radę złożoną z pracowników merytorycznych i dyrekcji. Istnieje wprawdzie przepis umożliwiający powołanie rady zewnętrznej, ale dotychczas nie był on wykorzystywany.

Zdaniem ministra Ujazdowskiego decyzja o powołaniu rad programowych jest elementem kształtowania nowego sposobu zarządzania narodowymi instytucjami kultury, zgodnego ze standardami obowiązującymi w krajach Europy Zachodniej.

– Podobne instytucje na świecie mają sprecyzowane cele – dyrektor może zasięgnąć ich opinii, ale te rady nie mają kompetencji władczych i nie powstawały odgórnie – argumentuje dyr. Jastrzębski. – Niestety, docierają do nas informacje, że nowa rada ma mieć dosyć duże kompetencje.

Na ostateczną ocenę decyzji ministra należy poczekać do końca prac nad nowymi statutami. Na tym etapie można się jedynie zastanawiać, czy rzeczywiście jest konieczne tworzenie nowych, wieloosobowych rad. Minister dysponuje wystarczającą władzą, aby galerie kontrolować i wpływać na ich program. Dyrektorzy placówek podlegają bezpośrednio ministrowi, który powołuje ich na stanowisko i może także odwołać.

STEFAN ROKITA



Minister Ujazdowski ma pomysły

stionowanymi autorytetami w dziedzinie sztuki”. Skład rady „na pewno nie będzie ustalany jednoosobowo, na pewno nie bez konsultacji z dyrekcją”.

Tymczasem ministerstwo nie poinformowało dyrektorów nawet o planach zmiany statutow.

– Nikt oficjalnie w tej sprawie do nas się nie zgłosił – twierdzi Jastrzębski.

– Jest to dla mnie trochę deprymujące, że dowiaduję się o tym z prasy. Nikt nie

ANDRZEJ STARMACH właściciel galerii w Krakowie

Sztuka z założenia nie toleruje demokracji. W związku z tym jakiegokolwiek koleżeńskie próby decydowania o kształcie czy programie wystaw prowadzą do powstania mało ciekawego „tworu”, będącego wypadkową gustów i zapatrywań takiej rady. Jak każda wypadkowa, będzie to prowadziło do oczywistego splaszczania tematu. Poza tym, jeśli ktoś organizuje konkurs i powierza komuś prowadzenie galerii, to nie po to, by go kontrolować. W myśl takiej zasady proponowałbym powołanie do życia organu doradczego przy ministrze, który swoimi radami pomagałby w jego poczynaniach, ponieważ jego ostatni pomysł świadczy o tym, że nie ma pojęcia, co robi. Wszelkie rady programowe, funkcjonujące w świecie przy tego typu instytucjach, zapraszane są przez dyrektorów bardziej ze względu na status nobilitujący, aniżeli kwestię doradczą. Dyrektorzy wręcz szczerzą się tym, kogo udało się im zaprosić do rady. Wymysł tworzenia organów doradczych zrodził się zapewne stąd, że „ograniczonym” posłom, którzy nie mają pojęcia o niczym, nie tylko o sztuce, nagle – z takich czy innych powodów – nie spodobało się jakieś dzieło. W związku z tym wpadli na „genialny” pomysł powołania takich rad, które do tego nie dopuszczają. Czyli normalna cenzura.

ZOFIA GOŁUBIEW dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie

Odpowiedź jest trudna, ponieważ z jednej strony dyrektorów obarcza się wielką odpowiedzialnością, więc powinni mieć prawo decydowania. Z drugiej strony, Zachęta i CSW to galerie utrzymywane z pieniędzy podatników i dobrze by było, żeby minister kultury miał przynajmniej prawo wglądu w to, co się z tymi pieniędzmi dzieje. W Muzeum Narodowym w Krakowie jest rada zewnętrzna, którą, według statutu, powołuje minister kultury. Rada zbiera się dwa razy w roku, ocenia i opiniuje działalność statutową muzeum, czyli wystawy, wydawnictwa i imprezy. Aby plan merytoryczny i budżet zostały przyjęte przez ministra, muszą uzyskać akceptację rady. Nie widzę w tym żadnego problemu. Co więcej – cieszę się, że mam nad sobą jakąś kontrolę. Nie uważam, że zjadłam wszystkie rozumy i lubię się radzić ludzi. Rady w galeriach, oczywiście, powinny istnieć. W przeciwnym wypadku te placówki musiałyby być zupełnie samodzielne finansowo.

TADEUSZ KANTOR Twórca Teatru Cricot 2

„Wolność artystyczna jest o wiele wyższego stopnia aniżeli wolność społeczna. Niestety tak jest. I ci politycy, ci ludzie, którzy kierują naszym państwem, nie bardzo wiedzą, co to jest wolność, którą postuluje sztuka”.

„Homage a Tadeusz Kantor” 1999 r., Księgarnia Akademicka, Kraków

MIROSLAW BAŁKA artysta

Z moich doświadczeń wiem, że jeżeli instytucji potrzebna jest rada, to ją sama powołuje. Z tego, co słyszę, decyzja ministra kultury wygląda raczej na próbę powołania rady nadzorczej. Między doradzaniem i nadzorowaniem jest duża różnica. Chciano ukarać Zachęte, ale aby nie wyglądało to na karę, dołączono CSW. To już jest chore w samym załączku. Jest to jakaś forma rewanżizmu, nic poza tym. Jeżeli do tego dojdzie, to długo się taka rada nie utrzyma. To otworzenie furki dla ludzi, którzy do tej pory nie mogli zabłysnąć własnym autorytetem. Teraz, dzięki układom ministerialnym, będą mogli znaleźć się w radzie nadzorczej. Podsumowując: troska o kulturę godna Kraju Rad.

z KRZYSZTOFEM PENDERECKIM
ROZMAWIA JUSTYNA TAWICKA
ZDJĘCIA BOGDAN KRĘŻEL

LABIRYNT

na pięciolinii

Nie należy robić ze swojego warsztatu ołtarza. Ktoś, kto posiadał tajniki wiedzy i doświadczenia, powinien mieć dystans do własnej twórczości i umieć się tym bawić.

Urodził się 23 XI 1933 r. w Dębicy. W czasach szkolnych zbierał stonkę w rękawczkach. Jako student chadzał w rdzawopomarańczowym garniturze. Jeden z największych kompozytorów drugiej połowy XX wieku. Laureat licznych nagród, doktor honoris causa wielu uczelni. W swojej łusławickiej posiadłości – największym w Polsce prywatnym arboretum – pierwsze drzewo zasadził w 1976 r. Ma tam już 750 gatunków drzew i krzewów z całego świata. Posiada jedyną w Polsce aleję tulipanów. Mieszka też w Krakowie i Lucernie.

W łusławickim parku stworzył pan ogród-labirynt. Ogród – zmatematyzowana natura, muzyka – zmatematyzowana emocja?

Muzyka to dla mnie stała wędrówka, odkrywanie coraz nowych ścieżek w labiryncie – ucieczka w świat irracjonalny.

Czy muzyka jest labiryntem?

W pojęcie labiryntu wpisane jest błędzenie. Prawdziwy artysta stale poszukuje, a co za tym idzie, zapuszcza się w niezbadane zakątki labiryntu. Największą satysfakcję daje mi nie samo znalezienie, ale dochodzenie do celu określonymi drogami.

Pański artystyczny ideał leży w czystości – claritas.

Claritas to odrzucenie wszystkiego, co zbędne. Ostateczna krystalizacja formy i treści. To ład powstały ze sprzeczności.

Kwartet klarnetowy, jedno z najnowszych dzieł, zaplanował pan jako utwór

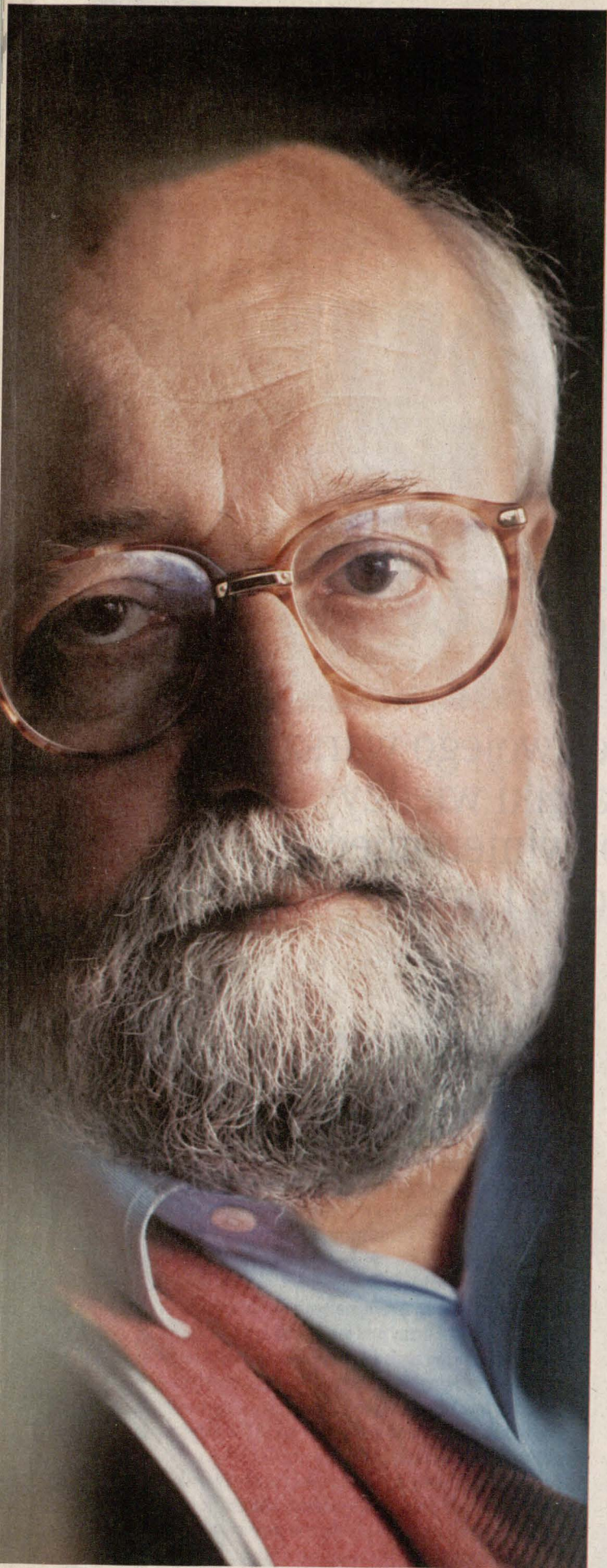
siedmioczęściowy, ale proporcje są nierówne. Część ostatnia – „Abschied” jest dłuższa od wszystkich pozostałych razem wziętych. Abschied znaczy pożegnanie.

Pożegnanie jest symboliczne. Nie żegnaj się tu ani z człowiekiem, ani z muzyką, ani też z konkretnym stylem. Prawie wszystkie moje utwory kończą się adagiem.

Twierdzi pan, że dziewięć symfonii Mahlera to najbardziej przejmujący i zarazem autonomiczny pod względem języka muzycznego zapis świata i człowieka w dramatycznym czasie przełomu. Mahler nie obawiał się eklektyzmu. Czy dlatego jest nam tak bardzo współczesny?

Eklektyzm Mahlera to wynalazek krytyków pierwszej połowy XX wieku. Dla współczesnych muzyka Mahlera to syn-teza całej epoki.





Harmonia muzyczna jest zatem możliwa przez różnorodność?

Różnorodność jest wpisana w harmonię. **A czy w różnorodności nie drzemie chaos?** Drzemie, ale prawdziwy artysta potrafi go uporządkować. Elementy, które się nawzajem wykluczają, tworzą wówczas harmonię. Mahler stanowił dla swojej epoki klamrę, on ją zamykał, podsumowywał. Przeciwnie niż Bach. Obaj jednak mieli ze sobą wiele wspólnego w próbie syntezy muzycznego języka, który dla każdego z nich był różny.

„Tren ofiarom Hiroszimy”, „Dies irae”, „Polskie Requiem” – czy to efekty wkroczenia brutalnych faktów w świat muzyki?

Często piszę utwór, nadając mu tytuł abstrakcyjny. Jego przesłanie rodzi się później. „Tren ofiarom Hiroszimy” nazywałem pierwotnie „8 minut 37 sekund”. Tyle wynosi czas jego trwania. Kiedy jednak usłyszałem ten utwór pierwszy raz, zrozumiałem, że abstrakcyjny tytuł nie oddaje wystarczająco zawartych w nim emocji. Zdecydowałem się poświęcić go ofiarom Hiroszimy. Byłem wówczas na etapie przeświadczenia, że sztuka może zmienić świat.

Ten stan trwał aż do początku lat 70., kiedy to pojawiła się „Kosmogonia”. Co wówczas stało się z ideą zbudowania „jednej wielkiej rodziny człowieczej”?

Wszystko okazało się ułudą. Ale kiedyś rzeczywiście w to wierzyłem.

A „Polskie Requiem”, powstałe na początku lat 80.?

W tym przypadku pisałem z całą świadomością „ku pokrzepieniu serc”. „Requiem” kończy się inaczej niż wszystkie dotychczas napisane. Kończy się nadzieją.

Wobec czego muzyka jest bezradna?

Nie wszystko daje się muzycznie wyrazić. Muzyka nie powinna o wszystkim mówić. Dlatego moje utwory z ostatnich lat pozbawione są zarówno tytułów, jak i nawet podtytułów. III, IV, V Symfonia. Nic więcej. Ta muzyka niczego nie sugeruje. Jest czystą formą.

Muzyka obnaża emocje. Czy w obliczu tego nie obawia się pan emocjonalnej pustki?

Jeśli moja muzyka wydaje się komuś dramatyczna czy też emocjonalna, nie oznacza, że te wszystkie emocje kłębią się w osobie jej kompozytora. Niektórych emocji wcale nie przekazuję. One

rodzą się same – wraz z odczuciami moich odbiorców. Muzyka zongluje emocjami w ramach pewnej formy, a forma to proporcje. Moje utwory komponuję całościowo – dopiero później przychodzi czas na detale. Nigdy nie zaczynam pracy od pierwszego taktu. Początek jest czasem w samym środku utworu. Daje mi to możliwość poruszania się w różnych kierunkach. Kształtowania w partyturze nowej formy.

Można oddzielić akt tworzenia od własnych emocji?

Absolutnie. Można też przewidzieć, jakich emocji będzie szukać w tej muzyce drugi człowiek. I przewidując – pokierować jego odczuciami, poprowadzić we właściwym kierunku. Dlatego też uważam, że kompozytor powinien być jednocześnie psychologiem. Kiedyś Hitchcock zapytany, jak buduje napięcie w filmie, powiedział: parafrazuję. Trzeba rozpocząć od trzęsienia ziemi, a później to już jest proste: wielkie crescendo do samego końca. Tak samo jest z muzyką, sztuką wspinałą, bo absolutną.

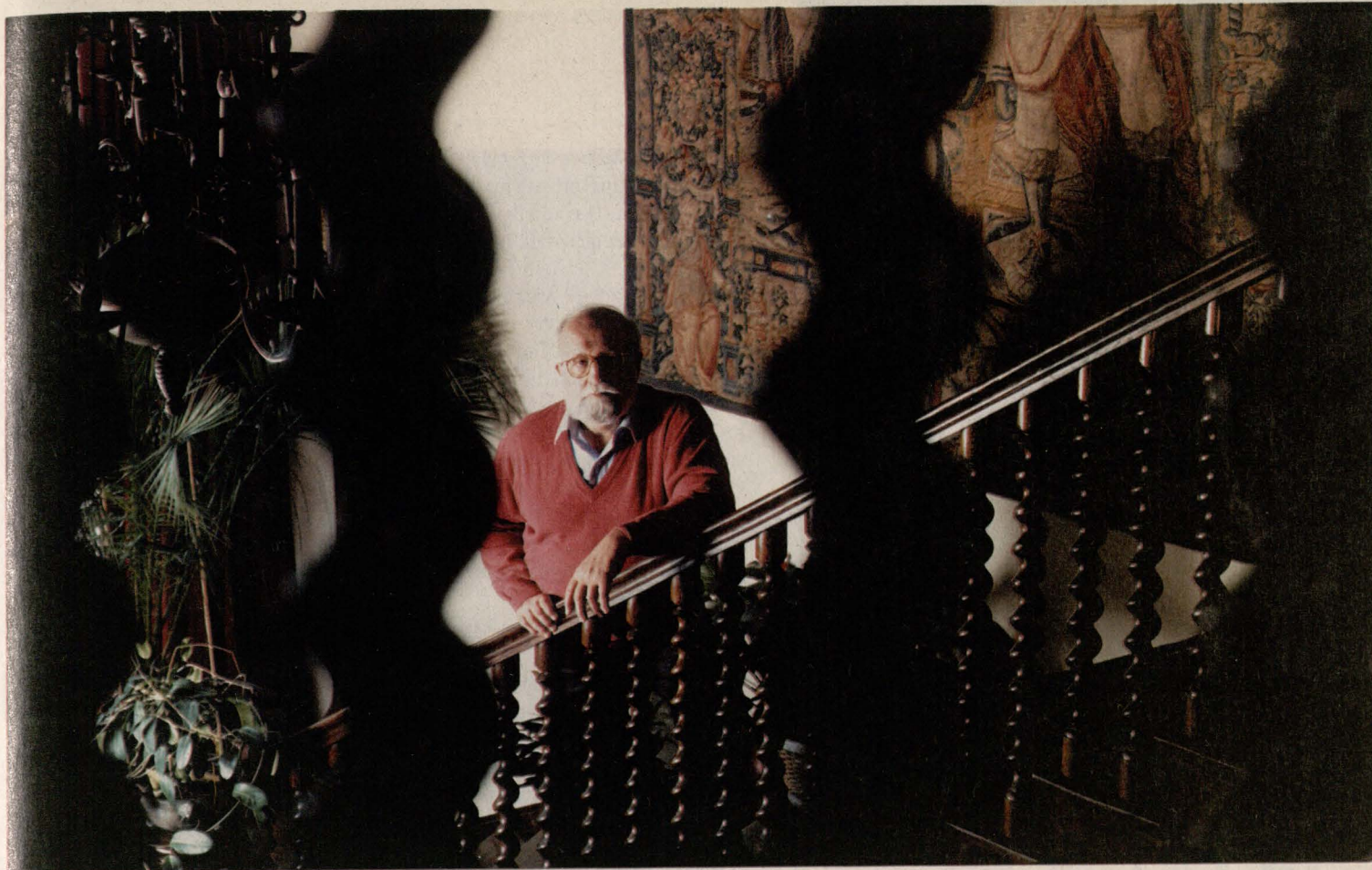
Kiedy utwór staje się Absolutem?

Absolutem jest czysta forma. Oczywiście, ulega ona w swoich proporcjach pewnym wahaniom. Gdyby było inaczej, każdy matematyk byłby genialnym kompozytorem. Tymczasem samą logiką nie wystarcza. Na szczęście nie ma tu żadnych reguł. To jak z malarstwem: umiejętność posługiwania się farbami nie oznacza, że zostanie się artystą. Tymi bowiem okazują się nieliczni.

Jednym z nich był Salvatore Dali. Nosił się pan nawet z zamiarem napisania muzyki do jego dzieł. Jak brzmiałaby muzyka do pańskich ulubionych obrazów, np. do „Ukrzyżowania”?

„Ukrzyżowanie” to „Pasja”, temat mojej młodości. Byłem wówczas bardzo młody, jeszcze niedoświadczony kompozytorko, ale na przekór wszystkim, w okresie szalejącej awangardy, postanowiłem sięgnąć po wielki temat. „Pasja” – śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa – było to dla mnie wielkie wyzwanie. Zwłaszcza po „Pasji” Bachowskiej. Ale udało się. „Pasja” jest dziś uważana za najważniejszy utwór religijny drugiej połowy XX wieku. A co do wspólnego projektu – miało to być „Stworzenie świata” oczywiście, według Dalego.

Skoro o mistrzach mowa. Za jednego z nich uważa pan Igora Strawińskiego. Pańskie „Siedem bram Jerozolimy” jest



Niektórzy, pisząc muzykę sakralną, uprawiają „Christopolo”. Popełniają harakiri tępym ludowym kozikiem.

kontynuacją linii, jaką reprezentuje powstała na początku wieku XX Symfonia Psalmów jego autorstwa. Siedem części, siedem bram, siedmiodźwiękowy temat passacaglii. Swoje pierwsze sceniczne dzieło, od czasów „Raju utraconego” – „Czarna maska” – pisał pan siedem lat. Wiara w magię liczb?

Raczej zabawa. Nie można jednak przy tym pominąć znaczenia cyfry „siedem” – choćby w tradycji hebrajskiej. Komponowanie bywa zajęciem żmudnym. Dlatego lubię w swojej pracy odnajdywać element loterii. Narzucam sobie na przykład siódmkę i staram się tym bawić.

Jak zapatruje się pan na zjawisko muzycznych kontynuacji – dosłownego lub emocjonalnego włączania swoich poprzednich motywów muzycznych do zupełnie innych?

Cała moja muzyka jest kontynuacją. Często, aby znaleźć drogę w labiryncie, muszę się cofać. Izajasz mówi: „to see the future, you must look backwards”. Tak więc, otwierając drzwi „nowego”

przed sobą, jednocześnie pozostawiam uchylone za sobą. Autocytaty można spotkać w każdym moim utworze. Jest to właśnie potrzeba kontynuacji. Często również odwołuję się na przykład do tradycji ludowej, cytując w „Te Deum”, „Requiem”, „Pasji” czy „Credo” dawne polskie pieśni religijne lub luterkański chorał w „Czarnej masce”.

Czy zdarzają się panu muzyczne wagary na marginesach partytury?

Czasem odwracam stronę i szkicuję na odwrocie swój powstający park. Robię to zwłaszcza wówczas, gdy wydaje mi się, że rozwiązań jest bez liku. Wówczas bardzo trudno się na coś zdecydować. I ponownie zanurzam się w labiryncie.

Każda epoka pozostawia swój rozpoznawalny język. Bach czy Mozart wiedzieli, dla kogo piszą. Wiedzieli, że będą zrozumiani. Czy pan nie obawia się niezrozumienia?

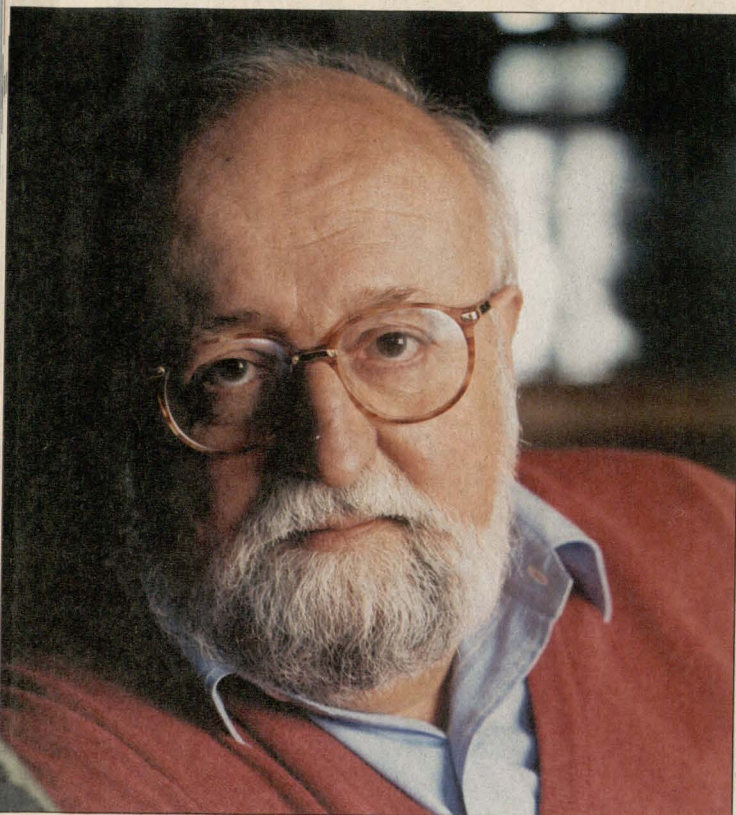
Nie, mój język muzyczny jest rozpoznawalny po kilku taktach. A melomani są wierni mojej muzyce od początku lat 60.

Partytura „Fluorescencji” wprowadza teoretyków w zakłopotanie. Przewiduje bowiem ręczne piłowanie drzewa i metalu, skrobanie pilnikiem po szkło i blasze. Jest też maszyna do pisania, szelest blaszanej folii i alarmowa syrena. Podobnie w „Polimorphii” – tu z kolei inspiracją do powstania partytury stał się elektroencefalograf. Czy to dlatego powiedział pan: „to nie ja odszedłem od awangardy, to awangarda odeszła od muzyki”?

Awangarda to dla mnie przełom lat 50. i 60. Dzisiejsza pseudoawangarda to przeważnie epigoni muzyki lat 60. Awangardę mogą tworzyć tylko wizjonerzy o wielkim talencie.

Jaki muzyczny język wytworzył koniec epoki?

Jeszcze nie nadszedł czas na dokonanie ostatecznej oceny. Każda epoka powinna odcisnąć znak czasu – również w muzyce. Mam wrażenie, że otacza nas muzyczna papka. Wielość gatunków nie zawsze idzie w parze z ich jakością. Ta „czkawka” nie może jednak



Różnorodność jest wpisana w harmonię.

trwać wiecznie. To jak z lotem jaskółek przed burzą. Im niższe loty, tym silniejszy grzmot.

Pytanie, co będzie po burzy?

Tylko taki wstrząs jak np. II wojna światowa może spowodować kolejną falę awangardy, która zniszczy dotychczasową estetykę. Wprowadzi rządy nowego po to tylko, by w pewnym momencie wszystko wróciło do tego, co było. Po każdej rewolucji musi nastąpić kontrrewolucja. Na razie jesteśmy gdzieś pośrodku.

Swego czasu przyznał się pan do kumoterstwa z chochlikiem, który siedzi sobie ukryty gdzieś w pańskiej osobowości. Ponoć ostatnio znacznie się uspokoił i pozwolił muzyce pójść w nieco innym kierunku – uciec od zgielku w liryzm oraz skupienie. Czyli – musica domestica.

Ten rodzaj muzyki kameralnej piszę tylko dla siebie. W ostatnich latach napisałem sporo takich utworów, choćby „Sekstet” czy też „Sonatę na skrzypce” – utwory o długości symfonii. Musica domestica to moje zakątki w labiryncie, niejednokrotnie ważniejsze niż pisanie wielkich utworów. Tych ostatnich napisałem już wystarczająco dużo. Odkrywając musica domestica,

czuję się tak, jakbym już wcielał w życie projekt zupełnie nie znanego dla mnie labiryntu. A co do tego zagadnienia: znalazłem plany średniowiecznego labiryntu z XIII wieku. Projekt, który nigdy nie został zrealizowany, co więcej – został wryty na kamieniu jednego z francuskich kościołów. Cały plan, który w skali naturalnej wyniósłby 60 na 60 metrów, został zamknięty na przestrzeni metr na metr. Na wiosnę przystępuję do jego realizacji. Z tego labiryntu niełatwo będzie wyjść. Sądzę, że to dobre miejsce dla niektórych osób. Nie podam im nitki Ariadny, a chętnie zostawiłbym ich na pastwę Minotaura.

Proszę o konkrety.

Niektórzy, pisząc muzykę sakralną, uprawiają swoiste „Christopolo”. Popołniają tym samym harakiri tępym ludowym kozikiem!

Taki labirynt to pomysł iście szatański. A skoro o diabłach mowa, Chryzostom jest autorem słów umieszczonych przez pana w partyturze „Diabłów z Loudun”: „Diabłu nie należy wierzyć – nawet gdy mówi prawdę”. Skąd na Pańskiej półce biblia Świętego Oficjum – „Młot na czarownicę?”

Rozmawialiśmy o sacrum i profanum. Dla mnie diabeł jest równie interesujący jak Pan Bóg. W sferze moich zainteresowań od zawsze znajdowały się tylko wielkie tematy: Męka i Zmartwychwstanie Chrystusa, Apokalipsa, Grzech Pierworodny. Samo dies irae występuje w mojej muzyce pięć razy. I to na pewno nie koniec. Jestem przekonany, że ono jeszcze niejednokrotnie powróci. Uważam, że są to tematy podstawowe, które każdy człowiek powinien drażnić. Na drobiazgi szkoda w życiu czasu. Dlatego na moich półkach można znaleźć różne rzeczy.

Pańskim zdaniem poczucie ładu i harmonii łączy się z odczuciem rozpadu i apokalipsy?

Jedno uzupełnia drugie. Filozofowie zastanawiają się nad istotą rzeczy, szukając odpowiedzi w nauce. Ja staram się znaleźć odpowiedzi na nurtujące mnie pytania w sztuce.

Stanisław Radwan powiedział, że tym czym dla literatury Oscar Wilde, tym dla muzyki Krzysztof Penderecki. Czasem bowiem stosuje pan cytaty nie tylko z własnych, ale i cudzych stylów. Muzyczne poczucie humoru?

Nie tylko muzyczne. Mam dystans zarówno do własnej osoby, jak też i twórczości. Bardzo lubię śmiać się z samego siebie. Mówiliśmy o autocytatach. Niejednokrotnie stanowią one pastisz moich muzycznych poczyni.

A gdyby zrobił to za pana ktoś inny?

Niewykluczone, że bym się na niego obraził.

Twierdzi pan, że jest swoistą hybrydą.

Rodzina pochodzi z kresów, babcia od strony ojca była Ormianką, dziadek Niemcem. Pańskiej twórczości również towarzyszy polistylistyka.

Wychowałem się w wielokulturowej tradycji. Dlatego jestem trudny do zasufladkowania. Tkwią we mnie uwarunkowania genetyczne z różnych kultur. Co do polistylistyki, to w zasadzie tylko „Król Ubu”, w którym nawiązywałem do muzyki Rossiniego, Wagnera. Taka zabawa.

Słowo „zabawa” dość często przewija się w tej rozmowie.

Ponieważ nie należy robić ze swojego warsztatu ołtarza. Ktoś, kto posiada tajniki wiedzy i doświadczenia, powinien mieć dystans do własnej twórczości, powinien umieć się tym bawić.

A jak brzmi życiowe credo Krzysztofa Pendereckiego?

Zakończyłem odchodzący wiek, pisząc „Credo”.

Czy jest jednak coś, czego pan wciąż szuka również w muzyce?

Stale, od najmłodszych lat. To otwarte przestrzenie utworów instrumentalnych. Napisałem ich już około dziesięciu, między innymi Capriccio na skrzypce, Capriccio na obój, teraz piszę Capriccio na trzy wiolonczele. Mimo że w wieku XIX forma ta była bardzo popularna, po jej „obumarciu” dla nas to wciąż terra incognita. Dlatego też w moim muzycznym języku staram się ją przywrócić.

Jeżeli warunkiem wstępu do duchowej arki jest prostota, jak uniknąć niebezpieczeństwa zabrania do niej niewłaściwej formy muzycznej?

Arka jest pojęciem bardzo szerokim. Znajdzie się w niej miejsce dla każdego gatunku muzycznego. Chętnie wziąłbym do niej na przykład zespół „Arka Noego”. Ale nie powinno być w niej miejsca na kicz, banał i szmirę. To, co dobre, obroni się samo. Jeśli stanie się inaczej, znaczy, że nie mieliśmy racji. ■



LESŁAW PETERS

Żaden inny statek kosmiczny nie borykał się z tyloma kłopotami. Mir przeżył pożar, zderzenie ze statkiem transportowym, a nawet bunt zdesperowanego astronauty.

Nikt nie sprowadzał z orbity tak wielkiego obiektu. Wcześniejsze radzieckie stacje kosmiczne miały zaledwie po ok. 20 ton, amerykański Skylab liczył 75 ton. Mir to blisko 140 ton żelastwa, którego duża część nie spłonie w atmosferze jak większość satelitów. Gdyby fragmenty stacji trafiły w teren zamieszkały, skutki przypominałyby ciężkie bombardowanie.

„Miroyla” nie będzie – zapewniają ludzie odpowiedzialni za zakończenie lotu stacji. Postanowiono sprowadzić ją w gęste warstwy atmosfery nad wo-

dami Pacyfiku i tam zatopić szczątki obiektu. W przeszłości jednak Mir tyle razy płał figle swoim opiekunom, że trudno się teraz dziwić obawom. Gdyby wiekowa stacja na finiszu odmówiła posłuszeństwa, skutki mogłyby być tragiczne.

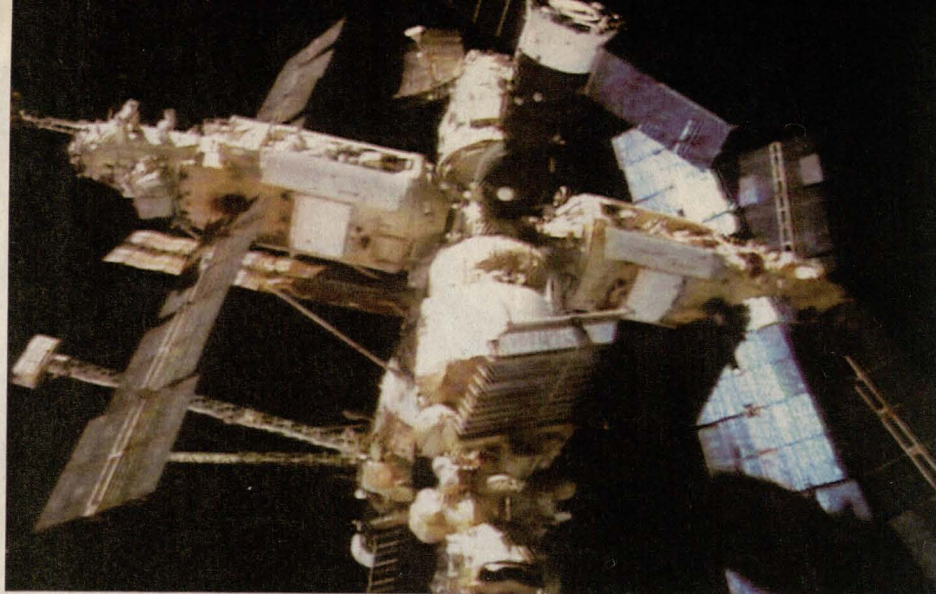
Zamiast badać – remontowali

Mira umieszczono na orbicie 20 lutego 1986 r. i świat natychmiast o nim zapomniał. W tym czasie dyskutowano jeszcze o przyczynach styczniowej katastrofy amerykańskiego wahadłowca Challenger, a na przełomie kwietnia i ma-

ja tematem numer jeden stał się Czarnobyl. Drobne usterki radzieckiej stacji przechodziły bez echa, wynikami badań interesowali się tylko specjaliści.

O stacji zrobiło się głośno dopiero z nadejściem kresu Związku Radzieckiego. Kryzys polityczny i ekonomiczny odsunął na dalszy plan problemy „nie z tej ziemi” i stan pozostawionej swemu losowi stacji zaczął się szybko pogarszać. Posłuszeństwa raz po raz odmawiały żyroskopy, powodując kłopoty ze sterowaniem. Zaczynało brakować energii, bo zmalała sprawność baterii słonecznych. Kosmonau-

FOT. FORUM



Połączone moduły Mira z przycumowanym (u góry) statkiem Sojuz



Party na pokładzie Mira po przybyciu kolejnej załogi amerykańskiej



Uścisk dłoni w kosmosie: Anatolij Sołowiow (z prawej) wita dowódcę wahadłowca Atlantis – Jamesa Wetherbee (wrzesień 1997 r.)

ci z badaczy przedzierzgnęli się w ekipę remontową.

Brakowało pieniędzy na kolejne misje. Z opóźnieniem docierały statki zaopatrujące kosmonautów w wodę, żywność i sprzęt do prowadzenia badań. Gdy w sierpniu 1994 r. ze stacją nie od razu połączył się statek towarowy Progress, Mirowi zajażdżało w oczy widmo likwidacji. Gdyby załoga nie odebrała ładunku, trzeba byłoby anulować misję z udziałem niemieckiego astronauty Ulfa Merbolda, a to oznaczało utratę pieniędzy z tytułu kontraktu. Własnych środków na wysłanie następnego statku transportowego nie było.

Bunt astronauty

Mira uratowali cudzoziemcy. Setkami tysięcy dolarów wsparli go głównie Amerykanie, którzy licznie zaczęli odwiedzać stację. Oficjalnie chodziło o wspólne przygotowania do budowy Międzyna-

rodowej Stacji Kosmicznej, ale wszyscy wiedzieli, że Stanom Zjednoczonym idzie o to, aby rosyjscy specjaliści raketowi nie emigrowali za chlebem do krajów mogących zagrozić bezpieczeństwu USA.

Poczynając od 1995 r., amerykańskie wahadłowce dziewięć razy połączyły się z Mirem. Sześciu astronautów NASA przebywało na Mirze po kilka miesięcy. Współpraca nie zawsze układała się harmonijnie, szczególnie wobec mnożących się kłopotów.

W lutym 1997 r. na pokładzie wybuchł pożar w systemie zaopatrującym stację w tlen. Ogień szybko ugaszono, ale dym był tak gęsty, że nie było widać końca wyciągniętej ręki. Kilka tygodni później awaria systemu termoregulacji spowodowała wzrost temperatury do 36 st. C. Naprawę systemu rzucono, gdy tylko temperatura spadła do 28 st., bo w kolejce czekały inne pilniejsze prace.

Przebywający w tym czasie w stacji Jerry Linenger uznał dalszy pobyt w Mirze za zbyt niebezpieczny i prosił NASA o umożliwienie wcześniejszego powrotu na Ziemię. Jednocześnie odmówił udziału w pracach remontowych, powołując się na warunki kontraktu, który obligował go tylko do prac badawczych. Zamknął się w wydzielonym w module Spekt „apartamencie” dla amerykańskich gości i do minimum ograniczył kontakty z rosyjską załogą. Prasa moskiewska pisała o pierwszej „wojnie” amerykańsko-rosyjskiej w kosmosie.

Następca Linengera, Michael Foale, utracił kosmiczny apartament. Podczas manewrowania statkiem towarowym w pobliżu stacji doszło do kolizji ze Spektrem. Mir padł ofiarą pierwszego w dziejach astronautyki kosmicznego zderzenia i z przedziurawionego modułu uciekło całe powietrze. W kolejnym transporcie z Ziemi Foale dostał szczoteczkę do zębów, maszynkę do golenia i tenisówki, bo w rozhermetyzowanej części stacji pozostały wszystkie jego rzeczy osobiste.

W poszukiwaniu kosmicznych turystów

Amerykańskie wsparcie finansowe i dostawy sprzętu przez wahadłowce znacznie poprawiły stan Mira. Gdy jednak dobiegł końca program spotkań na orbicie, Rosjanie nie mogli już liczyć na dalsze fundusze rządowe z USA. Amerykanie coraz wyraźniej dawali Rosji do zrozumienia, że powinna skoncentrować się na wypełnianiu swych zobowiązań w programie budowy Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Włodarze Mira zaczęli się więc rozglądać za kapitałem prywatnym. Próbowano przekształcić stację w pierwszy kosmiczny hotel i skusić do odwiedzania go zaможnych amatorów mocnych wrażeń.

Pierwszy chętny, który deklarował gotowość wpłacenia blisko stu milionów dolarów, okazał się zwykłym hołsztaplerem. Jako



Największe kłopoty Mira przypadły na okres prezydentury Jelcyna

kandydata do wycieczki na Mira wymieniano Jamesa Camerona, reżysera filmu „Titanic”. Rosyjski aktor, Władimir Stieklów, miał tu wziąć udział w kręceniu scen do filmu fabularnego, gdy jednak przyszło do płacenia, obiecane pieniądze zniknęły.

Całkiem poważnie podszedł do sprawy Dennis Tito – milioner z Kalifornii, z zawodu specjalista raketowy. Zgodził się zapłacić 20 mln dolarów. Za milion odbył szkolenie w rosyjskim ośrodku. Jego oferta nie zdołała jednak uratować Mira, którego roczne utrzymanie kosztuje 200–250 mln dolarów. Tito nie polecił już na rosyjską stację. Klamka zapadła.

Satelita na podwórku

Rosjanie pamiętają dobrze, ile nerwów towarzyszyło w 1979 r. niekontrolowanemu zejściu z orbity stacji Skylab, której szczątki wpadły do Oceanu Indyjskiego, częściowo tylko trafiając w odludne tereny południowo-zachodniej Australii. Mają też własne doświadczenia w tej dziedzinie. W 1991 r. fragmenty stacji Salut 7 spadły w różnych rejonach Ameryki Południowej. Na przykładzie Saluta 7 dobrze widać, czym groziłoby wymknięcie się Mira spod kontroli.

Od 1986 r. Salut 7 stale obniżał lot, hamowany przez zewnętrzne warstwy atmosfery. W ostatnich dniach życia stacja obniżała się 6–8 km na dobę. W nocy z 5 na 6 lutego 1991 r. weszła w gęste warstwy atmosfery nad Ameryką Po-

łudniową. Mieszkańcy południowo-zachodniej Argentyny zobaczyli na niebie jasne wybuchy. W ciągu następnych dni fragmenty obiektu odnajdywano w różnych rejonach kraju. Jeden element upadł w odległości 20 km od miasta Caleta Olivia, na wybrzeżu Atlantyku. Inny, wielkości pralki, trafił w podwórze domu mieszkalnego w miejscowości Capitan Bermudes. Duże odłamki odkryto w okolicach Buenos Aires. 130 km od Rosario rolnik pracujący na polu znalazł metalowy pierścień o średnicy 1,5 m i masie 8 kg. Niektóre detale upadły też w Chile. Rozrzut, jak widać, był spory.

Mir – podobnie jak Salut 7 – przelatuje nad wieloma dużymi aglomeracjami miejskimi. W jego zasięgu rażenia są m.in.: Nowy Jork i Waszyngton, Los Angeles i San Francisco, Mexico City, Rio de Janeiro i São Paulo, Sydney i Melbourne, Pekin i Szanghaj, Delhi, Bombaj i Kalkuta, wreszcie Paryż, Rzym i Madryt. Jest też Kraków wraz z całym południem Polski. Gdyby rzeczywiście szczątki stacji miały spaść na Ziemię w tym rejonie, zapewne znajdowano by je również gdzieś pod Turynem, Wiedniem, Warszawą, Lwowem czy Odessą.

W połowie lutego Rosjanie przyznali, że mogą mieć kłopoty ze sprowadzeniem wysłużonej stacji. – Każde urządzenie może kiedyś nawalić – stwierdził filozoficznie szef lotu Władimir Sołowiow. – Ryzyko szacujemy na około 3 procent. ■

Z ORBITY NA ZIEMIĘ

- 1964 – Satelita NASA zasilany plutonem rozpadł się w atmosferze nad półkulą południową, powodując skażenie radioaktywne małży i ryb w wodach antarktycznych.
- 1978 – Szczątki radzieckiego satelity Kosmos 954 z zasilaniem jądrowym spadły na nie zamieszanych terenach Kanady; zarejestrowano niewielki wzrost radioaktywności.
- 1979 – Większa część fragmentów amerykańskiej stacji Skylab zatonała w Oceanie Indyjskim u wybrzeży południowo-zachodniej Australii.
- 1991 – Pozostałości stacji Salut 7 znaleziono w różnych rejonach Argentyny i Chile.
- 1993 – Dopalające się szczątki rosyjskiego satelity w okolicach Florydy spowodowały wstrzymanie na 22 sekundy startu wahadłowca Endeavour.
- 1996 – Fragment rakiety nośnej Delta o masie 225 kg znaleziono w Georgetown w Teksasie, 45 m od domu mieszkalnego.

DWAJ KOSMICI Z MIRA

29 czerwca 1995 r. z Mirem połączył się amerykański wahadłowiec Atlantis. Powstał wtedy na orbicie po raz pierwszy kompleks o masie ok. 220 ton, a w jego wnętrzu pracowało 10 osób. Wracając na Ziemię, wahadłowiec zabrał – przebywających od marca w stacji – Władimira Dieżurowa, Giennadija Striekałowa i Normana Thagarda. Nikt jednak nie pomyślał wcześniej, że aby legalnie wylądować w Stanach Zjednoczonych, obaj rosyjscy kosmonauci muszą mieć... wizy wjazdowe. W tej sytuacji amerykański Urząd Imigracji i Naturalizacji zastosował po raz pierwszy nową procedurę: Rosjanie zostali potraktowani jako „oby z kosmosu”. Będzie, jak znalazł, gdy w USA wylądują prawdziwi kosmici.

MIĘDZYNARODOWE TOWARZYSTWO

Przez pokład Mira przewinęli się astronauty z 12 państw (licząc jako jedno ZSRR i Rosję). Najliczniej odwiedzali stację Amerykanie. Było ich tu 44, a Rosjan 42. Prócz nich Mir gościł 6 Francuzów, 4 Niemców i po jednym przedstawicielu Austrii, Afganistanu, Bułgarii, Japonii, Kanady, Słowacji, Syrii i Wielkiej Brytanii.

REKORDY

Na pokładzie Mira Walery Polakow odbył najdłuższy lot w historii astronautyki. W marcu 1995 r. wrócił na Ziemię po 438 dniach spędzonych w kosmosie. Inny absolutny rekord ustanowił Siergiej Awdijew: podczas trzech kolejnych wizyt w stacji przebywał łącznie na orbicie 748 dni. Rekordzistką z Mira jest też Amerykanka, Shannon Lucid. W 1996 r. odbyła misję trwającą 188 dni – najdłuższą wykonaną przez kobietę (i odebrała rekord Rosjance, Jelenie Kondakowej). Lot ten dał jej też pierwsze miejsce wśród wszystkich Amerykanów, którzy do tej pory byli w kosmosie. Na jej pokładzie gościły w sumie 104 osoby (też rekord!), niektóre nawet kilka razy. Rosjanin Anatolij Sołowiow był tu aż pięciokrotnie; raz przyleciał amerykańskim wahadłowcem. Z astronautów zagranicznych najczęściej odwiedzał Mira Amerykanin Charles Precourt – trzy razy. Sama stacja była też obiektem wyjątkowym, osiągając nie spotykaną wcześniej maksymalną masę ok. 140 ton. Podczas ostatniego połączenia z amerykańskim wahadłowcem Discovery w czerwcu 1998 r. utworzyła kompleks orbitalny o masie 248 ton.

Piknik w muzeum

Galeria sztuki współczesnej w Toronto – Art Gallery of Ontario ma świetną kolekcję sztuki nowoczesnej i współczesnej. Największą jej atrakcją jest dział sztuki eskimoskiej i imponujący zestaw rzeźb jednego z najwybitniejszych artystów ubiegłego stulecia, Henry'ego Moore'a. Projekt zakupu „Łuczynika” Moore'a wzbudził niegdyś wielkie kontrowersje. Oburzenie publiczności i radnych kosztowało burmistrza Givensa utratę posady. Przedtem jednak przeformował zakup. Ten dowód uznania (Moore był także doktorem honoris causa uniwersytetu w Toronto) sprawił, że artysta pod koniec życia przekazał galerii całą kolekcję gipsów. Dar przyjęto skwapliwie, dobudowując nowe skrzydło dla odpowiedniej ekspozycji prac.

Dobra kolekcja nie wystarcza jednak, by ciągle skupiać zainteresowanie publiczności wychowanej na Internecie i multimedialnych formach przekazu. Organizuje się więc specjalistyczne pokazy kina europejskiego, awangardowych filmów, szkółki malarstwa i rysunku oraz tzw. programy rodzinne, mające zachęcać do odwiedzania galerii ludzi szukających nie tylko wrażeń artystycznych, ale przede wszystkim rozrywki. Na organizowanych przyjęciach urodzinowych dla dzieci pracownicy galerii dbają o to, by wszyscy świetnie się bawili. Urodzinowe zabawy w kinie, kręgielni, tropikalnej kawiarni czy z udziałem prawdziwego czarodzieja są niezwykle popularne i większość rodziców ulega tej komercyjnej modzie.



Alison opowiada historię hamburgera.

Muzealna impreza rozpoczyna się od zabawy w specjalnie przygotowanej sali, gdzie zgromadzone są kostiumy, wymyślne artystyczne zabawki, gdzie nie brak miejsca na swobodne wykorzystanie wyobraźni. Potem rozbawiony solenizant i jego goście wyruszają na zwiedzanie galerii. Zaproszone przez siedmioletniego Filipa dzieci były naturalnie najbardziej zafascynowane gigantyczną rzeźbą hamburgera Claesa Oldenburga. Z szeroko otwartymi oczami słuchały historii kradzieży plastra ogórka wielkości sporej poduszki. Mieszkający w Nowym Jorku artysta, na wieść o przestępstwie, „dokroił” świeży plaster i przywiózł go osobiście do Toronto.

Na zakończenie czekają warsztaty artystyczne i przyjęcie, na które zamawia się najbardziej popularne w gronie pierwszoklasistów danie – pizzę. Jest także urodzinowy tort i napoje chłodzące. Wejście do galerii przypomina bardziej okolice dworca lotniczego niż szacowną instytucję kulturalną. Spory tłumek odwiedzających sprawnie znika w rozmaitych korytarzach, windach i tajemniczych przejściach. Co jakiś czas w drzwiach pojawia się dostawca pizzy. Niedziela w muzeum przypomina piknik.

ALEKSANDER RYBCZYŃSKI

WIĘCEJ KŁAMSTWO JERZYM



Jared Harris jako Kosiński (Lesnewski) w Vineyard Theater.

Autor „Malowanego ptaka” jest w Ameryce ciągle w modzie. Jego książki wciąż się pojawiają na półkach księgarskich i z nich znikają. On sam także wzbudza emocje, nie mniejsze niż 10 lat temu. Zagadki jego śmierci nie dało się jakoś racjonalnie wyjaśnić, a skomplikowane życie prywatne ekscytuje tak samo jak domniemania, czy jest rzeczywiście autorem swoich dzieł i czy „Malowany ptak” został na pewno oparty na jego własnej historii, choć w książce nigdzie nie jest to powiedziane wprost.

Świetny pisarz – twierdzą jedni, zręczny hochsztapler – powiadają inni. Ależ talent – ależ mistyfikacja. Dla amerykańskich Polaków Kosiński

ski to Żyd z niejasną przeszłością, dla Amerykanów – piszący po angielsku Polak o żydowskich korzeniach, dla Żydów – postać niedookreślona i podejrzana. Ci ostatni raczej nie wymachują „Malowanym ptakiem” jako sztandarową ilustracją antysemityzmu Polaków.

Ostatnio Jerzy Kosiński stał się bohaterem scenicznym. Nie występuje wprawdzie pod swoim nazwiskiem, ale i tak wszyscy wiedzą, że chodzi właśnie o niego. Stało się to za sprawą Daveya Holmesa, który napisał sztukę „More Lies About Jerzy”, tłumaczoną jako „Więcej kłamstw o Jerzym”, graną teraz w Vineyard Theater.

Jej bohaterem jest Jerzy Lesnewski, popularny pisarz, wywodzący się z Polski. Dyktuje on byłej kochance (pełniące rolę jego sekretarki i redaktorki zarazem) książkę, w której wykorzystuje wątki z pamiętnika swojej obecnej kochanki. Nie uważa, żeby było to czymś nagannym. Rosnąca sława powoduje zainteresowanie nie tylko jego dawnymi książkami, ale i wcześniejszym życiem. W wyniku dziennikarskich szperań wychodzą na

wierzch dawne kłamstwa i półprawdy. Pojawiają się oskarżenia o podszywanie się pod cudzą biografię, korzystanie z cudzych pomysłów, sygnowanie swoim nazwiskiem rzeczy nie pisanych samodzielnie. Nagie fakty wyciągnięte z przeszłości osaczają coraz bardziej Lesnewskiego. Bliscy się od niego odsuwają. On sam już nie wie, co jest ważniejsze, czy fikcja i manipulacje, jakich dopuścił się w swoich książkach, czy jego rzeczywisty życiorys. Pojawia się nieuchronne pytanie: kim jest naprawdę? Odpowiedzią jest decyzja o samobójstwie.

Autor sztuki nie stawia kropek nad „i”, jakby sam zastanawiał się nad naturą pisarstwa. Na ile mamy prawo wykorzystywać w nim czyjeś zapiski, inspirować się czyimś życiem, zakłamywać życie własne i chować się w czyjejś biografii? We wspomnieniach innych bohaterów sztuki Lesnewski jest raz człowiekiem o zniewalającym uroku, raz zimnym karierowiczem. Jego kolejne kochanki wiedzą, że mogą być wykorzystane wprost albo pośrednio jako materiał literacki.

Holmes nie byłby amerykańskim pisarzem, gdyby nie uciekał się do grzebiącej w dzieciństwie psychoanalizy. Dla Amerykanów jest ona niezbywalnym imperatywem, często wystarczającym. Lesnewski/Kosiński grany przez Jareda Harris'a jawi się więc jako wieloletni urazów doznanych w pierwszym okresie swego życia. Bardziej wzbudza sympatię i wzruszenie niż wywołuje refleksje.

Przedstawienie wyreżyserowane przez Darko Trensja, zostało dobrze przyjęte przez recenzentów, którzy podkreślali świetną grę aktorów, wyróżniając przede wszystkim Davida Londona w roli nowojorskiego dziennikarza, próbującego ustalić fakty z życia pisarza, niczym w Polsce Joanna Siedlecka w swej książce „Ptasior”. Pochwały zebrał także wspomniany już Jared Harris, znany publiczności z tytułowej roli w niezależnym filmie „I Shot Andy Warhol”. Zarówno o jego kreacji, jak i całym przedstawieniu słychać było w mieście, czyli – jak mówią tubylcy – w Wielkim Czerwonym Jabłku.

ANDRZEJ JÓZEF DĄBROWSKI



Jerzy Kosiński podczas pobytu w Polsce.

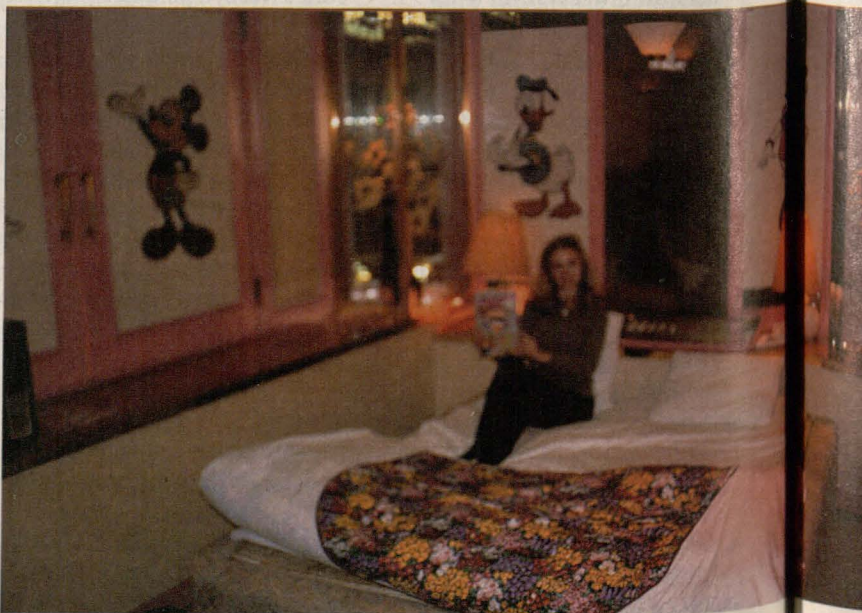
HOTELE MIŁOŚCI

Japonia jest ciasna dla 126 mln mieszkańców. W Tokio na jedną osobę przypada średnio 5 m kw. powierzchni mieszkalnej. Nic więc dziwnego, że Japończycy polubili hotele miłości i w nich szukają intymnych wrażeń. Lśniące neony fasad, rokokowa architektura, rzeźby przed wejściem – to niektóre z elementów rozpoznawczych tego przybytku. Nie ma on nic wspólnego ze spelunkami dla prostytutek w Europie. Komfort, dyskrecja, anonimowość. Do hotelu prowadzi osobne wejście i wyjście. Jest tu także parking niewidoczny z zewnątrz. Proponowane są dwie formuły: „rest”, czyli odpoczynek w dzień i wczesnym wieczorem. Pokoje wynajmowane są zazwyczaj na dwie godziny, a ceny najdroższe. „Stay” to pobyt na noc, taryfa po godz. 22 zbliżona do cen innych hoteli. W holu kolorowe zdjęcia pokoiów do wynajęcia. Ich wystrój zaspokoje najróżniejsze gusta. Proponowane są dekoracje: od orientalnych przez futurystyczne, aż do disneyowskich słodkości i co się jeszcze komuś zamarzy. Recepcjonistka, w zamkniętym i zasłoniętym pomieszczeniu, przez małe okienko na wysokości pasa inkasuje należność,

nie widząc klientów i wydaje klucz. Z hotelu mogą skorzystać zarówno przygodne pary, jak również małżeństwa lub młodzi, którym mieszkanie z rodziną ogranicza to, na co mają największą ochotę. Do gniazdka miłości prowadzi wspaniała łazienka zaopatrzona we wszelkie możliwe produkty do demakijażu, pachnidła do kąpieli czy balsamy do ciała. Znajdziemy tu wszystko, co potrzeba, jeżeli wychodząc z domu, nie przewidywaliśmy małego skoku w bok. W pokoju punktem centralnym jest wspaniałe łóżko, często wibrujące. Oprócz tego masa innych atrybutów, zależnie od hotelu: elegancka sofa, barek, zestaw kaset wideo, muzyka, możliwość regulacji światła na wszystkie sposoby, zaopatrzenia się w różne wymyślne przedmioty lub afrodyzjaki, a także skorzystania z kamery, aby utrwalić pobyt (trzeba tylko pamiętać o zabraniu kasety przy opuszczaniu hotelu). Na początek należy rzucić w partnera poduszką, to podobno jeden z najlepszych stimulatorów erotycznych, a później puścić wodze fantazji.

MARTA TOBIASZ-JOUIER

JAK TO SIĘ ROBI W TOKIO





Uwaga! Kieszonkowce!

Do Polski dotarła następna – po żółwiach Ninja, power-rangersach, batmanach, tamagochi i teletubisiach – maniacka moda na stworzonka nie z tej ziemi. Jest to 150 pokemonów – kieszonkowych potworków rodem z Japonii.



POKEMON: FILM PIERWSZY. Pełnometrażowy film animowany, który opowiada o przygodach postaci zwanych pokemonami, czyli o „pocket monsterach” – potworach kieszonkowych. Fabuła jak najbardziej współczesna, aktualna i dorosła, mimo że film przeznaczony jest dla dzieci. Główną postacią jest sklonowany przez cynicznych naukowców superpokemon Mewtwo (czyli drugi Mew). Sprzeciwia się swojemu przeznaczeniu – nie chce być przedmiotem badań laboratoryjnych. Swoją nadpokemonową siłą klonuje inne pokemony i rozpętuje wojnę przeciwko pokemonom-niewolnikom, to jest stworcom oswojonym przez trenerów, oraz samym trenerom, czyli dzieciom kielznającym stworki. Znaczna część filmu to

(dorośli) istna jatka – wojna wszystkich przeciwko wszystkim – z eksplozjami, pościgami i czym tylko się da. Cel jest wiadomy – chodzi o tak wielkie natężenie zła i przemocy, aby finałowa apoteoza dobra, zgody i piękna wypadła jeszcze okazalej. Dzieci powinny być zachwycone, bowiem utożsamiają się z trenerami, którzy mimo trudnej sytuacji w końcu z największych opalów wychodzą obronną ręką. Samo nawrócenie się superpokemona jest w tym momencie mało przekonujące fabularnie, ale ideowo konieczne. Film sprawia, niestety, wrażenie przedłużonego do granic możliwości odcinka serialu telewizyjnego. W finale Mewtwo – na czele załogi swoich pokemonów-klonów – ulatuje w siną dal. Chociaż nie, raczej w stronę następnych części. (JAZ)

Reż. Kunihiko Yuyama, Japonia 1999.

150 jest ich na razie, bo są wciąż mnożone przez zapobiegliwych producentów. Faworytem dzieci, które są docelowym obiektem ataku, jest pokemon Pikachu, każde zaś z dzieci chce zostać trenerem jak najliczniejszej stajni kieszonkowców.

Szum wokół pokemonów jest klasycznym przykładem chwytu marketingowego, opierającego się na stra-

tegi określanej przez fachowców mianem cross-media promotion. Oznacza to tyle, że w określonym momencie na nas, klientów, z różnego rodzaju przekazników chlusta fala informacji o produkcie. A wszystko to w jednym jedynym celu: aby zwiększyć sprzedaż towaru i – co za tym idzie – zysk.

Na początku lat 90. pojawiły się w Japonii stworzone przez Satoshi Tajiri i Tsunekazu Ishihare rysunkowe stworki, a w efekcie – gra komputerowa, dystrybuowana przez Nintendo. Potem – bo trzeba iść za ciosem, skoro pomysł chwycił – pojawiły się kolejne zestawy gadżetów: komiksy, zabawki, karty do gry, wreszcie animowany serial i jego pełnometrażowa wersja kinowa. Jako że pokemonów jest sporo, zatem do monstrualnych rozmiarów rozrósł się system kolekcjonowania i wymiany kart z ich wizerunkami.

W świecie pokemonów stworzono bowiem niezwykle zmyślną postać, z którą dziecko chce, a pod wpływem innych rówieśników wręcz musi się utożsamiać: to trener pokemonów. Od jego siły wewnętrznej zależy ilość i jakość wytrenowanych stworków. Wprowadza to przy okazji między dziećmi nastrój wyimaginowa-

wanej rywalizacji, co dodatkowo nakręca sprężynę manii.

Wersja kinowa – jak donoszą dystrybutorzy – bije rekordy powodzenia, ponad 50 mln dolarów zarobiono w czasie kilku zaledwie dni wyświetlania. Liczba stron internetowych rośnie w niebywałym tempie – ale chyba nie tworzą ich dzieci dla dzieci.

Dziecko jest osobą bardzo podatną na wpływy. Wykorzystano to niecznie, a rodziców sprowadzono do roli sponsorów. Tak naprawdę dziecko okazuje się elementem przetargowym między dorosłymi, którzy stworzyli pokemony, a dorosłymi, których pociechy uległy magii tychże stworków. Dziecko, które w szczytowym momencie manii nie zainteresuje się stworkami, zostanie odrzucone przez wtajemniczonych rówieśników. I właśnie na mechanizmie owczego pędu opiera się konsumpcyjna celebryta tego nie najzdrowszego zjawiska.

Po moim seansie filmu „Pokémon: film pierwszy” (tytuł powalający w swoim szczerym komunikacie, że gotowe są już filmy kolejne) dzieci niczym relikwie wynosiły papierowe torebki po prażonej kukurydzy, na których widać było pokemony. W niektórych torebkach popcorn nie był nawet tknięty. Ale torebkę można było kupić tylko z zawartością. I o to właśnie chodzi, i tak to się robi, i tak to się zarabia.

JACEK ZIEMEK

● SŁABE ●● PRZECIĘTNE ●●● ZACNE ●●●● WYBITNE ●●●●● ZNAKOMITE



NIEZNISZCZALNY. Twórca „Szóstego zmysłu” kolejny raz bada zjawiska parapsychologiczne. Bohaterem jest człowiek, który się wypadkom nie kłania. Film opowiada o długim dochodzeniu do świadomości tego daru oraz jego chorej genezy. Sprawcą wydarzeń okazuje się demoniczny fan komiksów, który szuka swojego przeciwieństwa i tworzy je. Film ma dwie zasadnicze wady. Po pierwsze, scenariusz jest wydumany. Charaktery bohaterów dopełniają się

●● w sposób tak oczywisty, że finał tej nazbyt mechanicznej opowieści jest łatwo przezuwalny. Po drugie – co trudniejsze do wybaczenia – Shyamalan zawodzi jako reżyser. Jego metoda – długie ujęcia bierną kamerą, powolnie najjeżdżającą na obiekty sceniczne – zamiast tworzyć atmosferę napięcia, nuży i męczy. Również strona ideowa filmu nie jest najwyższej próby. Uczynienie z ideologii komiksu podstawy rozważań o egzystencji i przeznaczeniu nie jest fortunne; daje efekt braku powagi, sprzeczny z patosem inscenizacji. Dzieło opiera się na skupionej i oszczędnej grze Bruce’a Willisa, który sam musi poruszać się w fabularnej próżni stworzonej przez scenarzystę i reżysera. Powstało dzieło nieudane, które – powtarzając strategię „Szóstego zmysłu” – na pewno nie powtórzy jego sukcesu. (JAZ)

Reż. M. Night Shyamalan, USA 2000.



BILLY ELLIOT. Udane i twórcze połączenie brytyjskiej szkoły kina społecznego z opowieścią o inicjacji artystycznej. Lata 80. poprzedniego wieku. Rodzina z górniczej osady zmaga się z żelaznym uściskiem pani premier. Trwa strajk. Podczas gdy ojciec ze starszym synem twardo walczą o przetrwanie, jedenastoletni Billy odkrywa w sobie uwielbienie dla baletu. Otoczenie uznaje skłonność za zawstydzającą i niemęską. Chłopiec, będąc nieco zaskoczony własnym zamiłowaniem, wykorzysta daną mu

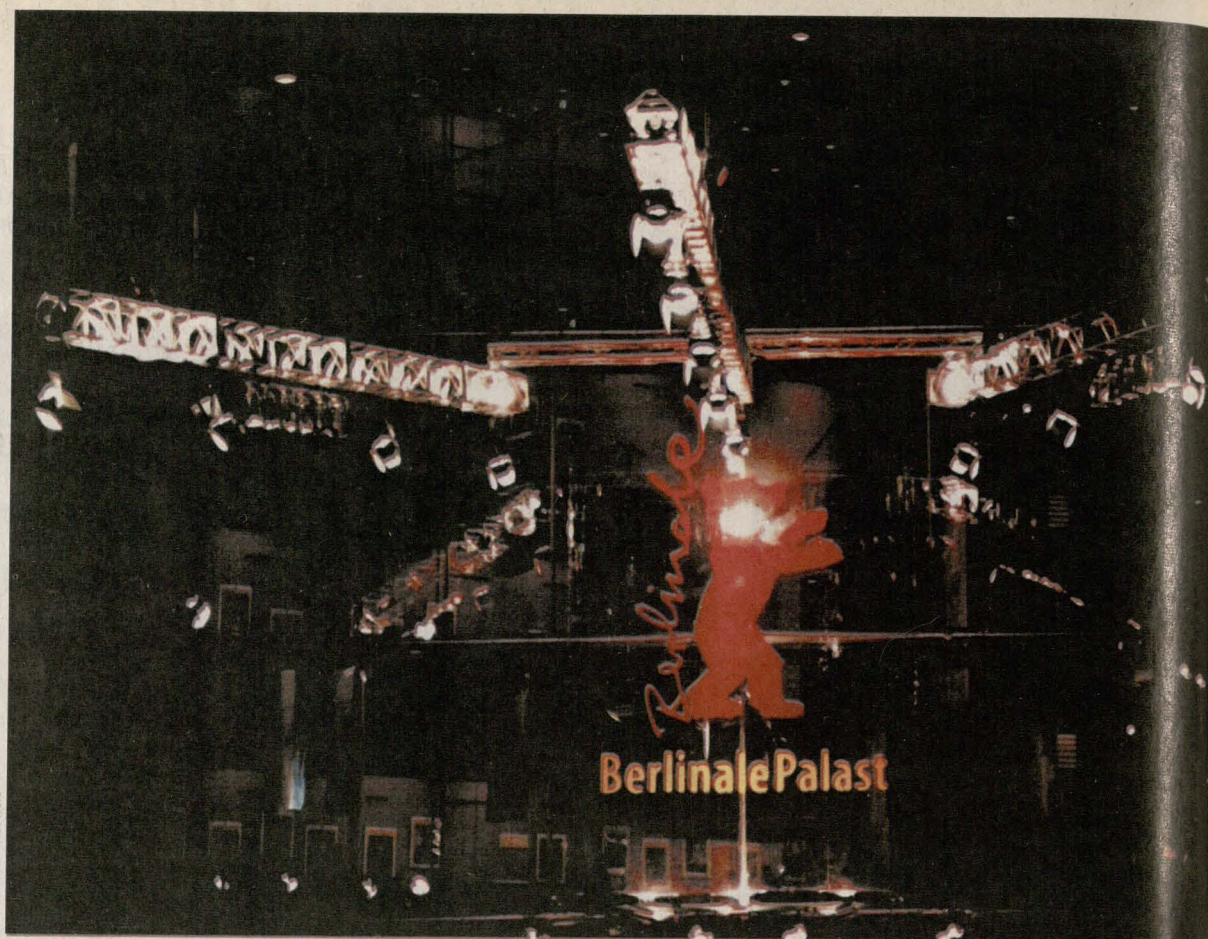
●●●● od przodków siłę charakteru, by obronić drogę ku swojej osobności. Poprowadzi go imperatyw ekspresji artystycznej, zrodzony samoistnie w środowisku pozbawionym tradycji sztuki. Zdziwiona mocą jego pasji rodzina dojrzeje do akceptacji i wsparcia nie znanego wcześniej fenomenu. Klarownie opowiedziana, świeża historia o naturalnej potrzebie wyrażania wewnętrznego piękna ujmuje autentyzmem przeżyć, przewrotnym humorem, porywającą choreografią i wyśmienitym aktorstwem. (TP)

Reż. Stephen Daldry, Wielka Brytania 2000.

MARIA MALATYŃSKA

**W tym roku
na Międzynarodowym
Festiwalu Filmowym
w Berlinie
- BERLINALE 2001
- najważniejszą
wartością był CZAS.
I to przeszły.**

FOT. STACH SZAWKOWSKI



WEHIKUŁ czasu

Retrospektywy filmowe, cytaty z przeszłości kina, wizyty legendarnych gwiazd (Kirk Douglas, Sean Connery) - to niespodziewana tonacja starego wprawdzie, bo 51-letniego festiwalu, ale odbywającego się przecież w najbardziej kipiącym energią i zapatrzonym w przyszłość miejscu Europy. Czyżby to magia nowego wieku wymogła potrzebę równowagi czasowej?

Największym wydarzeniem festiwalu stała się prezentacja nowej technicznie wersji starego, niemego arcydzieła Fritza Langa - METROPOLIS (z 1925/26 roku), zaprezentowanego jako „koncert na film i orkiestrę”. Orkiestra Symfoniczna Radia Berlińskiego grała przed ekranem specjalnie skomponowaną do tego filmu muzykę Berndta Schultheisa,

a na ekranie wyświetlano film. METROPOLIS stał się dla wszystkich oczekiwani filmowych mocnym punktem odniesienia. Bo jego dramatyzm, siła społecznych wizji, niegdyś słusznie uważanych za bajkę - teraz, po swoistym spatynowaniu się - zyskał rangę bardzo współczesnego symbolu zagubienia, także i w naszym, krańcowo podzielonym na bogactwo i ubóstwo, świecie. Wrażenie nowoczesności wizji okazało się zresztą w Berlinie obrazowo dosłowne, gdy w środku nocy, wprost po projekcji, wielotysięczna (sala kina festiwalowego ma 3000 miejsc) publiczność wyszła przed kino. Niemie i czarne wieżowce nowego placu Poczdamskiego były idealnym powtórzeniem scenografii filmu. Owego współczesnego molocha, którego

wymyślił, wzorując się na Nowym Jorku, sam Fritz Lang przed 75 laty!

Innym posłaniem „przeszłości dla przyszłości” - okazał się brawurowy finał Berlinale, czyli ODYSEJA KOSMICZNA 2001, klasyczne dzieło zmarłego niedawno Stanleya Kubricka z 1968 roku. W 2001 roku trudno o lepszy cytat ze światowego dorobku kina. Oszałamiające efekty specjalne części technicznej powstały na rok przed lądowaniem człowieka na Księżycu, a film i tak potrafił zawołać publiczność jeszcze czym innym: siłą własnych, poetyckich wizji, które Kubrick zawarł w tej legendzie wiecznej wędrówki. Dziś, w finale starej, filmowej imprezy jedno pozostaje fascynujące: gdy w ostatniej części filmu, po zapierającym dech



w piersi „locie” kamery poprzez barwy i kształty obrazów nieprzewidywalnych znajdziemy się wreszcie w pustym, stylowo wysmakowanym pałacowym wnętrzu XVIII-wiecznego salonu. Tam przy dźwiękach Straussowskiego walca przeżyjemy starość, śmierć i nieśmiertelność człowieka jako wciąż żywego embrionu.

I trudno nie pomyśleć wtedy, że wielkość kina polegać będzie zawsze na umiejętności notowania tajemnicy ludzkiego marzenia i najbardziej nawet nieprzewidywalnej fantazji.

Między METROPOLIS a ODYSEJĄ KOSMICZNĄ 2001 - dwoma klasycznymi freskami „z bajkowej przyszłości” - na Berlinale zmieściła się cała fascynacja przeszłością: dwie wielkie retro-

aktora jakaś dziennikarka. A gwiazdor, „stary” wędkarz, odparował bez namysłu i bez uśmiechu: „Cieszę się, że mam aż takie branie!”.

Wtegorocznym BERLINALE przeszłość wracała co chwilę, w najbardziej zaskakujących momentach. Oto Amerykanie odtworzyli, z istic dokumentalną precyzją, sytuację polityczną „trzynastu dni” napięcia wo-



Patrice Chéreau, reżyser nagrodzonego Złotym Niedźwiedziem filmu INTIMACY

spektywy filmowe (filmów Fritza Langa i Stanleya Kubricka), a także inne, niespodziewane nostalgiczne kina aktorskiego. Nawet i ten fakt, że oto Złotego Niedźwiedzia za całokształt osiągnąć artystycznych otrzymał w tym roku Kirk Douglas.

I choć było w tym roku w Berlinie kilka młodych gwiazd (m.in. Juliette Binoche), to przecież atrakcją rzeczywiście pozostał Kirk Douglas. A mógł mu dorównać co najwyżej... Sean Connery. Bo słynny niegdyś Bond dziś uwielbiany jest głównie za swoją dekoracyjną, choć czynną zawodo-

wo „starość”. Do Berlina przybył z ekipą konkursowego filmu, w którym grał główną rolę (FINDING FORRESTER Gusa van Santa - prawdziwie genialna recepta na zrobienie atrakcyjnego filmu z odpowiednio dozowanych narodowych kompleksów!). Czy to jest więc „starość”? „Wciąż jest pan moim ideałem erotycznym” - zawołała na konferencji

kół Kuby (THIRTEEN DAYS Rogera Donaldsona, m.in. z Kevinem Costnerem) z czasów prezydentury Johna Kennedy’ego, gdy mogła lada moment wybuchnąć trzecia wojna światowa. „Kogo to obchodzi?” - wzruszali ramionami młodzi widzowie. Oto Hiszpanie zrealizowali wysmakowaną plastycznie opowieść, niby z początku lat czterdziestych, gdzie najważniejszą wartością były czarne-białe zdjęcia, stylowe kostiumy, stylowe auta (film UNA HISTORIA DE ENTONCES Jose Luisa Garcii, nagrodzone Srebrnym Niedźwiedziem zdjęcia Raula Pereza Cubero).

Ale nawet w aurze zachwytu przeszłością na każdym festiwalu liczy się teraźniejszość. Tym razem dominowało w Berlinie kino azjatyckie. Od kilku przynajmniej sezonów to kino jest wszędzie obecne i modne. Dobrze sprawdza się na festiwalach, jest interesujące dla odbiorców różnych stron świata. I wtedy, gdy

jest wtopione we własną tradycję kultury, i wtedy, gdy umie być cytatem „z Europy” czy „dla Europy”.

Takim zachwycającym cytatem okazał się chiński obraz BEIJING BICYCLE, „Chiński rower”. Bo jego punktem wyjścia była chyba refleksja nad klasycznymi ZŁODZIEJAMI ROWERÓW. Młodziutki bohater zostaje przyjęty do firmy ekspresowej. Dostał od niej umundurowanie i rower. Bez niego nie można pracować, bo rozwozi się po mieście przesyłki. Rower zostaje skradziony. Młody człowiek dostaje od pracodawcy jedną szansę: jeśli odnajdzie swój rower - zostanie ponownie przyjęty do pracy. Zaczynają się żmudne poszukiwania. Poznajemy przy tej okazji całą chińską „cywilizację rowerową”: do pracy, do szkoły, na zakupy i na spacer - każdy jedzie na rowerze. Jak odnaleźć w takim gęszczu upiętych wszędzie kierownic, kół, łańcuchów te własne, właściwe? Równocześnie prowadzony jest drugi wątek: tego, który ukradł.

Film otrzymał Srebrnego Niedźwiedzia, Nagrody Aktorskie dla młodziutkich wykonawców i stał się prawdziwym odkryciem festiwalu.

Nie został takim odkryciem japoński obraz INUGAMI, choć obezwładnił beznamiętnie przyrody, tajemniczością obrzędów, mistyką japońskiego świata i ambicją połączenia poetyckiej wieczności z nowoczesną współczesnością.

Czy BERLINALE to już rzeczywiście centrum świata filmowego? Od czasu gdy sam Berlin - zjednoczony, dynamiczny, wielonarodowy i wielojęzyczny - pretenduje do rangi stolicy Europy - takie ambicje jego festiwalu są bardziej uzasadnione. Wszak „West” i „Ost” - to nie tylko wciąż trudno się scalające wschodnie i zachodnie Niemcy. To konfrontacja kina Europy i Ameryki, Europy i Azji. Na rozpoczęcie festiwalu pokazano ENEMY AT THE GATES Jean-Jacquesa Annauda: film niemiecki, reżyser francuski, aktorzy amerykańscy, a problematyka... radziecko-niemiecka, bo w formie amerykańskiego westernu wróciła tu na ekran problematyka wojennego Stalingradu. Czy można sobie wyobrazić lepszy koktajl?

Więc może tak naprawdę nie jest zbyt ważne, który z tych filmów otrzyma najwyższą nagrodę? Może to być nawet... INTIMACY („Intymność”)?

Brytyjski film, w którym warto zapamiętać francuskiego reżysera Patrice’a Chéreau, bo uznany został za najlepszego, europejskiego reżysera - opowiadał o wiecznej sprawie: o seksie jako o wartości samodzielnej, ważnej poza ułożonym życiem rodzinnym i społecznym - bo istniejącej po to, aby człowiek nie odczuwał samotności. Pokrętne? Chyba tak! W tym temacie wolałam przed laty OSTATNIE TANGO W PARYŻU Bertolucciego. Ale i dziś istic pornograficzne sceny ogląda się w skupieniu, bo mają psychologiczne podteksty i pokazują współczesne lęki. Interpretacja, jak widać, zawsze bywa najważniejsza! I to może być optymistyczne!

WYNIKI 51. MIĘDZYNARODOWEGO FESTIWALU FILMOWEGO W BERLINIE

Jury pod przewodnictwem Williama M. Mechanica, producenta amerykańskiego przyznało następujące nagrody:

ZŁOTY NIEDŹWIEDŹ przypadł angielskiemu filmowi
INTIMACY, REŻ. PATRICE CHÉREAU

WIELKA NAGRODA JURY:
SREBRNY NIEDŹWIEDŹ przyznany został chińskiemu filmowi
BEIJING BICYCLE, REŻ. WANG XIAOSHUAI

NAGRODA JURY,
SREBRNY NIEDŹWIEDŹ filmowi
ITALIENSK FOR BEGYNDERE, REŻ. LONE SCHERFIG

NAJLEPSZĄ AKTORKĄ została **KERRY FOX** w filmie **INTIMACY**

NAJLEPSZYM AKTOREM został **BENICIO DEL TORO** w amerykańskim filmie **TRAFFIC** reż. Stevena Soderbergh

NAJLEPSZYM REŻYSEREM
EUROPEJSKIM został
PATRICE CHÉREAU za swój film **INTIMACY**



MĘSKA GRA. Oliver Stone – naczelny demaskator amerykańskiego stylu życia – tym razem przedstawia kulisy amerykańskiego futbolu. Bohaterami czyni starszawego trenera z zasadami, nową i drapieżną właścicielkę drużyny „Rekinów” z Miami oraz wschodzącego gwiazdora tej dyscypliny. Konflikty między nimi są nieuniknione – co jest osiłą fabuły, osadzoną w zamasyście nakreślonym tle i przetykaną brawurowymi inscenizacjami kolejnych spotkań. Film sprawia wrażenie niechlujnego reportażu telewizyjnego – szaleńczy montaż, telewizyjne kadrowanie, pospieszna narracja. Lecz Stone’owi – który kolejny raz okazuje się absolutnym mistrzem takiego chwytu – udaje się opowiedzieć historię o żelaznej logice, krystalicznej jasności wyводу i jednoznacznej idei. Nie będąc entuzjastą opowieści o podgniętych korzeniach współczesnego sportu, poddałem się pewnej ręce Stone’a i zapadłem w hipnotyczny trans. (JAZ)

Reż. Oliver Stone, USA 2000.



Z KSIĘŻYCĄ SPADŁEŚ? Pierwsza myśl: to takimi dyrdymałami zajmuje się teraz sławny reżyser „Absolwenta” i „Pracującej dziewczyny”? Wyprawą kosmiczną z brzęczącym ptaszkiem na Ziemię, w celach prokreacyjnych? A jednak, co firma to firma i przygody naszego bohatera nie ustępują znanym dawniej, gdy macocha-kosmitką była Kim Basinger. Sytuacja sprawia, że Ziemianki mają tu całą atrakcyjną drużynę – Annette Bening, Lindę Fiorentino, Judy Greer, Harmony Smith – bo misja wcale nie przebiega łatwo. Niestety, od połowy gorzej poszło też scenarzystom; mogło być jeszcze zabawniej. (AG)

Reż. Mike Nichols, USA 2000.



EXISTENZ Cronenberga albo się wielbi, albo się go nie znosi – takie filmy kręci konsekwentnie od wielu lat. To kolejne dzieło wyłącznie dla jego zagorzałych wielbicieli. Chodzi o grę, która do złudzenia przypomina działanie w rzeczywistości – wchodzi się w nią za pomocą organicznych aktywatorów wprowadzanych do kręgosłupa. Problem nie tylko w problematyce cielesności, lecz także w refleksji niemal filozoficznej – dotyczącej natury rzeczywistości, jej modyfikacji i wynikających z tego działań osamotnionych ludzkich jednostek. Zrobiono to wszystko inteligentnie i w dobrym tempie. W finale złośliwie zawieszono odpowiedź na dręczące widzów pytanie – która z rzeczywistości akurat nam pokazywane jest jeszcze grą, a kiedy fikcja ma kres? Srebrny Niedźwiedź w Berlinie to nagroda zasłużona, choć po rewelacyjnym „Crashu” można było oczekiwać ciut więcej. (JAZ)

Reż. David Cronenberg, Kanada/USA 1999.

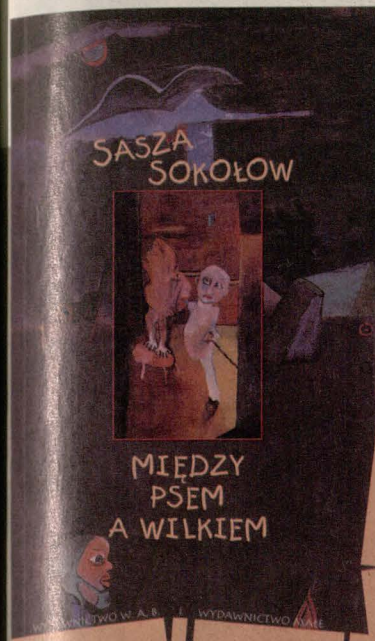
Poza historia

Nie jestem zwolennikiem komentarzy dołączanych do książek. Niechaj czytelnik wykaże się samodzielnością, zaufa swej inteligencji i lekturowym kompetencjom. Istnieją wszelako takie dzieła, których nie można pozostawić bez komentarza.

Gdyby nie zatem posłowie pióra Jana Gondowicza, wytrawnego znawcy literatury rosyjskiej, i gdyby nie glosa tłumacza, powieść Saszy Sokołowa uznalibyśmy za dziwadło, co to ni przypiął, ni przyłatał. Tymczasem – jak zapewniają fachowcy – mamy tu do czynienia z wydarzeniem artystycznym najwyższej rangi. Bo też „Między psem a wilkiem” to ponoć najbardziej ambitna rosyjska książka ostatnich 20 lat, rosyjski odpowiednik „Finnegan’s Wake” Joyce’a (twierdzi autor przekładu), szczytowe osiągnięcie tego skrzydła współczesnej literatury rosyjskiej, które nie szuka taniego poklasku, odwołując się do poruszeń i zadrzań politycznych, lecz – wzorem Vladimira Nabokova – zachwyca świat siłą artystycznego wyrazu.

„Między psem a wilkiem” to powieść awangardowa, a w zawiązku z tym – eksperymentalna. Niezwykle jest zaplecze tego eksperymentu.

Z jednej strony Sokołow odwołuje się do doświadczeń – jak podpowiada Gondowicz – „późnej sowieckiej awangardy lat dwudziestych i trzydziestych”, z drugiej zaś strony sięga po skarby archaicznej kultury rosyjskiej. Podstawowym źródłem jest tutaj – zupełnie u nas nieznany – mit dzikiej i dziewiczej Północy. Sokołow oprowadza nas po mitycznej krainie zwanej Zaitylszczyzną (Ityl to arabska nazwa Wołgi), krainie, która wydaje się skrzyżowaniem świata znanego ze skandynawskich sag, opowieści fantasty i etnograficznych rozpraw naukowych. Przy czym sposób, w jaki Sokołow opowiada o Zaitylszczyźnie i jej mieszkańcach, niewiele ma wspólnego z potocznie rozumianym realizmem. Nie obowiązują tam ludzkie miary czasu, nie ma prądu i ustroju ani wyraźnej granicy oddzielającej ludzi od zwierząt. Inaczej jednak niż w znanych nam opowieściach wystylizowanych na pradaw-



ay mit, kreacji tej przyświeca pewien eksperymentalny zamiar. Sasza Sokołow, emigrant mieszkający od 25 lat w Kanadzie, ożywia ducha legendarnej północnej Rosji w imię niezgody na uzurpację narzuconą przez historię XX wieku.

Intencja pisarza wydaje się tyleż oczywista, co zrozumiała. Bo przecież wiek XX to czas zerwania z archaizmem i „świętością” pradawnego rosyjskiego mitu. To współczesność narzuciła nam wizję człowieka historycznego wrzuconego w historyczne okoliczności. A zatem robota pisarza Sokołowa przypomina wysiłek paleontologa: dobrać się do najstarszych warstw wyobraźni i duchowości rosyjskiej. Ba! Powrócić do adekwatnego, poniekąd czystego ję-

zyka, który podtrzyma iluzję świata istniejącego poza historią. I tu pole do popisu dla tłumacza, a ten mówi o sobie w głosie dołączonej do książki: „porywanie się na Sokołowa to akt podobny czynom kawalera z La Man-czy”. Polskie wydanie „Między psem a wilkiem” to owoc dziesięcioletniej katorżniczej roboty tłumacza (na co dzień pracownika amerykańskiego uniwersytetu; uczelnia ta zresztą sfinansowała to wybitnie niekomercyjne przedsięwzięcie). Oczywiście, bez dostępu do rosyjskiego oryginału i należytych kompetencji językowych, wyznaniom tłumacza ufamy w ciemno. Choć nie do końca, gdyż o skali językowej ekwilibrystyki świadczy na przykład niezwykle słownictwo (m.in. setki polskich archaizmów, dziesiątki nazw roślin i zjawisk przyrodniczych, których na próżno szukać w podręcznym słowniku języka polskiego). Wypada więc żywić nadzieję, że dokonania Aleksandra Bogusławskiego zostaną nagrodzone (lub skrytykowane – nie mnie o tym sądzić) w specjalistycznej analizie w miejscu takim jak „Literatura na Świecie”.

DARIUSZ NOWACKI

Sasza Sokołow: „Między psem a wilkiem”. Przeł. A. Bogusławski. Wydawnictwo W.A.B. i Wydawnictwo Małe. Warszawa 2000.



Magiczny Sokołow



Rozmowa z Janem Gondowiczem krytykiem literackim

Dlaczego wydał pan tę apolityczną, ale za to awangardową książkę?

Ponieważ wydaje mi się, że żaden ze współczesnych pisarzy nie potrafiłby napisać czegoś równie dobrze splecionego, wymyślnego, konsekwentnego i tworzącego coś naprawdę środkowoeuropejskiego w dziedzinie realizmu magicznego.

W opinii krytyki Sokołow doścignął w tej książce swojego mistrza – Vladimira Nabokova. Z Nabokova jest tu nostalgia za Rosją, ale znacznie więcej jest tu Sokołowa, kreującego dziwną mityczną krainę w rosyjskiej prowincjonalnej głuszy. Zaludnioną przez robotników kolejowych, kłusowników leśnych i rzecznych, śmieciarzy, pijaków, kobiet przechodzących z rąk do rąk, ale wszyscy oni, jak to w Rosji, są mędrkami. Sokołow doścignął Nabokova w pierwszej książce „Szkoła dla głupków”. Tutaj jest zupełnie nowa jakość. Wykorzystując kolejny przepis na powieść, Sokołow pomyślał sobie, jak by to było pięknie, gdyby na przykład nazywał się Cortazar albo Marquez, gdyby wszystkie realia były nie rosyjskie, ale latynoamerykańskie – Nobel w kieszeni. Nagle jednak zrozumiał, że byłoby to trochę za ostro i za dużo, zostawił więc wszystko jak było. Natomiast wszystkie przepisy są dokładnie wzięte z odkryć niedzisiejszej literatury boomu latynoskiego. I poniekąd przez to samo, że zostały przeniesione w realia rosyjskie, jest to parodia tamtego przepisu na literaturę.

Książka jest uważana za najtrudniejszą powieść kiedykolwiek napisaną po rosyjsku. Czytelnicy mogą mieć trudności z odcyfrowaniem języka Sokołowa.

To pisarz dla bardzo wybranych. Ale jeśli nie przystawimy do tego, co się w tej chwili przyswaja w literaturze naprawdę wysokiej miary, to się za parę lat, a może szybciej, ockniemy z ręką w harlequinie.

Rozmawiał KAZIMIERZ TARGOSZ

W Y D A W C Y R E K O M E N D U J A



MULTICO proponuje

Adam Janowski: „Tajemnice wystaw psów”

Wystawa psów jest widowiskiem, imprezą sportową i ma znaczenie dla hodowli. Dla ogromnej większości ludzi jest połączeniem festynu na świeżym powietrzu z pokazem psiej urody, organizowanym w myśl skomplikowanych i tajemniczych zasad. A reguły sportu kynologicznego są dość

ściśle i bez niezbędnych wyjaśnień niepojęte dla początkujących miłośników i właścicieli psów rasowych. To z myślą o nich powstała ta książka...

Sprzedż wysyłkowa za zaliczeniem pocztowym. Cena wysyłkowa 33 zł. MULTICO Oficyna Wydawnicza Sp. z o.o. Magazyn, ul. Cybernetyki 9, 02-677 Warszawa, tel./fax(022)647-24-09 e-mail:handlowy@multicobooks.com.pl www.multicobooks.com.pl



Prószyński i S-ka proponuje



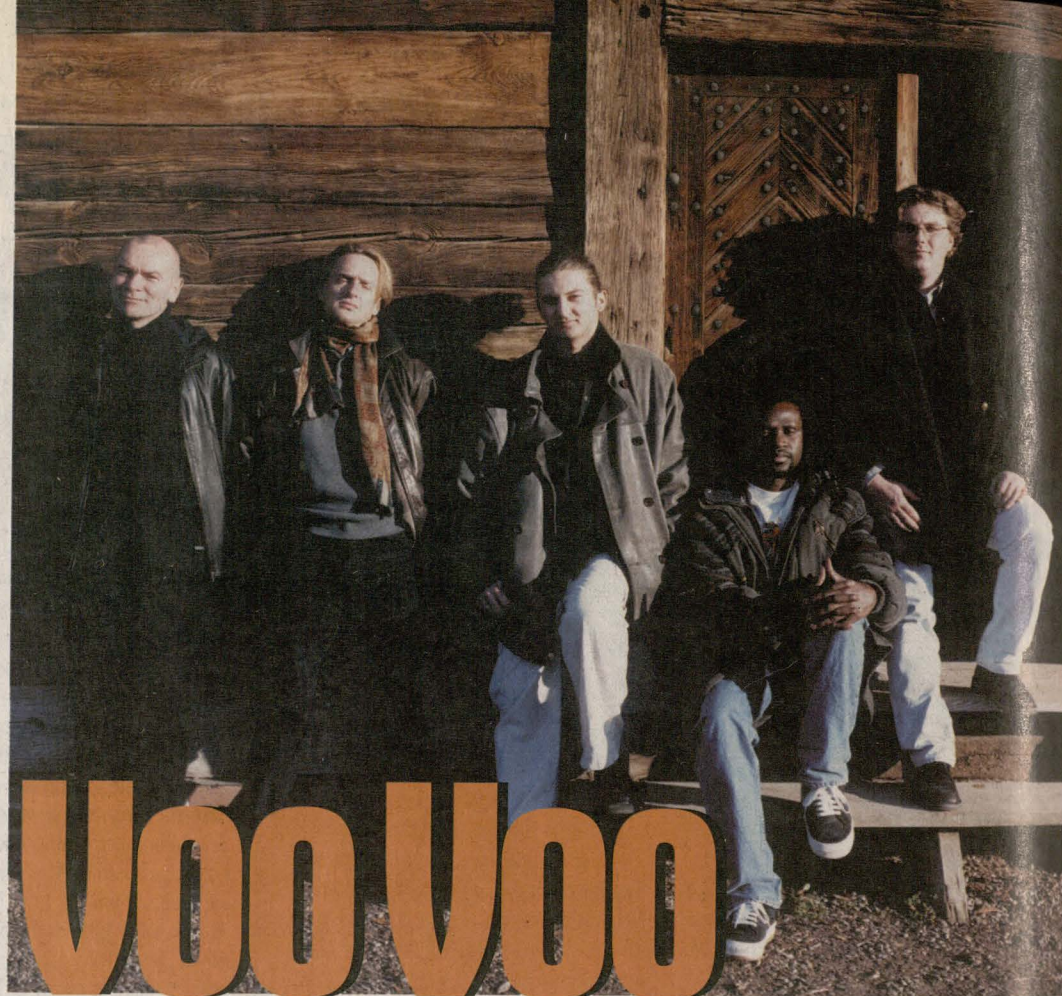
Ron Rosenbaum: „Wyjaśnianie Hitlera. W poszukiwaniu źródeł jego zła”

Ron Rosenbaum, amerykański pisarz i publicysta, w swej rzetelnej i żywo napisanej książce zajmuje się wieloma kontrowersyjnymi aspektami osobowości Hitlera, jego przodków, seksualności, korzeni jego zjadłego antysemityzmu, tkwiącego w nim zła. Poszukuje odpowiedzi w zapomnianych archiwach, we wspomnieniach i artykułach opozycyjnych dziennikarzy okresu weimarskiego; wyrusza w długą podróż śladami Hitlera i odbywa dziesiątki, niekiedy dramatycznych, spotkań ze współczesnymi, najbardziej znanymi badaczami: historykami, filozofami, teologami i autorytetami w kwestii holocaustu.

Salony firmowe Księgarni Krajowej: Warszawa, ul. Bagatela 14, ul. Garażowa 7, ul. Różana 34, ul. Nowy Świat 44 Kraków, ul. Sławkowska 10 Gdańsk, ul. Długa 67/68; Toruń, ul. Chełmińska 5; Wrocław, ul. Rynek 7; Olsztyn, ul. 1 Maja 13, Gdynia, ul. Świętojańska 74 Sprzedż wysyłkową prowadzi Klub Książki Księgarni Krajowej, ul. Garażowa 5, 02-651 Warszawa, tel. 0-800-224-488; 0-800-123-124 (połączenia bezpłatne)

Zespół Voo Voo
wydał nową
„Płytę z muzyką”.
Na pytania odpowiada
niekwestionowany
lider zespołu,
Wojtek Waglewski.

Płyta z muzyką Voo Voo



Czym „Płyta z muzyką” różni się od poprzednich 23 płyt Voo Voo?

Każda jest w pewnym sensie kontynuacją, w innym – zaprzeczeniem płyty poprzedniej. Z całą pewnością nowa wyróżnia się tym, że jest pogodna, wyrafinowana muzycznie i jak zwykle bada rejony, których do tej pory nie dotykaliśmy: rozbudowaną harmonię, aranżę smyczkowe, brzmienia house’owe. Zespół Voo Voo działa 15 lat. Nową płytę zapowiada singel „Nabroilo

się”. Czy jest to podsumowanie działalności: piętnaście lat Voo Voo już broi – „...a to jeszcze nie koniec” – padają w utworze słowa.

Nawet nie myślałem o takiej interpretacji, ale ona jest miła, czemu nie... Naszego piętnastolecia nie traktujemy poważnie, bo jubileusz robi się z dwóch powodów: aby grać koncerty, które temu służą, albo żeby coś podsumować. Voo Voo nie ma jeszcze czego podsumowywać

i nie potrzebuje pretekstów do grania koncertów.

Słyszałem, że płytę nagrano w starym, drewnianym spichlerzu w Janowcu. To prawda?

Tak, był to pierwszy tego typu eksperyment w Polsce. Janowiec jest miejscem, które ma dla nas duże znaczenie, ponieważ od paru lat, w znajdującym się tam skansenie, a dokładnie w owym starym spichlerzu spędzamy dużo czasu.

Do tej pory służył nam do robienia prób przed kolejnymi trasami, ale w zeszłym roku pomyśleliśmy, że byłoby fajnie zorganizować w nim studio. Oczywiście, wymagało to specjalnych sprawdzianów akustycznych.

Drewniana konstrukcja budynku nie psuła efektu?

Drewno generalnie tłumi dźwięki, lecz tam jest taki układ salki, że wytwarza delikatny pogłos.



VOO VOO. Nawet najtrwalsze bastiony muzyki naturalnej w końcu padają pod naporem techniki cyfrowej. Nie znaczy to, że nowa „Płyta z muzyką” należy do gatunku techno (niesie tylko trochę takiego brzmienia sugerującego archaiczny trans, ale...). Voo Voo pozostaje sobą z tym samym głosem wokalisty! Całość zróżnicowana stylistycznie, dużo improwizacji oraz wstawki mówione w klimacie onirycznych opowiadań. (TSE)

Sony Music

Czy nagrania w spichlerzu mają związek z archaiczną symboliką Voo Voo widoczną na okładce płyty?

Wszystko, co naturalne, jest nam zdecydowanie bliższe, poza tym jest tak, że im bardziej człowiek cofa się w przeszłość i tradycję, tym więcej odkrywa nowatorskich rzeczy – muzyka techniczna posługuje się transowością, która nie jest niczym nowym.

Można to usłyszeć na „Płycie z muzyką”. Jakież pohukiwanie, mruczenie

bothisatwy, partie smyczków, które przechodzą w mocno rockandrollowe fragmenty. Dlaczego tak zróżnicowana aranżacja?

Przyszłość muzyki leży w eklektyzmie. Tradycyjny rock’n’roll należy już do przeszłości, chociaż funkcjonuje jeszcze we wzorcowym modelu jako zespół Rolling Stones. W latach siedemdziesiątych zaczęło się poszukiwanie nowych aranżacji wśród innych kultur, obecnie robi się to bez ograniczeń. Mieszanie stylów obowiązuje w zasadzie we wszystkich rodzajach muzyki, łącznie z tzw. muzyką współczesną.

Wśród instrumentów, na jakich gracie, pojawiają się puste butelki, a nawet popielniczka?

Była akurat w pomieszczeniu, w którym graliśmy, i stała się instrumentem, ale pojawiają się też inne ciekawe rzeczy: piła, szenaj – hinduski instrument dęty, klawisz Philipsa – jeden z pierwszych elektronicznych instrumentów klawiszowych, jest również analogowy syntezator, jednak podstawę stanowią: saksofon, gitara, bas i bębny.

Płyta kończy się rytmem generowanym przez syntezator – jakby dźwiękiem serca przerobionym przez technikę cyfrową. Na pytanie, skąd tak techniczne zakończenie tej naturalnie brzmiącej płyty, Wojtek Waglewski odpowiedział, że pozostawia to swobodnej interpretacji. Wyjaśnień może być wiele.

(LAZARUS)

PIETRAS PRZEBIERA W HALKACH

– Lepiej poczekać i zobaczyć coś niezwykłego, niż zaliczyć kolejną premierę „Halki”. Tak Sławomir Pietras odpierał zarzut nieobecności „Halki” Moniuszki w poznańskiej Operze. Od kilku lat szukał odtwórczyni tej partii. Zaglądał do konserwatoriów, zapraszał adeptki na publiczne przesłuchania. Uzbierała się lista ponad

20 kandydatek. Ostały się dwie: Marta Mitrosz z warszawskiego konserwatorium i Ukrainka Galina Kuklina, absolwentka konserwatorium w Doniecku. Obie wcześniej sprawdziły się w innych partiach na poznańskiej scenie, a teraz, po udanej premierze „Halki”, zapewne zrobią karierę. Pietras przełamuje starą

polską tradycję, zgodnie z którą Halkę powinna śpiewać artystka nie tylko najlepsza, ale i najbardziej zaśluzona. – Jeszcze w poprzednim pokoleniu – mówi – śpiewaczki grające Halkę przypominały raczej wagnerowską Brunhildę, a śpiewały z takim przejęciem, że już w pierwszym akcie śmierdziało trupem.

ZYGMUNT ROLA



BOND. Cztery śliczne panienki na okładce wieszczą kolejną girls-bandę. Jakim zaskoczeniem okazała się zawartość płyty. Oto do czynienia mamy z girls-bandem grającym muzykę klasyczną. To nie żarty. Inaczej – to potworne żarty. Jak bowiem wytłumaczyć mieszanie klasycznego brzmienia z brutalną lupanką? A może „Born” to znak nadchodzącej rewolucji. Niech historia to oceni. (RZ)

Universal



DIRTY THREE. Ascetyczna muzyka na perkusję, gitarę i altówkę. Pełno na „Ocean songs”, dysonansów, brudnych dźwięków, a zarazem melancholii i ciszy. Bliskie to poetyce Nicka Cave’a, choć nikt tutaj nie śpiewa. Za to Warren Ellis współpracuje z The Bad Seeds. Warto posłuchać tej płyty teraz, na kilka tygodni przed premierą nowego albumu Cave’a, powoli oswoić się ze smutkiem. (RZ)

touch and go



STACEY KENT. Hołd Fredowi Astaire’owi. Album na chłodne jesienno-zimowe wieczory. Wtedy te delikatnie zaśpiewane oraz grane jazzowe perelki nabierają mocy odpędzania złych snów i myśli. Najważniejszy na „Let yourself go” jest głos pani Kent. Przez prawie godzinę uwodzi nas swoim zmysłowym szepem. Nie polecany ponurakom. (RZ)

Candid/Multikulti



A JEWISH ODYSSEY. Muzyka żydowska jest wciąż mało znana w naszym kraju. Jej popularyzacji służą zazwyczaj składanki, takie jak „A Jewish Odyssey”. Sama idea wydania płyty jest więc godna pochwały. Kontrowersje może natomiast budzić umieszczenie na niej śp. Ofry Hazy obok The Klezmer Conservatory Band czy The Klezmatics. Taki sobie przekrój (przez małe p). (BCH)

Putumayo/Multikulti



MIRIAM MAKEBA. Kto nie zna Pata Pata? Pierwszy przebój z Czarnego Lądu, który trafił do amerykańskiej Top 10 Pop Charts w roku 1967 i odniósł kolejny sukces pod koniec stulecia. Nagrała go jedna z największych gwiazd południowoafrykańskiego jazzu Miriam Makeba, nazywana czule „Mamą Afryką”. Zaangażowana w walkę o prawa człowieka i wygnana z ojczyzny po krytyce apartheidu.

Jej „Homeland”, nagrany w roku ubiegłym, jest niemal wolny od politycznych akcentów, za to, jak na prawdziwą Mamę przystało, pełen miłości. Nie walentynkowej, takiej do wszechświata, świata i człowieka bez względu na rasę i wyznanie. Południowe rytmy, piękne wokalizy. Ciepły, delikatny, lekko kołyszający. I oczywiście jest na nim Pata Pata 2000. (BCH)

Putumayo/Multikulti

TUXEDOMOON

Początek roku 1982. Awangardowa amerykańska formacja, działająca od niedawna w Europie, otrzymuje zaproszenie na włoski festiwal teatralny. Zaszczyczona ofertą, postanawia zaprezentować na nim stanowiącą tematyczną całość trzy formy ekspresji artystycznej: muzykę, przedstawienie teatralne i film. Tytuł przedsięwzięcia i czas akcji (fin de siècle) czerpie ze sztuki Augusta Strindberga. Temat: różne formy samobójstwa – podpowiada własna wyobraźnia członków zespołu. Premiera multimedialnego widowiska – na Piazza de Papa w Anconie, u stóp starego zamczyska z okładki. Drugą i trzecią prezentację przerywa ulewny deszcz. Pijana publiczność rzuca słoikami z majonezem na

lśniącą czernią scenę. Próba sfilmowania spektaklu raz po raz kończy się fiaskiem. Jeden z aktorów dostaje ataku wyrostka. Na szczęście bez przeszkód odbywają się jeszcze dwa przedstawienia, które wreszcie udaje się uwiecznić na taśmie wideo. Skumulowana na ich potrzeby energia powoli się ulatnia. Kilka miesięcy później grupę opuszcza Blaine L. Reininger. Reszta zespołu na dwa lata zawiesza wspólną działalność. Kończy się pewien etap. Pozostaje muzyka – „The Ghost Sonata”. Sugestywna, przerażająca, oniryczna. Eksperymentalna suita z towarzyszeniem chóru. Największe dzieło Tuxedomoon.

BEATA CHOMĄTOWSKA



Cranned Disc

JUŻ STAROŻYTNI RZYMIANIE...

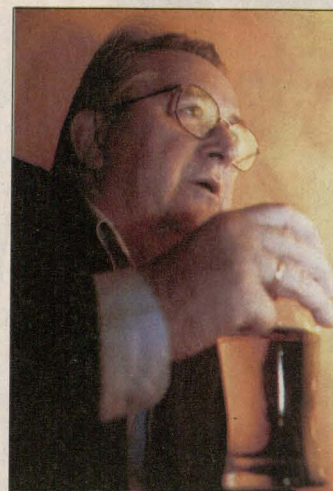
LITURGIE W ATENACH

Jak co roku o tej porze teatry z drżeniem oczekują na decyzje urzędników. Ile dostaną pieniędzy? I dlaczego tak mało? Jak zaplanować sezon? Już starożytni Rzymianie mieli kłopoty z mecenasami. Ale nie Grecy. Ci, zanim wynaleźli sztukę teatru, wymyślili demokrację. W Atenach obowiązywała liturgia, czyli „praca dla ludu”. Najbogatsi obywatele musieli zapewnić roczne utrzymanie okrętu wojennego z załogą lub pokryć wszelkie koszty związane z przygotowaniem chóru do występu na festiwalu dramatycznym. Mieli do wyboru. A w grę wchodziły kwoty olbrzymie, przy czym chórzyści wymuszali zwykle większe wydatki niż marynarze! Tylko głównych aktorów opłacano z miejskiego skarbcza.

Bez porządnie wytrenowanego chóru nie mogła się obyć żadna tragedia czy komedia. Próby trwały cały rok. Sponsor musiał wynająć nauczycieli śpiewu i tańca, zakupić kosztowne kostiumy, a także zapewnić artystom salę do prób, wyżywienie, a szczególnie wino, które pito przed każdą próbą i występem, dziękując Dionizosowi za winogrona i teatr. Niekiedy z trunkiem przesadzano i specjaliści urzędnicy musieli pilnować, by chórzyści tańczyli we właściwych miejscach. Wywinać się z kosztownego obowiązku było trudno. Ateńskie prawo przewidywało tylko jeden sposób – wniesienie na wokandy ANTIDOSIS, dosłownie: sprawy o wymianę majątku. Bogacz, który nie chciał sponsorować artystów, musiał oskarżyć innego bogacza o to, że tamten jest od niego zamożniejszy i dlatego bardziej zasługuje na dostąpienia zaszczytu. Jeżeli pozwany godził się z tą opinią, przejmował na siebie całe koszty, w razie sprzeciwu musiał dowieść swego ubóstwa, wymieniając się z pozywającym na majątki.

Bogacze stanowili mniej niż procent populacji demokratycznych Aten i tylu ich wystarczyło, by sztuka kwitła cały piąty wiek przed Chrystusem. W demokratycznej Polsce nie kwitnie, choć bogaczy jest znacznie więcej. Może więc warto wrócić do dawno sprawdzonych pomysłów?

MIROSLAW KOCUR



FOT. TOMASZ ZUREK/AG

KAZIMIERZ KUTZ

powtarza w wywiadach, że po przeczytaniu na nowo wszystkich dramatów Tadeusza Różewicza odkrył ze zdumieniem ich porażającą aktualność. Nie dajmy się zwieść reżyserowi. Ostatnio Kutz trochę inaczej rozumie słowo aktualność: aktualne jest to, co dotyczy świadomości artysty.

Kutz posiadał niezwykle talent do odkrywania najbardziej literackich biustów w dziejach polskiego aktorstwa. Był przecież biust Renaty Dancewicz z „Pułkownika Kwiatkowskiego”, biust Joanny Brożek w „Netcie” z Teatru Telewizji, biust Soni Bohosiewicz z „Twórców obrazów” w Starym Teatrze... W „Na czworakach” reżyser zrywa z liryką – obnażony już bodaj w pierwszym kwadransie przedstawienia biust Bo-

Kucnąć jak KUTZ

żeny Stachury (Dziewczyna) ma rangę epicką. Nie dziwny się więc Kazimierzowi Kutzowi, że zamiast zrobić przedstawienie o starości Herberta, Różewicza, Herlinga-Grudzińskiego czy Miłosza i naszych „ochach i achach” nad ich mądrością, doświadczeniem, trafnością sądów i gestach Matuzaleatów, zrobił przedstawienie o niemożliwości pochwylenia młodości symbolizowanej od zawsze przez kobiece ciało, czyli zrobił przedstawienie o biuście. Nie tylko ja zrobiłbym dla tego biustu znacznie więcej. Tymczasem Kutz jest piekielnie konsekwentny. Biust Stachury staje się rychło najważniejszym atutem przedstawienia. Przesłania piękną i majestatyczną scenografią, autoironiczną grą Igora Przegrodzkiego jako Pudła czy arlekinady Andrzeja Blumenfelda jako doktora Racapana. Nie słyszymy muzyki Pawłuśkiewicz, słyszymy, jak kołysz się biust Stachury.

Nie przypadkiem. Od jakiegoś czasu Kutz obsesyjnie wyciąga ten sam temat z każdej sztuki, jakby mówił, że tylko to go teraz interesuje, że tu skrywa się tajemnica istnienia i jedyna dostępna nam metafizyka. Inszenizując w Narodowym „Na czworakach”, reżyser tylko udaje, że obchodzi go rozbijanie polskich mitów, obnażanie naszego błazeństwa w sta-

wianiu żyjących artystów na pomnikach. W rzeczywistości chodzi mu o błazeństwo bardziej uniwersalne, a jednocześnie dotkliwie osobiste – błazeństwo starości. Kutz zderza starość z młodością, pełzającego na czworakach zdzieciniałego weterana pióra Laurentego (Ignacy Gogolewski) z triumfalnie polegającą na stole, aczkolwiek bez wątpienia głąką Dziewczyną. Scena za sceną celebruje przykładanie na rozpalone czoło artysty okładów z chłodnego biustu. A może odwrotnie – w spektaklu to czoło Gogolewskiego było zimne, a biust gorący. Artystyczna poza „na czworakach” to w dramacie Różewicza kwintesencja twórczości, która syci się dawnymi zdobyczami, ugrzęzła w gestach na pokaz, utraciła zdolność do autoanalizy. Stary reżyser, który co parę miesięcy trzaska w kolejnym polskim teatrze pełną wigoru premierę, proponuje tak naprawę coś innego: zdziecinieniu przeciwstawia „kutzanie”. Czasem wielki artysta musi po prostu kucnąć, żeby zobaczyć biust.

ŁUKASZ DREWNIĄK

Teatr Narodowy w Warszawie, „Na czworakach” Tadeusza Różewicza. Reżyseria: Kazimierz Kutz, scenografia: Jerzy Kalina, muzyka: Jan Kanty Pawluśkiewicz. Premiera: 26 stycznia 2001.



Rzeszowska inscenizacja dramatów Villqista budzi wprawdzie umiarkowany entuzjazm, jednakże przynajmniej z trzech powodów warto o niej pamiętać:

1 Pomysł, aby podczas tego samego wieczoru zagrać dwie jednoaktówki absolutnie odmienne w tonacji (tragizm i zgrywa), zasługuje na twórcze rozwinięcie. Zapewne już niedługo reżyser zaprosi na spektakl złożony z adaptacji Biblii i „Wesela Fonsia”.

2 Długo czas wydawało mi się, że podczas przedstawienia w zastępstwie Marioli Łabno-Flaumenhaft (Ruth) przez scenę przewinęło się około 17 kobiet. Po dokładniejszym sprawdzeniu okazało się, że aktorka była cały czas jedna, co dobrze świadczy o jej talencie do zwodzenia reżyserów i krytyków teatralnych. Nie miałbym nic

przeciwko temu, żeby w obu sztukach Villqista zagrała wszystkie role. Scena, w której Mariola Łabno-Flaumenhaft (Helver) okłada szturmówką Mariolę Łabno-Flaumenhaft (Karla) przesłaby bez wątpienia do historii polskiego teatru. Wciąż nie tracę nadziei, że to jeszcze kiedyś zobaczę.

3 Miał być jeszcze trzeci powód, ale z powodu Marioli Łabno-Flaumenhaft zapomniałem – jaki. (ŁD)

Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie, „Noc Helvera” oraz „Oskar i Ruth” Ingmara Villqista. Reż. Wojciech Zeidler, scenografia Katarzyna Terechowicz. Premiera: 9 grudnia 2000.



nie zrywaj z kulturą
34451677889 8 09082807

Akcji patronuje Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Kazimierz M. Ujazdowski.

Nie potrafię powiedzieć wszystkiego

Z artystą Milanem Knížákem, dyrektorem Czeskiej Galerii Narodowej w Pradze, rozmawia Zygmunt Rola.

Jest pan muzykiem, matematykiem, profesorem uczelni plastycznej. Pracuje pan z różnymi mediami. Ale przede wszystkim jest pan plastykiem. W XXI w. artysta to kto?

W XXI w. dopiero wkraczamy, z artystą takim samym, jak w końcu poprzedniego stulecia. To, że powstaje wiele nowych mediów, nowych środków komunikowania się, nie znaczy, że zmieniła się mentalność artysty.

Pan jest artystą?

Ta kwestia nie jest dla mnie najważniejsza, ale analizując to, co robię, a nawet mój charakter, sądzę, że jestem artystą.

Lubi pan to słowo?

Dawniej go wręcz nie cierpiełem. Teraz to dla mnie obojętne, za kogo mnie się uważa: za artystę, pedagoga, urzędnika czy dyrektora.

Mówią o panu: mistrz prowokacji. Czy swoje prowokacje pan planuje?

Nie rozumiem, dlaczego ciągle jestem traktowany jako człowiek, który prowokuje z premedytacją. Robię to, co uważam za ważne, w taki sposób, w jaki – sądzę – trzeba to robić. Nie obchodzi mnie,

co inni o tym myślą.

Na początku lat 60. zainicjował pan w Pradze uliczne prezentacje instalacji i obiektów, wykorzystując przedmioty codziennego użytku. Wtedy w inny sposób nie można było zaistnieć?

Robiłem to dlatego, że chciałem zwrócić się do odbiorcy bezpośrednio. Bez udziału pośredników, którymi były na przykład rzeźby czy obrazy. Uważałem to za sposób najodpowiedniejszy.

Właśnie wtedy, w latach 60., związał się pan z międzynarodowym ruchem Fluxus, a nawet został przewodniczącym Fluxus East...

Byłem jedynym członkiem ruchu Fluxus ze wschodniej części Europy. Dlatego zostałem mianowany dyrektorem Fluxus East. Oczywiście, nie była to instytucja, toteż nie byłem dyrektorem w tradycyjnym znaczeniu.

Czy owe prezentacje uliczne oraz związki z Fluxusem stały się początkiem pańskiego udziału w aksamitnej rewolucji?

Czy przyczyniłem się do wybuchu aksamitnej rewolucji? Tego nie wiem, choć nie wykluczam. Wtedy,

w latach 60., moją sztuką zainteresował się znany czeski krytyk sztuki, Jindrich Chaloupecky, który o podejmowanej przeze mnie działalności informował ludzi mieszkających za granicą. W ten sposób poznałem wielu czołowych artystów świata.

Jest pan także teoretykiem sztuki. W 1977 r. wydał pan w drugim obiegu „Akcje (przede wszystkim) dla myśli”. Zamierzał pan stworzyć szkołę?

Tak, był to program na dłuższą perspektywę. W drugiej połowie lat 60. myśleliśmy o utworzeniu czegoś na kształt komuny, miasta artystów, w którym żylibyśmy w zgodzie z naszymi przekonaniami – z tym, jak sobie wyobrażaliśmy życie i świat. Napisałem nawet 10 lekcji dla uniwersytetu aktualnego, który zamierzaliśmy

założyć.

Jakiś czas przebywał pan za granicą. Z powodów politycznych?

Tak, byłem w Stanach Zjednoczonych, w Niemczech, ale nigdy nie emigrowałem.

Totalitaryzm stał się dla pana natchnieniem, nakazem twórczym?

Totalitaryzm, ale nie w sensie politycznym. Fascynują mnie rysy totalitarne obecne w sztuce całego świata. Na tzw. Zachodzie są one nawet bardziej widoczne niż w państwach posttotalitarnych. Można powiedzieć, że sztuka tęskni za jakąś tendencją ujednoliciącą. Poszukiwanie takiego stylu prowadzi właśnie do pojawienia się w sztuce elementów totalitaryzmu.

Co tak naprawdę stało się dla pana trampoliną do kariery?



ZDJEŃCA JACEK KALA

Nie byłem artystą socjalistycznym – nie zgadzałem się na udział w tym nurcie. I vice versa. Moja kariera zaczęła się właśnie w latach sześćdziesiątych.

Czy i dzisiaj destrukcja jest dobrą metodą tworzenia?

Destrukcja nie zawsze jest czymś negatywnym. Może prowadzić do powstania nowych, pozytywnych wartości. W moich pracach jest jej bardzo mało. Czasem stosuję destrukcję tylko po to, by skonstruować coś nowego.

Dzieła sztuki traktuje pan jako impulsy mentalne.

Dokąd pana prowadzą?

Gdybym to wiedział, moja droga twórcza byłaby bardzo prosta. Jednego jestem pewny: owe impulsy powinny utwierdzać nas w naszej osobowości. Życie i praca nie powinny być ważniejsze od nas samych.

Niedawno usłyszałem, że my, ludzie przełomu tysiąclecia, chamiejemy. Czy także sztuka zmierza w tym kierunku?

Nie postrzegam świata w ten sposób. Odwrotnie: sądzę, że dotychczas nie byliśmy humanistami w tak wielkim wymiarze. Nigdy życie człowieka, zwierzęcia, a nawet egzystencja rzeczy nie były tak chronione i doceniane jak dzisiaj.

A jednak – tak mówią – podnosi pan kicz do rangi sztuki...

Ja tylko używam atrybutów kiczu, jako fenomenu, który charakteryzuje epokę. Krasnal to już nie kicz. Jest za mało skomplikowany.

Czy pańskie „itd., itd., itd.” jest manifestem, programem twórczym?

Na swój sposób – tak. Nic nie jest do końca takie, jak ja to rozumiem i robię – nigdy nie mogę powiedzieć wszystkiego. Toteż zostawiam od-

biorcy możliwość uzupełnienia, przytoczenia kolejnych przykładów, poszerzenia mojego widzenia.

Jako dyrektor Czeskiej Galerii Narodowej, od niespełna dwóch lat, może pan teraz decydować o tym, który pański konkurent oraz dawny adwersarz jest artystą godnym zaistnienia w salonach galerii.

Pamięć ma pan dobrą?

Tak, pamięć mam dobrą. Ale Galeria Narodowa jest galerią narodu. Zanim zostałem jej dyrektorem, w zbiorach Sztuki Modernistycznej i Współczesnej pokazywano osiemset prac trzystu autorów. Teraz ośmiuset autorów wystawia kilka tysięcy dzieł. To, że kogoś nie lubię i nigdy nie kupiłbym jego pracy, nie znaczy, że odmawiam mu prawa do artystycznej egzystencji. Te prace podobają się przecież komuś innemu. Przed nikim nie zamykam więc drzwi.

Milan Knížák
– wystawa rzeźb, grafik komputerowych, instalacji i collage'y zorganizowana przez poznańską Galerię Nową. Ekspozycja czynna w Pałacu Górków (Muzeum Archeologiczne) do 15 marca; Poznań, ul. Wodna 27.





Balthus

Był najbardziej tajemniczym malarzem epoki. Nie należał do żadnych ugrupowań. Jego obrazy już za życia artysty znalazły się w Luwrze. Umarł w swojej malowniczej rezydencji w Szwajcarii 18 lutego 2001.



Balthus z żoną Satsuko (w środku) i córką Haruni w 1990 roku

Balthus urodził się 29 lutego 1908 r. w Paryżu jako Baltazar Klossowski de Rola. Ojciec, filozof i historyk sztuki, potomek emigrantów po powstaniu listopadowym, matka – Baladine, malarka i tancerka, siostra wykształconego we Wrocławiu malarza Eugene Spiro, prowadziła sławny salon. Bywała mużką Rilkego, który małego Baltazara (zdrobniale: Baltusia) wprowadzał w tajniki poezji, a szesnastoletniemu absolwentowi szkoły kalwińskiej dedykował poemat „Narcyz”. W początkach twórczości Balthus malował, jak sam mówił, anioły: akty jeszcze nie kobiet, a już nie dziewczynek. Tym, którzy w jego śmiałych, wykwinnych formalnie i wyszukanych kolorystycznie obrazach węszyli perwersję, odpowiadał, że jest malarzem religijnym.



Portret dziewczynki w stroju amazonki, 1932

ZE ZBIORÓW PRYWATNYCH

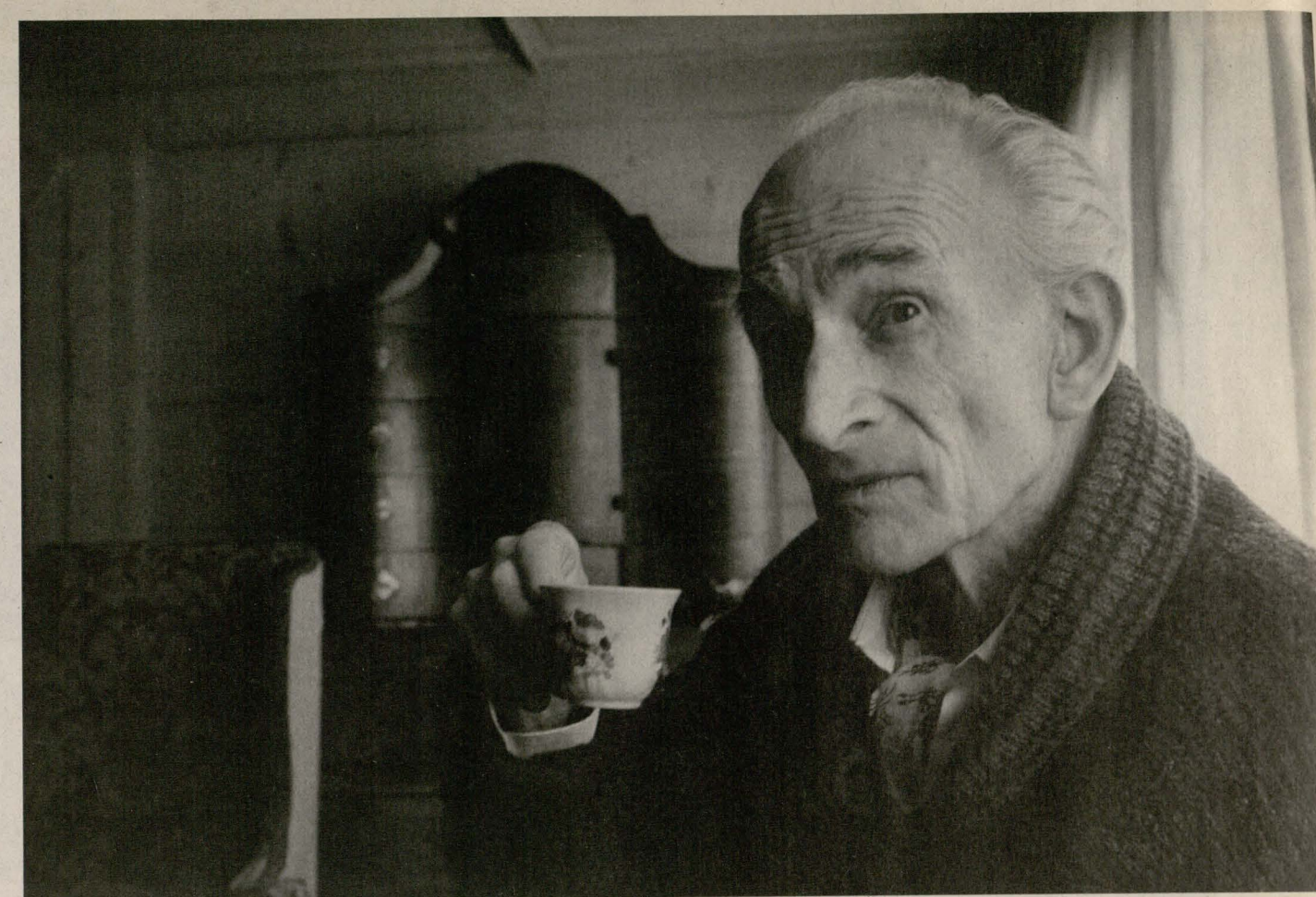


Teresa marząca, 1938

© THE METROPOLITAN MUSEUM OF ART, NOWY JORK



Akt z profilu,
1973-1977

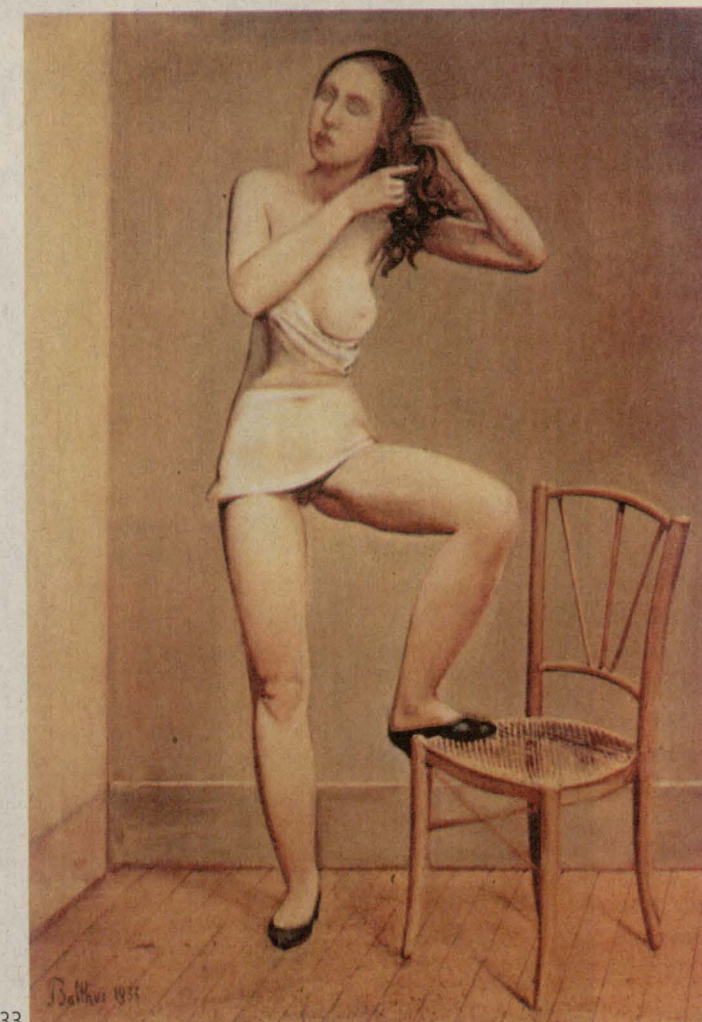


Szwajcaria, Rossiniere, 1990 rok

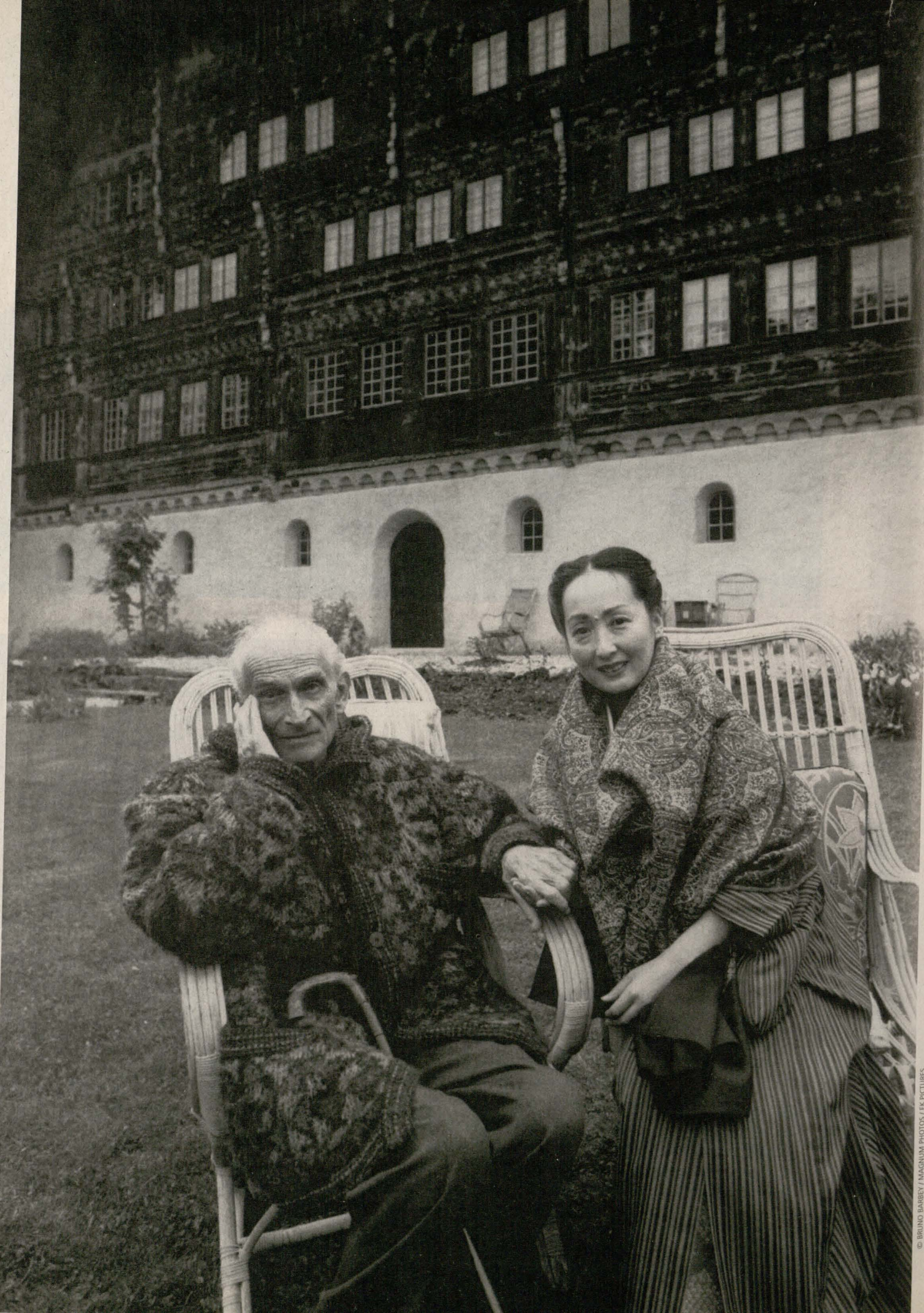
Pierre Bonnard, najwytrawniejszy kolorysta pośród impresjonistów, zachwyił się wczesnymi obrazami Balthusa i odradził mu studia na akademii. Od razu wy-
czuł, że ma do czynienia z człowiekiem obdarzonym talentem, którego delikatność prysłaby podczas narzucania zadań. Studiami dla Balthusa były muzea: przez całe życie oglądał z bliska obrazy starych mistrzów: Giotto, Ucella, Pierro Della Francesca, Masaccio.

Wiosną 1999 r. w Dijon urządzono w Muzeum Sztuk Pięknych trzecią w życiu Balthusa wystawę jego dzieł – na tę okazję zebranych z galerii i kolekcji rozsianych po całym świecie – żeby uczcić człowieka, który po opuszczeniu Paryża zamieszkał niedaleko, na wzgórzach Burgundii. Tam, w wynajętym XIII-wiecznym zamczysku obronnym, bez ogrzewania i wodociągów, żył w latach 1953-1961. Stamtąd poszło w świat ponad 60 obrazów.

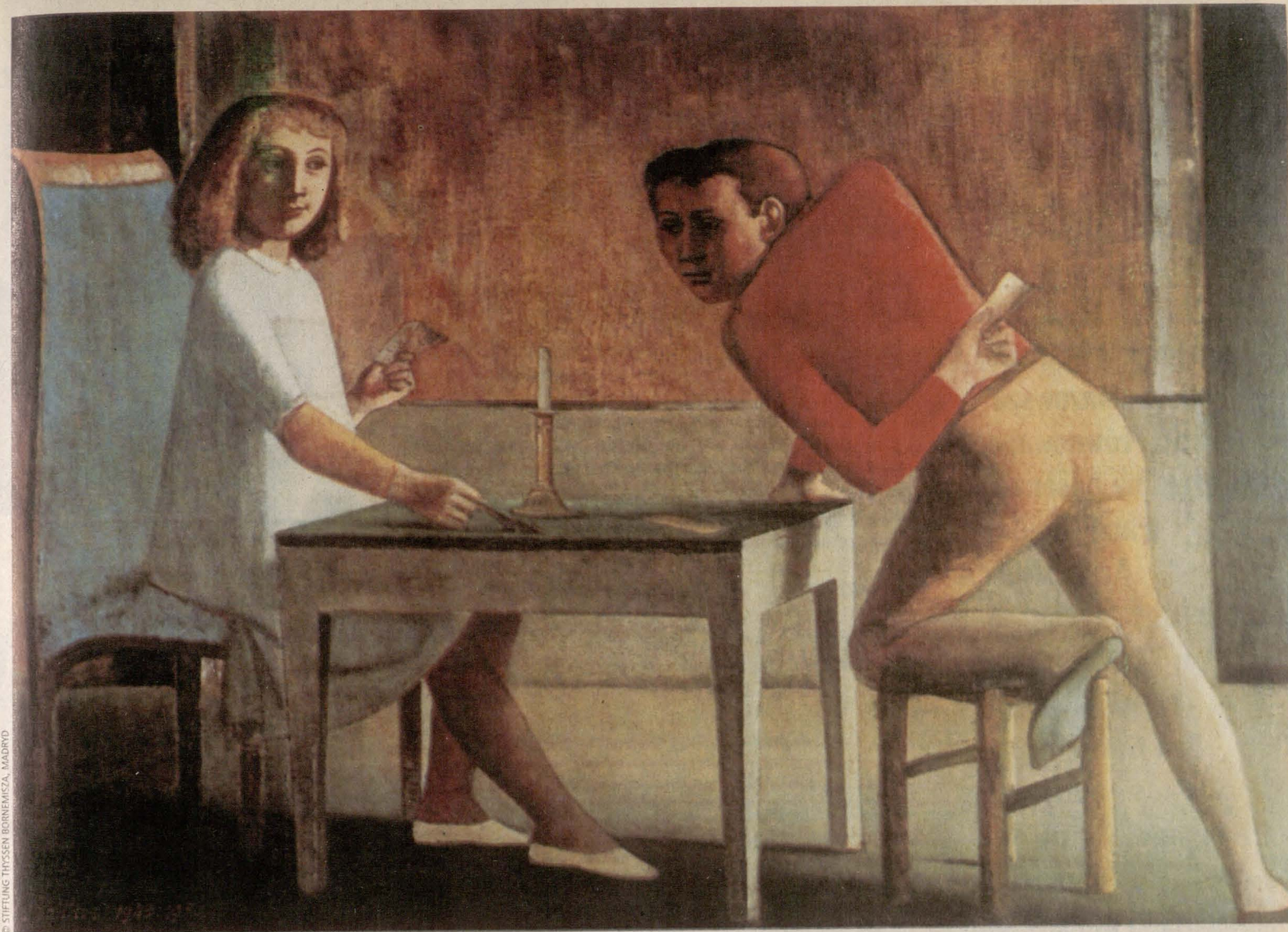
Dziewięćdziesięcioletni Balthus oglądał po latach swoje płótna; zazwyczaj spokojny i lakoniczny, bardzo się zdenerwował, ujrzawszy, że jeden z jego obrazów został przez właściciela pokryty błyszczącym werniksem. Kiedy minęło wzburzenie, usadowił się na fotelu na kółkach i kazał się wieźć do sal, gdzie było wystawione stare malarstwo. Tam było jego życie.



Alice, 1933



© BRUNO BARBEY / MAGNUM PHOTOS / EK PICTURES



© STIFTUNG THYSEN BORNEMISZA, MADRID

Partyka kart, 1948-1950



© MUSÉE LOUVRE, PARYŻ

Dzieci Blanchardów, 1937

Płótna Balthusa, o potężnej sile sugestii, są mistrzowsko komponowane. Modelki: córka sąsiada, murarza w Morvan, bratanica, żona Setsuko, Japonka, wiele nieprzypadkowych przyjaciółek. Amatorzy bąkali o „Lolice” Nabokova. Precyzja konstrukcji, wpływająca na psychologię odbioru obrazów, zadziwiała i przyciągała Felliniego, Buñuela, reżyserów myślących obrazami. Picasso zachwycał się tylko lepszymi od siebie: kupił Balthusa „Dzieci Blanchardów”. Z czasem płótno podarował do Luwru. W 1961 r. André Malraux, jako minister kultury i sztuki, mianował Balthusa dyrektorem francuskiej Akademii Villa Medici w Rzymie. Malarz kierował tą prestiżową placówką przez 17 lat. W 1991 r. został laureatem Nagrody Cesarza Japonii. Wzruszony wieścią o nadaniu mu tytułu doktora honoris causa ASP we Wrocławiu, uradowany, że wreszcie zobaczy kraj przodków, w 1998 r. Balthus w liście do rektora Jarodzkiego napisał: „Na zawsze zapamiętam, że na łożu śmierci ojciec zaklinał mnie, żebym nie zapomniał, że jestem polskim szlachcicem”.

MAREK SOŁTYSIK

BikoNt grzebie w starych „Przekrojach”

Cybulski tracił wolność,
solista „Mazowsza”
tracił równowagę,
dziewczeta na basenach
traciły majtki,
Artur Miller
tracił Marilyn Monroe,
Lord Derby stracił
homara,
Ben Gurion tracił
autorytet,
Hemingway – zdrowy
rozsądek,
sukienki uniosły się
nad kolana,
zaczynały się cudowne,
ukochane
60 lata
-te!



Na okładce nru 798 – Władysław Gomułka

POCZTA
od AFANASJEWY

O ŚLUBIE CYBULSKIEGO

ZDJĘCIA ZBIGNIEWA KOSYCARZA

Redaktorze!

Telegrafuję Panu za pomocą kota, z którego, uderzając młotkiem, wystukuję następujące:

Wczoraj dnia 30 sierpnia odbył się ślub usz znanego aktora filmu i fotoplastikonu polskiego Zbigniewa Cybulskiego z artystką malarzą księżną Elżbietą Chwalibóg. Ślub odbył się w Sopocie, w Bazylice Stanu Cywilnego.

Panna młoda ubrana była w ciemny garnitur, czarne lakierki, okulary i czarny krawat.

Pan młody miał włosy zaplecione w warkocz, długie rzęsy, białą suknię z trenem i szliczne, naprawdę szliczne kwiaty.

Tren niósł dyrektor miejscowego teatru w stroju małej dziewczynki. Po ślubie oni przełknęli gratulacje, wsiedli na jednego szofera przebranego za taksówkę i odjechali na ucztę do Chmielna, gdzie Necel garnki lepi.

My za nimi. Na koniach, samolotami, karawanem, a jeden znajomy to skakał na szczudłach szybciej po szosie niż samochód. Ja rzecz jasna prulem latającym dywanem, żona też uczepiła się jakiejś dzikiej kaczki za skrzydło, a Kobiela B. szarpał naprzód swoją werandą „600”, ale mu zdaje się barierka nawaliła. Rzecz jasna, nad każdą gospodą robiliśmy postój i zjadaliśmy nogę kury bez buta.

Gdy przyjechaliśmy do Chmielna, to wymyśliśmy sobie nogi, każdy każdemu, ucałowaliśmy się w czoło i rzuciliśmy się na siebie jeść.

Stoły ustawiono tu w piętra w ogrodzie. Ci co jedli na piętrze, stali na barkach siedzących gości. Tak jak na święta u Pana Redaktora w Redakcji. Akurat drzewa owocowały, więc w jabłka wetknięto jajka na twardo i goście bardzo się dziwili, że w Chmielnie kury znoszą jabłka.

Potem było ognisko i upiekliśmy jednego kolegę na żarty, ale niech Pan Redaktor tego nie pisze, bo mogą być nieprzyjemności z władzami.

Potem dla młodych państwa zepchnęliśmy stodołę na wodę no i śpiewaliśmy się od samego rana, a gwiazdy nam bzyczały tutejsze serenady. (...)

Nr 805, 11 IX 1960



ZBIGNIEW I ELŻBIETA (CHWALIBÓG) CYBULSCY



Chuligaństwo

(rog) Na basenie warszawskiej „Legii” chuligani ścigali w wodzie młodym dziewczętom kostiumy kąpielowe.

W ostatnią niedzielę sierpniową zdarto kostiumy z dwu dziewcząt ku uciechu chuliganów i przy biernej postawie obserwatorów. Oba kostiumy podarto na strzępy – ofiary musiały wychodzić z wody otulone w ręczniki. Nr 806, 18 IX 1960



SARTRE, SAGANKA
I HEMINGWAY NA KUBIE

Po niedawnym pobycie Sartre'a na Kubie (napisał duży reportaż) przebywała tam ostatnio Francoise Sagan z bratem; również pisze korespondencje ze swego tam pobytu.

Hemingway powrócił do swego domu na Kubie i oświadczył dziennikarzom: „Sympatyzuję z rządem kubańskim... chcę być traktowany jako Kubańczyk, w żadnym zaś razie jako jankes”.

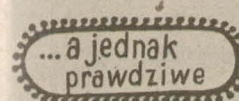
Nr 802, 21 VIII 1960



Solista w kanale

(rog) „Ale wpadłem” – pomyślał sobie solista zespołu „Mazowsze”, który tańcząc z temperamentem krakowiaka wpadł do... kanału orkiestrowego. Raz zdarzyło się to w czasie niedawnego występu „Mazowsza” w Tokio, a następnie w Wilnie. Tym razem tancerz wylądował na oboju. Tancerz nie stracił kontensu – szybko się pozbierał, po czym wyszedłszy przed publiczność skłonił się głęboko.

Nr 795, 3 VIII 1960



KURNA CHATA Jest taka w osiedlu wiejskim Kantorowice należącym do Nowej Huty.

Palenisko znajduje się na środku izby i dym wychodzi przez dach. Ponieważ to grozi pożarem, zamierzano wyeksmitować jedynego mieszkańca tej chaty, Józefa Wędzichę, ale on na wszelkie sposoby broni się przed tym i złożył nawet oświadczenie, że poniesie całkowitą odpowiedzialność za ewentualne spowodowanie pożaru.

Nr 802, 21 VIII 1960

TLUMICIELE KRYTYKI

Władze partyjne ostro rozprawiły się z dyrekcją Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Nowotki w Piotrkowie. Dyrektor tej fabryki, dyrektorzy techniczny i administracyjny oraz główny księgowy stanowili zgraną klikę, która tłumiła wszelkie przejawy krytyki w fabryce. Nie bez winy był również skorumpowany przez nich sekretarz komitetu zakładowego partii. Zostali zwolnieni ze stanowisk i wyciągnięto wobec nich konsekwencje partyjne.

Nr 803, 28 VIII 1960

LECA. ŚWETLIKI
LECA. LECA...



IZRAEL. Premier Ben Gurion jest zdecydowanym przeciwnikiem telawizji. Do tej pory nie zezwalał na jej wprowadzenie. Miłośnicy telewizji spodziewają się, że będzie musiał zmienić zdanie na skutek nacisku opinii i... programów telewizyjnych Republiki Arabskiej.

FRANCJA. W kasynie gry w Deauville – Anglik lord Derby (potomek tego od wyścigów konnych) postawił

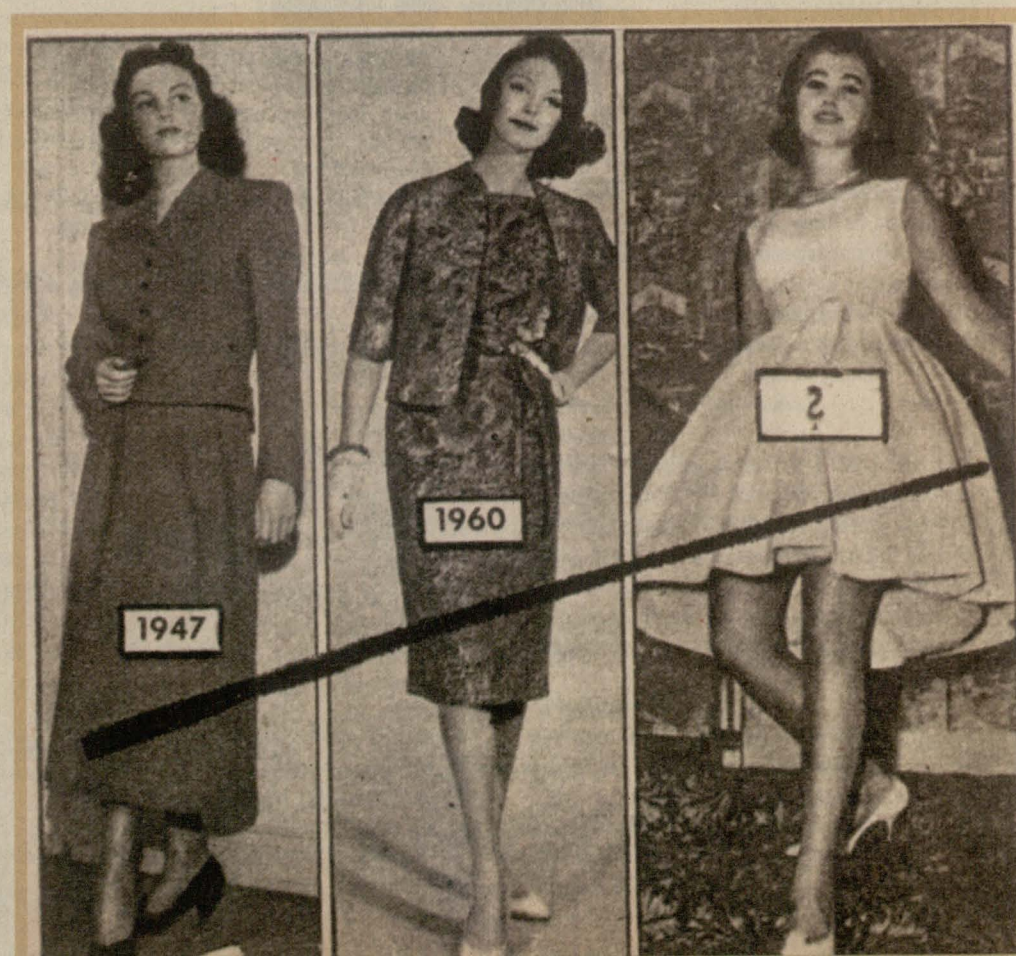
na rulecie wielkiego homara (co zresztą jest zabronione). Postawił na „czarne” i przegrał.

Nr 802, 21 VIII 1960

NOWY JORK. Artur Miller, dramaturg amerykański i mąż Marilyn Monroe, stał się przedmiotem drwin prasy po rozmowie telefonicznej z jednym dziennikarzem z Hollywood. Dziennikarz ten zapytał go telefonicznie, co sądzi o kol-

portowanych ostatnio plotkach o zażyłości między jego żoną a pieśniarzem i aktorem Yves Montanem, z którym kręciła film. Miller zachnął się przez telefon. „– Ależ on jest przecież żonaty. To jest śmieszne!”. Odpowiedź tę prasa opatrzyła komentarzem: Nie jest to najwnikliwsze oświadczenie, jakiego można by się spodziewać po autorze miary Millera.

Nr 804, 4 IX 1960



CZY NAPRAWDĘ TAK?

PODOBNO LINIA kobiecych sukien ma nadal tendencję zwyczajową. Tak przynajmniej twierdzą awangardowi projektanci mody z Londynu. W roku 1947 nasze panie nosiły ubiór, którego długość dziś byłaby już nie do pomyślenia. W roku 1960 kobiety odsłaniają nogi do norm pamiętnych z końcowego okresu ostatniej wojny. Czy jednak za parę lat spódnice rzeczywiście uniosą się ponad kolana? W każdym razie eksperymentalny model londyński, który poniżej reprodukowujemy, wystawiony w jednym z domów mody wzbudził małą sensację w Londynie.

Nr 796, 10 VII 1960

NOTKI i plotki

MARIHUANA likwiduje młodość i wymioty, pobudza apetyt, poprawia samopoczucie. Poza tym jest bardzo silnym środkiem przeciwbólowym – uważają lekarze z kilku szpitali w Barcelonie, którzy podają narkotyki pacjentom przechodzącym chemioterapię. Akcję popiera kataloński rząd i pięć klubów parlamentarnych. Być może niedługo marihuanowe preparaty będzie tam można kupować na receptę.

NIEZNAJOMOŚĆ GRAMATYKI kosztuje w emiracie Ras al-Khaimah w Zjednoczonych Emiratach Arabskich 135 dolarów grzywny. Okazało się, że firmy publikują ulotki reklamowe z mnóstwem skandalicznych błędów. Wszystko dlatego, że osoby, które redagują teksty, pochodzą z Azji i nie radzą sobie ze skomplikowanym językiem arabskim.

PIECHOTĄ DO SĄDU wędrował bezrobotny Walijszyc Gary Day, którego nie było stać na bilet. Aby zdążyć na rozprawę, szedł na skróty przez góry. 60 mil pokonał w 9 godzin.



FOT. EAST NEWS/SPA

KŁUSOWNICTWO ryb jesiotrowatych i opanowany przez rosyjską mafię nielegalny handel ich ikrą, a także zanieczyszczenie środowiska sprawiają, że – zdaniem specjalistów – za 5–10 lat może zabraknąć kawioru. Liczba jesiotrowatych w morzach Kaspijskim i Azowskim z 15 mln w 1995 r. spadła do 4 mln w roku ubiegłym.

LENIN jako oskarżyciel Jezusa podczas sądu nad nim. Nadia Comaneci (mistrzyni olimpijska z 1976 r.) i dwoje aktorów (Florin Piersic i Ana Szelesz) otacza Jezusa na obrazie Męki Pańskiej. John Lennon znajduje się w scenie

przedstawiającej Zmartwychwstanie. Takie obrazy wiszą w orsovskiej katedrze w Rumunii. Dwa pierwsze wyrażają „triumf wiary chrześcijańskiej”, trzeci symbolizuje zwycięstwo nad śmiercią i „postęp ludzkości odkupionej przez ofiarę Jezusa Chrystusa”.

PRZEMYTNIK chciał wwieźć do Czech 1400 par damskich majtek. Towar przechwycony na granicy czesko-słowackiej wypełniał cały samochód. Część była ukryta nawet w drzwiach i tablicy rozdzielczej. Handelek kosztuje tysiąc koron grzywny (27 dolarów) oraz kilkanaście tysięcy koron opłat celnych i podatków.

WYPOŻYCZALNIA PSÓW działa w Kromerzisku na Morawach. Mieści się w schronisku dla zwierząt. Czworonoga może wziąć na spacer każdy, kto ukończył 15 lat. Jedynie większe psy: rottweilery, doberman y wypożycza się pełnoletnim. Wypożyczenie nic nie kosztuje. Poza tym jeszcze nie zdarzyło się, by ktoś, kto chodził z psem na spacer, oddał go z powrotem do schroniska. Kiedy rozpoczęto akcję, w przytułku było 80 zwierząt, teraz jest 35.



myśli LUDZI, WIELKICH, ŚREDNICH I PSA.

Starość nie jest wielkim nieszczęściem, jeśli wziąć pod uwagę tę drugą ewentualność.

Ernest Hemingway

Kiedy ludzie przestają narzekać, przestają myśleć.

Napoleon Bonaparte

Sila bez myśli jest zawsze głupotą, ale myśl bez siły jest często błagą podszytą kubitynizmem.

Konstanty Grzybowski

Poprzeczkę należy stawiać sobie wysoko, tak by można było pod nią przejść.

dr Jurczyk z Przemysła

Czas to pieniądz? A im dłużej żyjemy, tym mniej ich mamy.

Sławomir Wróblewski

Kłamstwem daleko nie zajedziesz, ale prawdą nawet nie ruszysz z miejsca.

Andrzej Klawitter

Przed wszystkim licz na siebie.

Ale to kiepska rada.

Krecia P.

Myśli zebrała Stella Varcaby

ABECADŁO Myszkina

Pisarz. Pisarz pisze. Ja na przykład nazywam się Paweł Górecki i nie piszę, tylko przepisuję. Co mi do głowy przyjdzie, to zaraz przepiszę i odnoszę do redakcji. Muszę przepisywać, bo jakbym nie przepisał, to bym oddał redaktorowi i nie wiedział, co napisałem, to bym jeszcze raz napisał, a musi być coś innego. To ja sobie przepisuję i później to czytam. Jak mi się podoba, to jeszcze raz piszę, ale co innego. Bo lubię pisać, to zawsze coś napiszę i nie muszę ciągle czytać tego samego. Napisy są takie same, na drzwiach, na ubraniach, na dworcu*. Nie wiem, kto to pisze, bo ja nie, to chyba pisarze.

MYSZKIN

*a na okładce, to zawsze jest napisane „Przekrój”.

OKIENKO Z WIERSZEM

Maria Bigoszevska

Rdza

Deszcz, deszcz, który kazał mi wstać. I spijać krople, gdy zamykam bramę

nocą. Zatem kłódka i klucz, cicha czułość dotknięcia. Powrót mokrym podjazdem, prosto do ciała snu, jakbyś wciskał się tam delikatnie, albowiem rdza jest wszędzie

jednego koloru.

Autorka jednego zbioru opowiadań oraz trzech tomów poetyckich; ostatni – „Ciało niepewne”, został uhonorowany nagrodą Fundacji Kultury. Jest scenarzystką z wykształcenia. Pisze scenariusze sluchowisk radiowych, zajmuje się krytyką literacką.



TROPICIEL LITERACKI

z okazji swojego ostatniego wydania ma zaszczyt przedstawić multipoemę pt.

„Homo homini Coronat Opus”

utkaną z wyjątków z dzieł pióra wieszczca „cywilizacji »Przekroju«” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

– Powiedz mi, jak mnie kochasz.

– Powiem.

– Więc?

– Kocham cię w słońcu i przy blasku świec. Gdy niebo od gwiazd błyska, wiedz, że te gwiazdne błyski

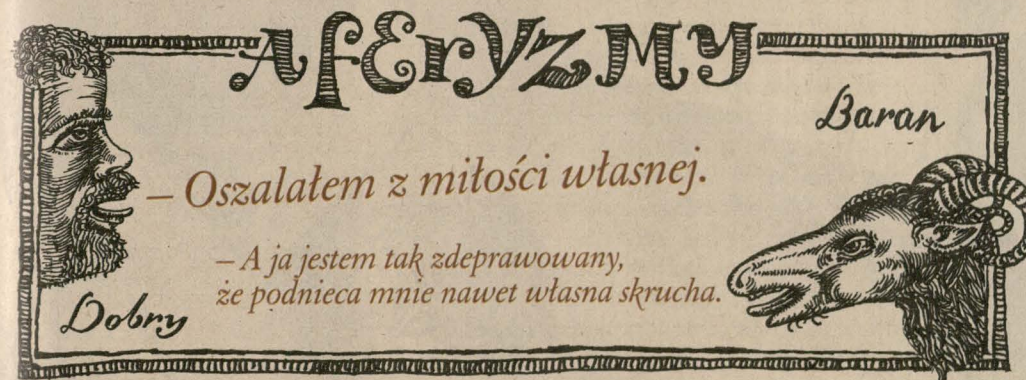
To jest Hanka Sawicka, to jest Janek Krasicki. Ja jestem człowiek z transparentem A żeby mam zaciśnięte Idę z mym transparentem przez lądy, przez kontynenty

(A w ogóle, proszę państwa, nie widać nic bo fotograf był urzędnym) Bo w świecie nic nie zastrasz rosnących szeregów naszych Bo miliard jest takich, jak my. I lepiej by nie krzyczeli handlarze ludzkich pischeli: Kochajcie wróbelka, dziewczęta! Kochajcie, do jasnej cholery! I o to będzie walczył świat przeciw szujom Co się na wojnie tuczą i wojną handlują Aż powie matka dzieciom wieczorem spokojnym:

Bo cholerę to tu żyje?

Trudno powiedzieć, czy ma szyję A bez szyi komu się przyda? Ohyda! Ręka w rękę, dziecko z dzieckiem polskie, czeskie i radzieckie. Nawet zajączki, nawet pajączki lubią popieścić nóżki i rączki. Kończę. Pamiętaj, co rzekł B. Słowiczek. Pisz i sprzedawaj. Lecz nie bierz zaliczek.

Kto ciekaw z ilu i fragmentów jakich dzieł Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego składa się powyższe multipoema, niechaj sięgnie po czterotomowe „Dzieła zebrane” tegoż autora. Kto ciekaw nowej zabawy literackiej, która wejdzie na miejsce „Tropiciela” w Mieszance Firmowej, niechaj sięgnie po następny numer PRZEKROJU.



HECA HECA

- Bez mediów donosu nie ma rozgłosu.
- Od prawicy i lewicy lepszy kawał południcy.
- Nie ma miłości bez ości.
- Wleż w bajoro i graj Zorro.
- Te komórki kolorowe wchodzą między szare w głowę.
- No to cykl, rzekł bicykl.

Wybraliśmy z listów naszych Czytelników: Mariana T. z Ostrowa Wielkopolskiego i Wiesława Cz.-N. z Lidzbarku Warmińskiego. Dziękujemy.



KĄCIK BELFRA

No to jesteś teraz panem sytuacji bez wyjścia.

Kowalska, nie rób w klasie zamieszania, przebijając pod stołem nogami, niby to prywatnie, a w gruncie rzeczy publicznie.

Nie rozróżniasz kąta prostego od kąta rozwartego, idź więc za karę do zwykłego kąta.

Tylko nie zacznij mi płakać, bo to by było poniżej pasa.

Na razie jeszcze mózg nie podlega wymianie i to jest problem dla wielu z was.

Dzisiejsze cytaty do KĄCIKA BELFRA nadesłali: A. Kozarzewski z Pułtusa, A. Głogowska z Warszawy, M. Trachimowicz z Ostrowa Wielkopolskiego, M. Marcinak z Warszawy i J. Golanowski z Ostrzeszowa. Prosimy o nas nie zapominać.



© MARCIN MACIEJOWSKI

Francuski *punkt widzenia*

WOJCIECH BIT

Ta wystawa nie jest dyskusyjna
ani skandalizująca.
Ona jest po prostu inteligentna.



Papież na 60 zdjęciach. Autorzy różni, choć jedna firma: Agence France-Presse. Fotografie nie czynią z papieża pomnika, ale jednocześnie nie są zbiorem ciekawostek i ujęć „nigdy dotąd nie oglądanych”. Bohater wystawy jest dostojnikiem Kościoła, podróżnikiem, człowiekiem współczującym, radosnym i ludzkim. Akcenty prywatne i nieoficjalne są zarysowane z taktem. Daleko im do otwartego humoru i nostalgii, jak słynne „wadowickie kremówki”.

Wystawa uświadamia sporo rzeczy. Z powodu nawału informacji i zdjęć umykają one zazwyczaj powszechnej uwagi Polaków oddających bezgraniczną cześć najśłynniejszemu rodakowi wszech czasów.

Przecież Jan Paweł II to papież o wielkiej sile witalnej i emanującej osobowości medialnej – Watykan nie miał kogoś takiego od dziesięcioleci, jeśli nie wieków. To pierwszy od czasów renesansu papież tak bardzo ciekaw świata i ludzi. Zrezygnował z lektury na rzecz przeszklonego samochodu. Zastąpił elementy dostojnego rytuału watykańskiego globalnym, egalitarnym spotkaniem z wiernymi. Odbił ponad 200 podróży po całym świecie, wygłosił 3100 przemówień, 29 razy okrążył kulę ziemską, jedną dziesiątą swego panowania spędził poza Watykanem. Paweł VI w ciągu 15 lat podróżował tylko 9 razy, co zresztą nie stanowi o jakości jego pontyfikatu, lecz o odmiennym, tradycyjnym modelu bycia głową Kościoła.

Człowiek mówiący „nie”.

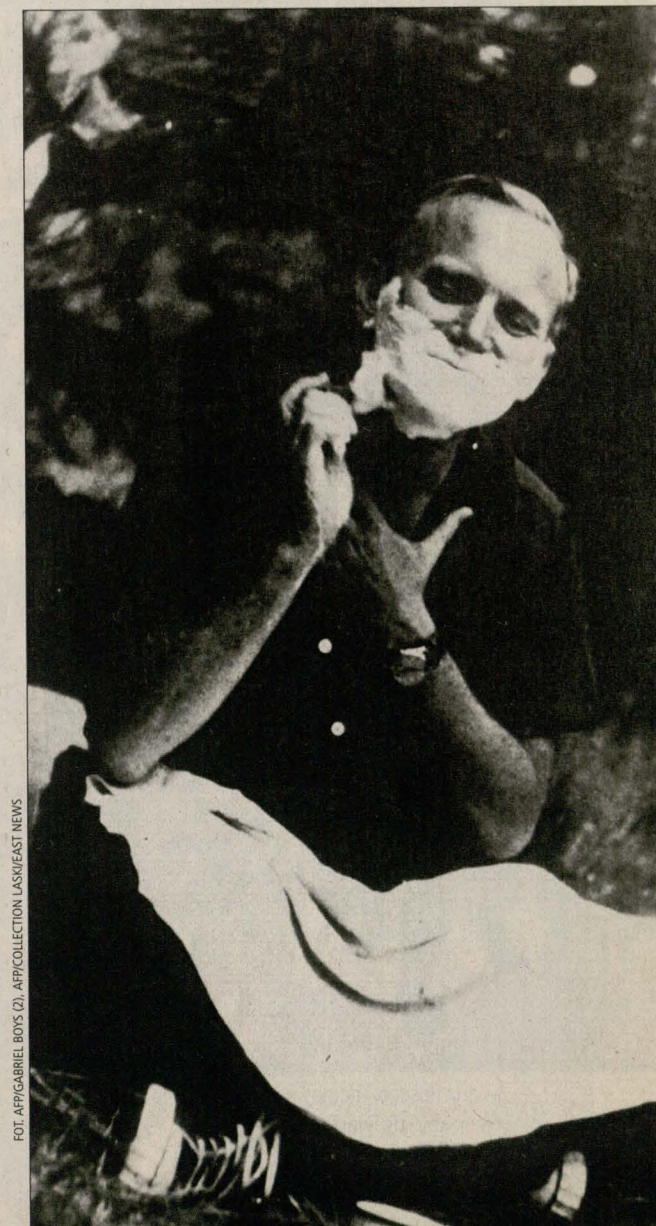
Jan Paweł II na zdjęciach jest prawodawcą i pasterzem, ale również cenionym przygodę politykiem. Papież współczuje, ale bywa zaskakująco twardym i nie idącym na żadne kompromisy strażnikiem porządku Kościoła. To papież wielkich gestów i bohater wielkiego religijnego spektaklu.

Wystawa uświadamia nam (a przynajmniej stwarza taką możliwość), że Jan Paweł II przez jednych może być postrzegany jako postać wielka, przez innych jako skrajnie kontrowersyjna. Nie daje również zapomnieć o dylematach moralnych, dramatycznych zarówno dla wielu ludzi dalekich od religii, jak i wiernych „myślących inaczej”, których wykładnia doktryny pozbawia miejsca we wspólnocie.

W części wystawy nazwanej „Kultura życia, kultura śmierci” stykamy się z najmocniejszymi akcentami walki papieża z etycz-



Watykan, 16 II 2000 r. Cotygodniowa audycja Poniżej: W latach 60. – podczas wycieczki w góry



FOT. AP/GABRIEL BOYS (2), AP/COLLECTION LASKWEST NEWS



FOT. AFP/MARC CLEROT

Działacz ruchu na rzecz homoseksualistów z upiorną kukłą, protestujący przeciw wizycie papieża w San Francisco – 18 IX 1987 r.



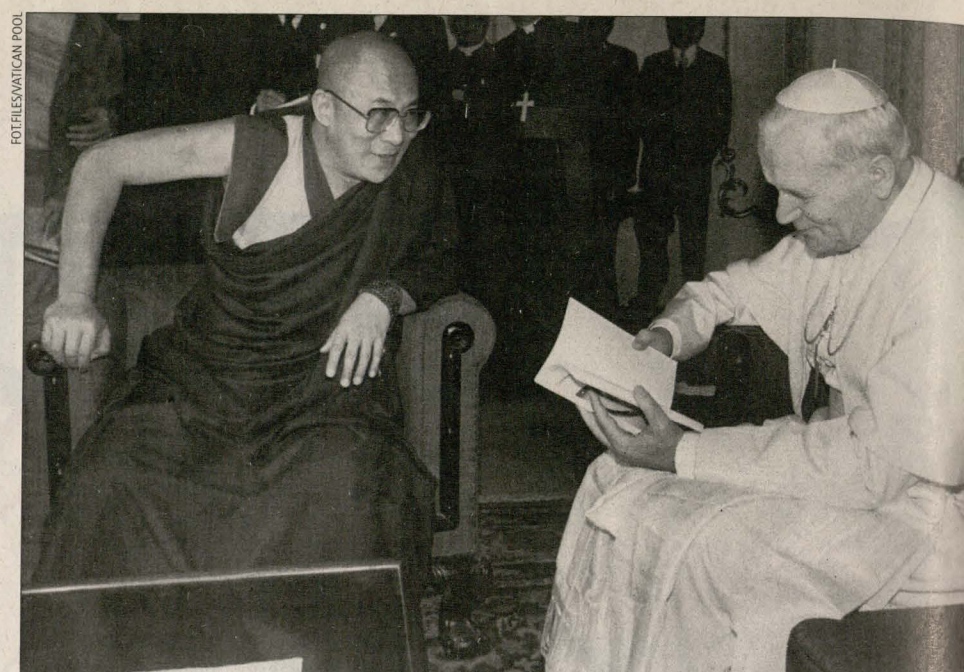
FOT. AFP/MARC UGARTE

Zdjęcie samotnej ofiary AIDS jedynie sugeruje stosunek Kościoła do tego dramatu. Lima, 25 VI 1993 r.



FOT. AP/IDON EMMERY

Ksiądz Rosario Thomas modli się za demonstrantów, zwolenników usuwania ciąży. Nowy Jork 13 VII 1992 r.



FOT. VATICAN POOL

Papież z dalajlamą. Obaj są na tym zdjęciu kimś więcej niż dostojnikami dwóch wielkich religii

na obojętnością i liberalizmem obyczajów. Obok jego przeciwnicy. Tak samo jak Jan Paweł II nie pozbawieni są siły i bezinteresownych przekonań. Oto słynny dr Jack Kevorkian jako oskarżony na sali sądowej podczas procesu o zabieg eutanazji na nieuleczalnie chorym Thomasie Youku. Albo działacz ruchu na rzecz homoseksualistów z upiorną kukłą papieża, protestujący przeciwko jego wizycie duszpasterskiej w San Francisco. Jest i zdjęcie samotnej ofiary AIDS, jedynie sugerujące stosunek Kościoła do tego dramatu – leżący na kartonowych marach w przytułku, zmarły 28-letni Rigo, męska prostytutka z przedmieść Limy. Są też walczący rzecznicy sprawy – demonstranci przed Sądem Najwyższym USA, protestujący przeciw legalności aborcji czy ksiądz Rosario Thomas wśród zwolenników usuwania ciąży, modlący się za nich z czerwoną różą w ręku.

Wystawa nie ma jednak ambicji pełnego przeglądu palących problemów Kościoła: nie zobaczymy więc przedstawicieli teologii wyzwolenia, kobiet-kapłanów, ludzi chcących legalizacji rozwodów i walczących o antykoncepcję.

Papież ze zdjęć jest dobry i współczujący, ale również surowy i nie dyskutujący na temat dogmatów wiary. Nie znaczy to wcale, że francuska wystawa zmienia proporcje i tworzy obraz Jana Pawła II w mocnej opozycji do jego przeciwników. Tylko kilkanaście zdjęć nie pokazuje go wprost, lecz jego otoczenie – wiernych, obserwatorów i adwersarzy.

Wystawa wyważa wszystkie akcenty – uzmysławia, ale unika demonstracji. Zdjęcia bez wstydu ukazują wielowymiarowość Człowieka z Watykanu, który wzbudza ty-

le emocji – zarówno tych pozytywnych, jak i negatywnych, choć te drugie zostały przez autorów wystawy zminimalizowane. Można ich nie akceptować, lecz spychanie do nieświadomości nic nie zmienia. Bądź zmienia na gorsze, tworząc izolujący mur. Zwłaszcza w Polsce, gdzie jakakolwiek dyskusja na ten temat stała się niemal niemożliwa.

Papież ze zdjęć to również człowiek jak najbardziej cielesny – kilkadziesiąt lat z jego życia odcisniętych na fotografiach uzmysławia upływ czasu. Do jego skomplikowanej misji dochodzi więc jeszcze jeden aspekt – walka z własnym ciałem. Papież chory i do brotliwy umie być jednak nieustępliwy, co stanowi jedną z największych pociech, ale i konfuzji współczesności.

Siła szczegółu

Kilka zdjęć na wystawie jest niby znajomych, lecz uważniejszy ogląd zdradza wiele zaskakujących szczegółów.

Oto metropolita krakowski Karol Wojtyła w serdecznym uścisku z Janem Pawłem I. Zdjęcie nie datowane, choć data dzienna nie gra roli. Spadkobierca idei Jana XXIII piastował swój urząd około miesiąca. Po nim zajął miejsce właśnie Karol Wojtyła.

Wspaniałe zdjęcie papieża z dalajlamą – obaj są na nim kimś więcej niż dostojnikami dwóch wielkich religii. To również ludzie o tak dużym doświadczeniu i tolerancji, że na poziomie czysto ludzkim zanika między nimi napięcie i chęć przekonywania do własnych racji. Fotografia uderza pogodą i luzem.

I inne spojrzenie, już nie takie proste – tym razem ze strony hinduskiego duchowne-



Wśród Indian, Cuiaba, 15 X 1991 r.



Z Matką Teresą, Kalkuta 3 II 1986 r.



„Jan Paweł II”

Wystawa fotografii Agence France-Presse.

WARSZAWA,
Biblioteka Zamku Królewskiego,
10 lutego – 5 marca 2001

KRAKÓW,
Muzeum Narodowe, Galeria Sukiennice
10 marca – 7 kwietnia 2001

go podczas zeszłorocznej konferencji w New Delhi. Schorowany i skupiony papież z głową podpartą ręką, a obok Shankaracharya Madhavananda Saraswati patrzący nań z uwagą, nie pozbawioną jednak dystansu.

Spotkanie w Jerozolimie – pośrodku zadumany papież, u jego boków naczelny rabin Izraela i duchowy przywódca palestyńskich muzułmanów. Tutaj nic nie zapowiada ekumenicznego pojednania.

Na dokumentalnym czarno-białym zdjęciu, wykonanym chwilę po zamachu w 1981 r., w pierwszej chwili przykuwa uwagę ból i spokój na twarzy rannego. Taki spokój maluje się często na twarzy umierających. Potem widzimy poruszone sylwetki ochroniarzy zasłaniających Jana Pawła II. Ale już po chwili nasz wzrok przyciągają zagadkowe twarze ludzi z tłumy: otwarte w krzyku przeżycia usta kobiety w białej sukience czy zupełnie nieostre, napięte rysy wysokiego młodego mężczyzny w ciemnych okularach. Jest bardziej zdezorientowany niż przestraszony.

Vera Cruz, Meksyk, 1990 rok – akcent humoru. Na podeście papież i dwaj dostojnicy kościelni. Po prawej stronie jakaś kobieta z tłumy kurczowo trzyma pośladki papieża szaty. On błogosławi tłum. Jeszcze nie zauważył, co zaszło. Z tyłu kardynał patrzy z dezaprobatą na czyn kobiety, z drugiej strony towarzyszący ksiądz delikatnym gestem spycha z podestu fotoreportera.

Zdumiewa również wytworny garnitur Fidela Castro, z szerokimi, białymi mankietami koszuli. Chyba tylko papież umiał zmusić przywódcę Kuby do tak szykownego stroju – tak różnego od jego demonstracyjnego drelichowego munduru.



FOT. FILES/DERRICK CERVAC, AP, AP/MICHEL GANGE, AP/ANS

Pamiętna wizyta na Kubie, 21 I 1998 r.
Poniżej: Uwagę przykuwa ból i spokój na twarzy rannego – plac św. Piotra 13 maja 1981 r.



Bond pod młotek

AGNIESZKA PARTRIDGE

Agent 007 wykreowany przez Iana Fleminga dla zaspokojenia pragnienia męskiej doskonałości stał się ikoną XX wieku. Ikoną, która świetnie się sprzedaje.

Pojedyncze pamiątki, związane z filmami o Bondzie, często pojawiają się na światowych aukcjach plakatów filmowych, zabawek, strojów. Pierwszą w całości poświęconą Bondowi wyprzedaż zorganizowano w londyńskim Domu Aukcyjnym Christie's w roku 1998. Okazało się wtedy, że urok i sława agenta wszech czasów nie osłabły, a wpływy ze sprzedaży wyniosły wtedy prawie pół miliona funtów. Druga aukcja odbyła się w Christie's 14 lutego br.

Na sprzedaż wystawiono 291 przedmiotów: broń, zegarki, samochody, kostiumy, a także zabawki, artykuły promocyjne, a nawet... gumę do żucia z logo Bondy. Gadżety pochodziły z wszystkich filmów o agencji 007, z „Cassino Royale” włącznie.

Przyjrzyjmy się najbardziej pożądanym przedmiotom. Na początek nieodzowny atrybut Jamesa – samochód. Pod młotek poszedł słynny Aston Martin DB 5 rocznik 1965, jeden z dwóch egzemplarzy wyprodukowanych dla potrzeb filmu przez Newport Pagnell. Cena wywoławcza wyniosła 150 tys. funtów.

Samochód pochodzi z filmu „Goldeneye” (1995) z Pierce'em Brosnanem. Aston martin „wystąpił” w brawurowej, kręconej w Monte Carlo sekwencji pościgu za ferrari Xseni Ona-

topp. Auto wystawiono na sprzedaż razem z butelką szampana ukrytą w skrytce obok skrzyni biegów. Niestety, samochód pozbawiony zwykłych gadżetów (obrotowe tablice rejestracyjne, pociski rakietowe, zasłona dymna) poszedł „tylko” za 157 750 funtów, przy cenie wywoławczej 100-150 tys., podczas gdy bliźniaczy aston martin na aukcji w Sotheby's w roku 1986 osiągnął sumę 210 tys. funtów.

Na aukcji w Christie's można było też zaopatrzyć się w tablice rejestracyjne zdjęte z samochodów użytych do promocji filmów „Goldfinger” (1964) i „Thunderball” (1965). Za plaketkę BMT 261A trzeba było zapłacić 2585 funtów, a za JB 007, bagatela... 4935. Ci, których nie stać było na prawdziwy samochód, mogli zadowolić się miniaturowymi modelami astona martina wyprodukowanymi przez Corgi i Gilberta. Ich ceny wahały się od 220-1645 funtów. Za pożądanego prototyp modelu lotusa esprit nabywca zapłacił aż 2350 funtów.

Wszędzie, gdzie zjawia się Bond, pojawiają się też kobiety. Któż nie pamięta pierwszej dziewczyny Jamesa, Honey Rider (Ursula Andress), wyłaniającej się z karaibskich fal w filmie „Dr No” (1962). Kremowe bikini, które miała na sobie aktorka, wraz z przywieszoną na pa-

Błękitny szlafrok, który nosiła Ursula Andress w filmie „Dr No” 1962 – 8 225 funtów

Rolex z filmu „Żyj i pozwól umrzeć” 1973 – 25 850 funtów



WARS=SA



Oddział Południe
w Krakowie
31-154 Kraków,
pl. Kolejowy 7

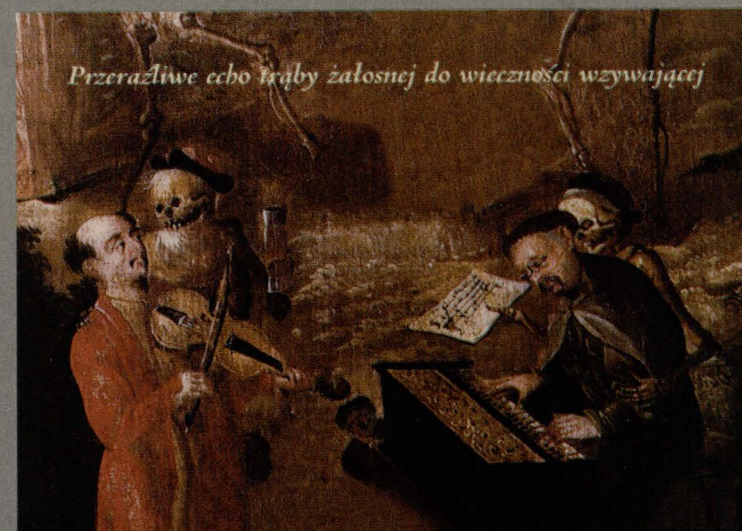
Telefony:
0-12 429 56 59
0-12 422-30-54
Fax 0-12 422-94-22

Telefony Kolejowe
Sekt. 15-68
Dysp. 55-88
Kasa bil. 624-15-00

STARA FIRMA NOWA JAKOŚĆ

PWSiR „WARS” poleca:

- ✓ sprzedaż biletów „WARS-u” i PKP z dowozem do klienta
- ✓ przejazdy w wagonach sypialnych i z miejscami do leżenia w komunikacji krajowej i zagranicznej
- ✓ ofertę specjalną „WARS-u” w sezonie letnim (pociągi hotelowo-turystyczne łączące aglomerację krakowsko-śląską z polskim wybrzeżem)
- ✓ możliwość uzyskania korzystnej bonifikaty do 30% przy zakupie miejsc sypialnych i leżących
- ✓ możliwość wyczerterowania wagonu na dowolną trasę
- ✓ organizacja „Zielonych Szkół”
- ✓ usługi pralnicze



Smierć w kulturze dawnej Polski

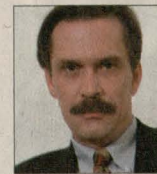
Od średniowiecza do końca XVIII wieku

Wystawa w Zamku Królewskim w Warszawie
15 grudnia 2000 – 15 marca 2001

Patroni medialni:



Olga Tokarczuk
Pismo inne niż wszystkie



Jacek Żakowski
*„Zwierciadło” zobaczyło moją lepszą stronę**

zwierciadło

nr 03/1853 marzec 2001 r.

Cena 5,90 zł (w tym 7% VAT)

Artyści niezależni

Raj na ziemi

Twój zegar biologiczny

Eichelberger
w nowym cyklu o kobietach

LIV ULLMANN
URSULA DUDZIAK
TAMARA LEMPICKA
ich wielkie miłości

Anna Mamczur
odkrywa aromaterapię



Wojciech Eichelberger
„Zwierciadło” – prawdziwe i mądre



Anna Maria Jopek
„Zwierciadło” to pismo szlachetne, dla kobiet wymagających

* J.Ż. jest laureatem „Kryształowego Zwierciadła”



Bikini pierwszej dziewczyny Bonda z filmu „Dr No” 1962...

sku finką poszło za 41 tys. funtów. Niebieski frotowy szlafrok, który powabnie opada na podłogę w dalszej części filmu, kupiono za 8225 funtów. Pizama, żółty szlafrok i mało męskie purpurowe pantofle z monogramem JB, z filmu „Żyj i pozwól umrzeć” (1973), w którym debiutował Roger Moore w roli 007, znalazły nabywcę za jedyne 7050 funtów.

Czym byłby Bond bez gadżetów? W filmie dba o nie Q – ekscentryczny wynalazca brytyjskiej Secret Service. Rolę tę grał we wszystkich prawie filmach Walijczyk, Desmond Llewelyn,

nie on jednak wręczał Bondowi słynny zegarek marki Rolex z wbudowanym silnym magnosem. Było to w filmie „Żyj i pozwól umrzeć” (1973). Bond używał zegarka nie tylko do uwalniania się z opresji. W jednej ze scen filmu za pomocą magnesu rozsunął zamek błyskawiczny w sukience Miss Caruso. Gdy ta komplemowała jego delikatność, James odparł z uśmiechem: „To zwykły magnetyzm, kochanie!”. Zegarek przy cenie wywoławczej 15-20 tys. sprzedano za 25 850 funtów. Nieco niżej wyceniono (7050 funtów) inny zegarek – omega seama-



...sprzedano za 41 000 funtów

ster noszony przez Pierce’a Brosnana w ostatnim filmie „Świat to za mało” (1999).

W dziale „broń Bonda” pojawiły się dwa walthery PPK i pistolet na rekiny. Droższy walther, to pistolet używany w filmie „Nigdy nie mów nigdy” (1983) wyceniono na 14 100 funtów. Drugi egzemplarz wykonano specjalnie dla potrzeb reklamy filmu „Pozdrowienia z Rosji” (1963). Sean Connery pojawił się z bronią na plakatach i zdjęciach. Jedno z takich zdjęć dołączono do pistoletu, a całość sprzedano za 3525 funtów. Dużą atrakcję stanowił dla kolekcjonerów pistolet na rekiny, zaopatrzony w specjalne powietrzne pociski, które (oczywiście w filmie) „nadymały” ciała ofiar, rozrywając je. W filmie „Żyj i pozwól umrzeć” pistolet ten nie tylko służył do obrony przed rekinami, ale powoduje dwie eksplozje... sofy i czarnego charakteru, doktora Kanangi. Broń tę sprzedano za 17 625 funtów.

Byli i tacy, których zadowolił jeden tylko nabój, za to z wygrawerowanym symbolem Bonda: cyframi 007. Nabój, pojawiający się na ekranie w filmie „Człowiek ze złotym pistoletem” (1974), kosztował nabywcę aż 820 funtów.

Dużym powodzeniem cieszyły się plakaty i fotografie z filmów. Za pojedyncze afisze trzeba było zapłacić od 1000 do 2000, a za zestaw ponad dwu tysięcy fotosów aż 8800 funtów. Znaleźli się także nabywcy fragmentów filmowej scenografii: zestaw czterech paneli drzwiowych z filmu „Thunderball” (1965) sprzedano za 11 750 funtów, a biurko z filmu „Pozdrowienia z Rosji” za 5875. Wielką niespodzianką aukcji było nabycie 36-letniej gumy do żucia (rok prod. 1965) z wizerunkiem Bonda, której dwa pudełka sprzedano za prawie 800 funtów. Organizatorzy aukcji spodziewali się, że wartość sprzedanych przedmiotów osiągnie 400 tys. funtów. Zainteresowanie Bondem i jego legendą przeszło jednak najśmielsze oczekiwania. Kupujący zostawili w londyńskim Christie’s aż 599 550 funtów!

Albert „Cubby” Brocoli, który przez 35 lat produkował filmy z Bondem, powiedział kiedyś: „James Bond ucieleśnia styl gentlemana, który wie, jak się ubrać, co zjeść, pić, co mówić i kiedy łamać reguły. Jego metody zmieniały się wraz ze zdobyczami techniki, ale on sam na zawsze pozostał nieco staromodnym szpiegiem w garniturze”.

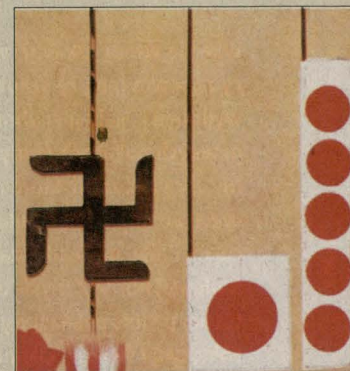
SWASTYKA – złamany krzyż

ZNAKI, SYMBOLE, IKONY XX WIEKU (5)

Najbardziej złowrogi symbol XX wieku. Niemieccy faszyci – a po nich i inni – zaadoptowali ją jako symbol praaryjskości. Od tej pory, pomimo swej długiej historii i wieloznaczności, jest kojarzona nieodmiennie z III Rzeszą.

Nazwa „swastyka” pochodzi ze starożytnych Indii i w sanskrycie oznacza: „dobry znak”, „żyjący w dobrobycie”, „pomysłna wróżba”. Pierwotnie symbolizowała słońce, jego ruch na nieboskłonach, światło, płodność, zbawienie. Była rozpowszechniona wśród ludów Azji i Europy, rzadziej w Afryce i Ameryce Środkowej.

Swastykę odkryto w znaleziskach w Troi. W Chinach znano ją pod nazwą wan, jako pierwotny emblemat taoistów. Można ją znaleźć w rękach założyciela tej religii Lao-Cy. Jest jednym z „pomysłnych znaków” na stopie Buddy i oznacza „klucz do raju”. Dotarła także, wraz z buddyzmem, do Japonii i widnieje na wizerunkach wielu bóstw tego kraju. W Skandynawii była atrybutem gromowładnego boga Thora – wyobrażała krzyżujące się błyskawice. Mia-



Swastyka na japońskim sztandarze symbolizująca tarczę słoneczną

ła także znaczenie magiczne w sztuce romańskiego średniowiecza.

Końcówki ramion swastyki mogą być ustawione zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a ramiona przypominają grecką literę gamma. To gammadion lub crux gamma. Istnieją także swastyki „lewoskrętne”, występujące między innymi we wczesnochrześcijańskich inskrypcjach jako forma krzyża. Ramiona mogą także mieć formę łuku. Niezależnie od rodzaju, wszystkie swastyki mają sprawiać wrażenie ruchu okrężnego. Na ziemiach polskich swastyka pojawiła się w okresie neolitu prawdopodob-

nie za sprawą wędrowców praindoeuropejskich ludów rolniczych. Była symbolem kultu słońca, ognia i ciepła, witalności i rozrodności. Miała też pomóc w walce z wrogiem i zapewniać pomyślność. Ozdabiano nią wyroby ceramiczne, biżuterię i broń.

We wczesnym średniowieczu posługiwano się swastyką w pogańskich obrzędach religijnych, np. podczas przegania upiórów. W wiekach XIII i XIV stopniowo zanikła. Jednakże jako znak pomyślności (zwana swargą) przetrwała na weselnym pieczywie, pisankach, naczyńiach i sprzętach aż do czasów nowożytnych.

W okresie Młodej Polski szczególnym zainteresowaniem cieszyły się kultury Orientu i Podhala. Starano się znaleźć cechy wspólne obu kultur. Takim elementem okazała się właśnie swastyka, zwana przez górali „Niespodzianym Krzyżykiem”. Umieszczano ją na nowo budowanych domach, narzędziach i sprzętach domowych, by swą magiczną siłą chroniła przed diabelskimi mocami.

Swastykami oznaczał w Tatrach szlaki kompozytor Mieczysław Karłowicz, a Stanisław Witkiewicz ozdobił nią bu-

dynek Muzeum Tatrzańskiego. Po 1918 r. stała się, wraz z gałązką jedliny, godłem Strzelców Podhalańskich i jest używana do dziś jako odznaczenie pamiątkowe. Być może góralska swastyka odegrała pewne znaczenie w trakcie okupacji, gdy usiłowano wyodrębnić tzw. naród góralski (Goralenvolk) i stworzyć mu autonomię.

Obecnie najczęściej kojarzona jest z ruchami neofaszystowskimi. Niedawno w Brandenburgii odkryto kompozycję leśną układającą się w ten charakterystyczny kształt. Drzewa, zasadzone około 1938 r., tworzyły go jesienią za sprawą żółtego koloru mroźni, wyraźnie odcinającego się od pozostałych zielonych „iglaków”. 25 drzew wycięto, by zlikwidować ów „leśny ornament”. Z kolei 18 listopada zeszłego roku policja zatrzymała na krakowskim Rynku dwoje studentów i wykładowcę akademickiego. Usypali oni swastykę z ziaren pszenicy – jak tłumaczyli się policji – dla potrzeb etiudy antyfaszystowskiej. Miały ją zjeść gołębie, symbol pokoju. Zapewne nie zdążyły...

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ

LAPTOP W TELEFONIE

Telefon, laptop, organizator – więcej elektronicznych gadżetów w twojej tecze już się nie zmieści?

A gdzie miejsce na drugie śniadanie i „Przekrój”?

Dla aktywnych, których teczki pękają w szwach, koncert Motorola przygotował Motorola Accompli 009. Ten niewielki palmtop pomoże zaplanować dzień, uporządkować adresy, przypomni o ważnym spotkaniu. Właściciela urządzenia ze światem zewnętrznym łączy wbudowany modem, pozwalający na wysyłanie i otrzymywanie e-maili, faksów i wiadomości tekstowych oraz trzykresowy telefon GSM. Dzięki systemowi PIM (Personal Information Management) można dowolnie konfigurować oprogramowanie. Pracę umili kolorowy, czytelny wyświetlacz. (SR)



FOT. EAST NEWS

WZORNICTWO BRYTYJSKIE W POLSCE

Prace szesnastu młodych brytyjskich designerów można oglądać (do 16 III) na Zamku Ujazdowskim w Warszawie. Wystawę zatytułowaną „Przyczyna i skutek” („Cause and effect”) w Centrum Sztuki Współczesnej zorganizował The British Council. W gablotach, obok projektów, znajdziemy tabliczki z wypowiedziami twórców reprezentujących różne podejścia do designu. Wszyscy projektanci to studenci i absolwenci londyńskich akademii, reprezentujący świeże podejście do swojej pracy.

Wystawa udowadnia, że niekoniecznie trzeba studiować design, aby zostać projektantem. Autorami prac są ludzie rozmaitych profesji: architekci, projektanci

przedmiotów, mebli, mody, graficy, ilustratorzy i malarze. Wśród prac znajdziemy przedmioty codziennego użytku, plakaty, projekty architektoniczne, a nawet reklamy i okładkę płyty „Blur”. Najciekawszy projekt to bez wątpienia wózek inwalidzki dla



dziecka. David Constantine udowodnił, że nawet taki przedmiot może być zaprojektowany z pomysłem i niekoniecznie musi być brzydki.

Polskiego widza może zdziwić różnorodność pokazywanych przedmiotów: od ściereczki do naczynia po przenośny gabinet zabiegowy. „W przeciwieństwie do Polski, w Wielkiej Brytanii dużą wagę przywiązuje się do szczegółów. Młode pokolenie stara się kupować nawet drobne przedmioty sygnowane nazwiskiem projektanta – mówi Dorota Łoboda, kurator wystawy. – Design wkracza w każdą dziedzinę życia, jest świeży, zajmuje się wszystkim, nie tylko wyrafinowanymi meblami”. (SR)

NAJLEPIEJ UBRANY MĘŻCZYZNA

Wiję się wtedy jak wąż, wykręcam, przyciskana sycę i z góry zapowiadam, że szkoda czasu i energii – nic ze mnie nie wydobędą. Najlepiej ubrani są modele męscy na wybiegu na pewnych pokazach mody.

Nie chcę być żółtą, która nie chce pomóc w zrobieniu rewelacyjnej audycji czy artykułu, ale trudno się porozumieć w świecie mediów, gdzie układa się podobne listy rankingowe.

Najlepiej ubrany; myśli się wtedy o znanym polityku czy artyście, o kimś pokazującym się w telewizji.

Politycy na świecie, jak mogli Państwo nieraz zauważyć, ubierają się dość podobnie. Kiedy patrzymy na zbiorowe zdjęcia prezydentów, premierów czy ministrów, widać

wielkie podobieństwo w stylu strojów, a nawet w szczegółach. Kobiety trochę wyrwywają się z tego umundurowania, ale też przeważa styl „żona dyplomaty”, ten nieco odwieczny i wyraźnie międzynarodowy kanon.

Oczywiście, chcemy, żeby „nasi” wyglądali jak najlepiej i bardzo ich oglądamy. I tu robimy błąd. Jeśli chcemy mieć bardzo szykownego polityka, wybierzmy najładniejszego, najzgrabniejszego i najszykowniejszego faceta. Po prostu wybierzmy męskiego modela. A jednak to nie jest kryterium, którym się kierujemy. Wybieramy ludzi, którzy wydają nam się sprawni umysłowo, odpowiedzialni, skuteczni i tak dalej, i tak dalej. Wybieramy jednak ludzi, którzy lubią władzę. Bo inaczej nie daliby się wybrać. To nie jest typ ślicznego lekkoducha, czarującego amanta, bardzo seksownego faceta. Polityk nie musi być tym, który wygrywa w konkursie „z kim chciałbyś się przespać”, bo zdaje się, że chodzi o coś innego.

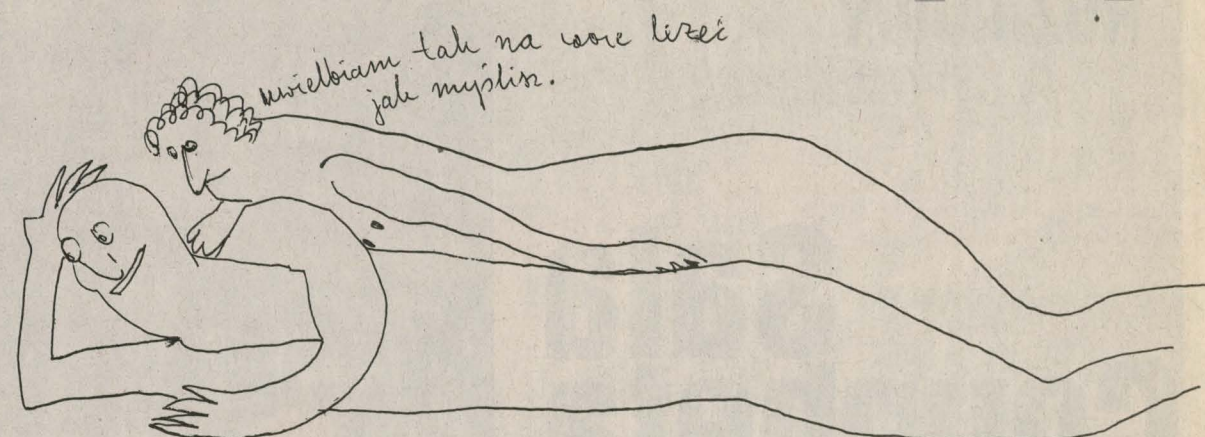
A jednak nie lubimy, kiedy ma za długie rękawy w marynarce, która zresztą na nim wisi, gdy ma paskudny krawat i rusza się topornie. Czego chcemy od tych ludzi? Umiejętności podejmowania właściwych decyzji czy zgrabnej figury?

Ocenianie znanego człowieka po ubraniu sprowadza się czasem do oceniania gustu jego sekretarki, jego żony, jego kochanki czy wynajętego stylisty. Do tego, zanim go zobaczymy w telewizji, przechodzi często przez sprawne ręce charakteryzatorki i fryzjerki. Jeżeli już znani aktorzy fotografują się w kolorowych magazynach w ubraniach z firm, których podaje się nazwy plus nazwisko stylisty, to znaczy, że zamieniają się na chwilę w kogoś innego, a my przyzwyczajamy się do tej całej ułud i fikcji. Bo, wiercie mi, każdego można spreparować, ubrać, umakijażować, dobrze oświetlić i pokazać nam jak najlepiej... To już jest tylko wyścig ekip, które kogoś „robią”. Czyli oceniamy człowieka czy jego stylistę i wtedy proszę o nazwisko.

Adam Wiedemann Dziennik „duszy” (6)

23.01.2001

Panie M. i W. poczuły się w obowiązku zaprosić nas, nałożyć na nas obowiązek stawienia się, uniwersytecki rygor, wiadomo, dwóją, trzy na szynach. Wpadam spóźniony, a tam już wszyscy grzecznie siedzą, mój szef, koledzy redaktorzy i Bronek Maj, nie wiedzieć czemu siedzący po naszej stronie, choć od strony formalnej winien być po stronie pań. No i zaczyna się, tzn. zaczyna pani M., bo pani W. w kapeluszu i jakby od razu wychodząc, a wywoływany do tablicy Bronek za każdym razem podkreśla, że siedzi tu najzupełniej prywatnie, zatem pani M. bierze sprawę w swoje ręce, cały ten ciężar bycia naszą Radą redakcyjną, my zaś bierzemy na siebie przekleństwo bycia redakcją i tłumaczymy się ze swoich obfitych niedociągnięć polegających na tym, że lekceważymy wychowanków pani M., właściwie to nie zwracamy na nich najmniejszej uwagi, zwłaszcza że omijają naszą redakcję szerokim łukiem i trudno by ich było zauważyć, nawet gdyby wyjść przed barak i się specjalnie rozglądać (na co rzecz jasna nie mamy już najmniejszej ochoty). Pani M. jest osobą wygadaną, przyzwyczajoną do wykładania kawy na ławę, nasze tłumaczenia giną więc w powodzi jej zarzutów, wśród których najczęściej powtarzającym się, miażdżącym nas niczym taran, jest, iż drukujemy teksty grafomańskie, poniżej wszelkiej krytyki, niedopuszczalne po prostu. Nie żebym zamierzał oponować, byłem po prostu ciekaw, poprosiłem więc, by podała jakiś przykład, zwłaszcza że leżały przed nią liczne egzemplarze redagowanego przez nas pisma S., w którym znalezienie tekstu grafomańskiego mnie samemu nie sprawiłoby najmniejszego kłopotu. Pani M. z początku uchyla się od odpowiedzi, woli dywagować ogólnie, w końcu jednak sięga po któryś egzemplarz i szuka. Grafomanem okazuje się Michaś Witkowski (o którym pani M. nie wie zapewne, iż wydał właśnie książkę rekomendowaną przez dwóch profesorów,



© Artedemann

jej kolegów z uczelni), fragment jego eseju o poetce Sonnenberg odczytany zostaje z aktorskim zacięciem, przypominającym trochę manierę Mieczysławy Ćwiklińskiej, efekt komiczny gwarantowany. Dialogiem jest każdy wiersz z tomiku „Planeta” – pisze Michaś – nawet jeśli jest stylizowany na monolog, na wyznanie. Uświadomił mi to Bachtin w swoich „Problemach literatury i estetyki”...

Już z tego fragmentu wynika, że ten człowiek nigdy nie czytał Bachtina – stwierdza z pogardą pani M. i rzeczywiście, muszę przyznać jej rację. Bachtin nie czytał przecież poetki Sonnenberg, zmarł przed ukazaniem się jej tomiku „Planeta”, więc jak mógł uświadomić Michasiowi... Trafiony – zatopiony. – Ale przecież Michaś to jest najlepszy przyjaciel Ewy! – wyrzywa się z nagła redaktor G. – On na pewno nie chciał tego tak napisać!

24.01.2001

Muszę Państwu polecić wieczorki literackie organizowane w Piwnicy pod Baranami przez Wydawnictwo a5, na razie odbył się tylko jeden, z Jerzym Kronholdem, naprawdę bardzo przyzwoity wieczorek, ludzi przyszło co niemiara, a i tak alkoholu starczyło dla wszystkich, najpierw piwo, potem znakomite słoweńskie wino, spiliśmy się jak nieboskie

stworzenia, ale może zacząć od początku, na początku były jakieś śpiewy, potem poeta czytał wiersze z nowo wydanej książki „Wiek brązu” („Wiek brązu” to taka rzeźba Rodina, teraz mi się przypomniło, goły chłopak), najbardziej mi się podobał wiersz o bażancie, największe poruszenie wzbudził wiersz o Wojaczku, bo wynikało z niego, że Kronhold mieszkał z Wojaczkiem w Żączku. Spośród publiczności wyłonił się pan z brodą, który nie tylko mieszkał, ale nawet spał z Kronholdem na jednym tapczanie i ma u siebie rękopisy Wojaczka ocalone z kosza na śmieci (Maciek Melecki powinien się tym panem zainteresować), Kronhold demonstracyjnie nie słuchał owych rzewnych klituś-bajduś i nie odpowiedział na zadane mu przez pana z brodą pytanie („Jak ty to robisz, Jurku, że ciągle jesteś taki sam?”), tylko przeczytał jeszcze jeden wiersz na bis, po czym zaprosił wszystkich do sali z winkiem.

Tam spotkałem zarówno panią M., jak i Bronka, który pochwalił mi się, że wczoraj po moim wygłoszeniu wielkiego speech w naszej obronie, aż szkoda, że nie zostałem do końca. Rozmowa schodzi na Herberta, Bronek jest z dwiema koleżankami, ja z jedną, jesteśmy z różnych roczników, ale wszyscy jak jeden mąż przerabialiśmy na zajęciach z Bronkiem „Tren Fortynbrasa”.

– Ale to wyście chcieli! – broni się Bronek. – Ja zawsze na pierwszych zajęciach robiłem plebiscyt.

– A myśmy byli przekonani, taka po prostu fama na uczelni panowała, że jak u Maja, to tylko Herbert, nic innego nie wchodzi w rachubę.

– Wcale nie, wcale nie, ja się po prostu modliłem o jakiegoś Grochowiaka, o cokolwiek, a wy tylko tego Herberta.

– Myśleliśmy, że sprawiamy ci tym przyjemność...

– Albo że chociaż ci się podlizemy...

– Nic z tego, moi drodzy, nic z tego.



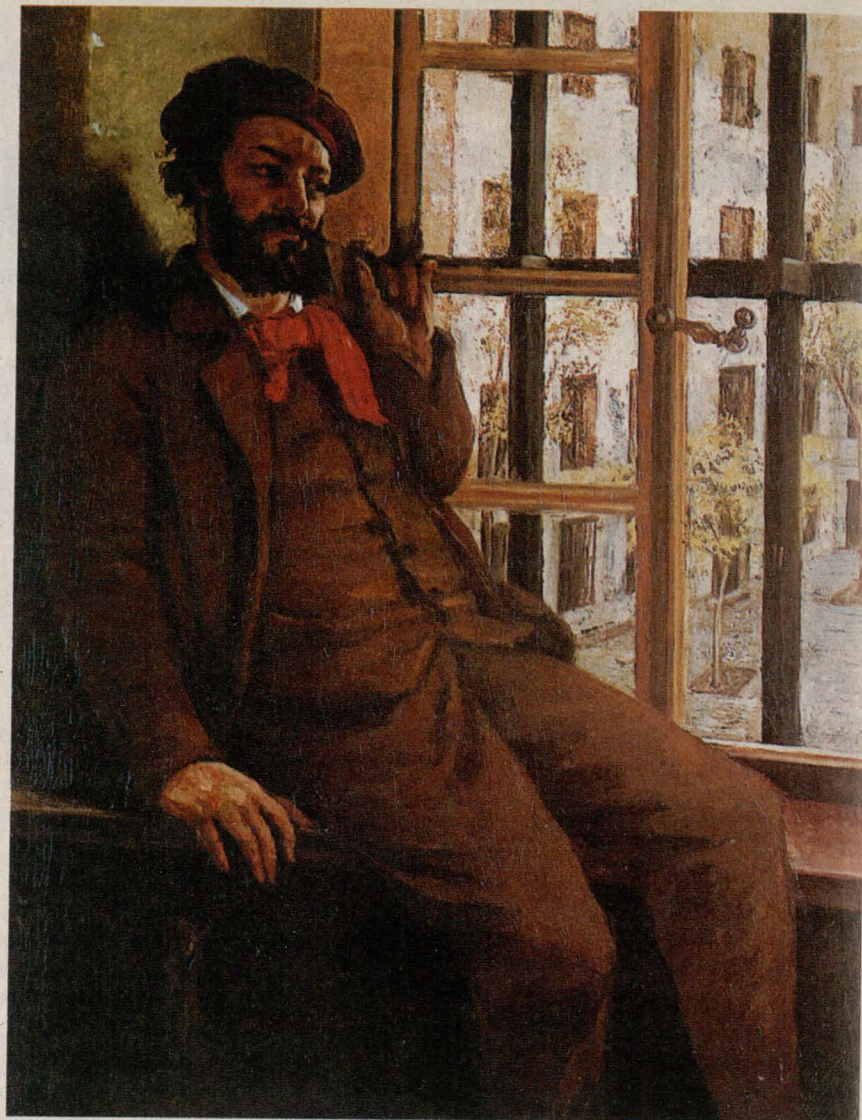
FOT. BOGDAN GIEŻEL

ADAM WIEDEMANN
Rocznik 1967. Poeta i prozaik, krytyk literacki i muzyczny, kompozytor i malarz. Autor książek poetyckich („Samczyk”, „Rozrusznik”) i prozatorskich („Wszedobylstwo porządku”, „Sęk Pies Brew”). Laureat Nagrody Kościelskich, dwukrotnie nominowany do nagrody NIKE.

JOANNA BONIECKA • ZBYLUT GRZYWACZ

ROZMOWY przy obrazach

Sala Courbета w Musée d'Orsay w Paryżu



Autoportret w więzieniu Sainte-Pélagie, 1873, olej na płótnie, 92x72 cm, Musée Courbet, Ornans

Joanna Boniecka: Mamy tu trzy największe płótna Courbета – wspaniałe „Pogrzeb w Ornans”, zadziwiające „Atelier” i wątpliwej urody „Strażaków”. Poza tym kilka pejzaży, portretów, trochę kobiecej nagości, trochę zwierząt, a wśród nich „Pstrąg”, jedna z kilku wersji tego motywu, który artysta namalował w 1872 roku, po wyjściu z więzienia. I to przedstawienie ryby złapanej na haczyk uznaje się za alegoryczny autoportret artysty uwikłanego w politykę.

Zbylut Grzywacz: A ja myślę, że Courbet, który przedstawiał siebie zawsze jako pięknego mężczyznę, po wyjściu z więzienia wykonałby raczej kolejny bohaterski autoportret. Pstrągi mógł malować z czystego, malarzkiego zachwyty, tak samo jak przedtem jelenie, prototyp wszystkich późniejszych kiczów z gatunku „Jeleń na rykowisku”. Może któryś

z przyjaciół, poetów dopisał anegdotę do zwykłego, animalistycznego obrazu?

J.B.: Nie, bo wiadomo, że „Pstrąga” antydatował na czas pobytu w więzieniu, gdzie z natury malował jedynie kwiaty i owoce. Na jednej z wersji napisał nawet: „wykonane w więzieniu” – więc to nie tylko przypuszczenie, że mamy do czynienia z metaforą losu artysty-więźnia. Rok później, co prawda, powstał także „Autoportret w więzieniu Sainte-Pélagie” – z legendarną fajką w ustach i czerwoną apaszką pod białym kołnierzykiem koszuli... Ale choć realista z krwi i kości, zawsze korciła go alegoria; gigantyczne (blisko 4 x 6 m) „Atelier” nosi nawet podtytuł „Alegoria realna”.

Z.G.: Alegoria, metafora, symbol... Courbet był znakomitym malarzem, ale myśl, choć szlachetną, miał przyciężką. Jakby nie wystarczało

mu, że dysponuje świetnym warsztatem realisty, pozował na intelektualistę, ku przerażeniu wielbiących jego malarstwo pisarzy, poetów i filozofów. Rozumiem jego marzenie, by przez sugestywne obrazowanie rzeczywistości wyrazić treści ogólniejsze niż tylko zawarte w scenie figuralnej lub pejzażu; ale on dodatkowo chciał, żeby jego obrazy były odbierane jako głos w kwestiach politycznych.

J.B.: I kto to mówi?! Przecież cenzura zdejmowała twoje obrazy wcale nie dlatego, że były źle namalowane...

Courbet wyraziście prezentował swoje upodobania. Jego malarstwo, któremu obca była obowiązująca wówczas idealizacja, utożsamiano z jego przekonaniami, a zwłaszcza z sympatią dla Republiki. Stąd bonapartyści nie lubili go tak samo jak malarze salonowi.

Z.G.: Aleksander Dumas syn pisał o Courbecie: „Pod jakim kloszem, przy pomocy jakiego nawozu, z jakiej mieszaniny wina, piwa, żrącego śluzu i produktów wzdęcia kiszek mógł się rozrosnąć ten łeb w kształcie dyni, wrzaskliwy i włochoaty, ten estetyzujący kałdun, to wcielenie głupoty i nieudolności?”.

J.B.: Pewnie jako człowiek nie był łatwy. Z dumą nazywał siebie zwolennikiem „ustroju wolności”, nieskrępowanym żadną ideologią ani religią... Trzeba przyznać, że cenę zapłacił za to wysoką – po upadku Komuny, obarczony odpowiedzialnością za zburzenie Kolumny Vendôme – symbolu Cesarstwa, został skazany na sześć miesięcy więzienia, a potem jeszcze na pokrycie kosztów ponownego jej postawienia. Dla cieszącego się zasłużoną sławą malarza zaczęło się piekło,



Gustave Courbet (1819–1877): *Pstrąg*, 1872, olej na płótnie, 65x99 cm, Paryż, d'Orsay.

trwające aż do śmierci na wygnaniu, w Szwajcarii.

Z.G.: Wygląda na to, że artysta otoczony dotąd dowodami podziwu i szacunku, teraz, w atmosferze nienawiści, poczuł się jak ryba wyrzucona z wody. Więc ją namalował. Z natury. Zakrwawioną, z rozwartym pyskiem i z linką wędki, na którą ją złapano.

J.B.: Ale jak jest wspaniale namalowana! Jak z holenderskiej martwej natury. A szczególnie piękny jest górny fragment obrazu – ta krystaliczna forma o barwie brązu podbitego czerwienią, jakby część pejzażu odbitego w wodzie?...

Z.G.: W każdym razie coś realnego, co zdematerializowało się w trakcie malowania. Courbet malował tylko to, co widział. Do niego należy słynne powiedzenie: „Nie mogę namalować anioła, bo go nie widziałem”. Dla mnie szczególnie bliskie

jest jego pojmowanie wyobraźni, która „polega na umiejętności znalezienia najpełniejszego wyrazu dla rzeczy istniejącej; ale nigdy na stworzeniu tej rzeczy.”

J.B.: On to potrafił, miał świetny warsztat realisty, co zresztą widać. Ale co właściwie znaczy, że obraz jest dobrze namalowany?

Z.G.: W tym przypadku – bez ukrywania sposobu malowania. Farba, narzędzie, którym się maluje: pędzel, szpachla, szmata, palec – one wszystkie mają coś do powiedzenia. Obraz nie udaje, że jest rybą – lśni tylko światłem i połyskiem łuski rybiej, co i blaskiem farby. Ważny jest oczywiście kolor, ale także rytm dotknięć; patrząc na obraz, słyszy się jak gdyby rodzaj werbla malarzkiego, nerwowej pracy na powierzchni płótna.

J.B.: Ale u dawnych malarzy czy twórców miniatur, co gładzili mię-

kimi pędzelkami, gładka cisza obrazu bywa równie fascynująca. Przecież to nie jest tak, że tylko żywa, nerwowa, materia malarska, widoczność pociągnięć pędzla i uderzeń szpachlą gwarantują urodę i siłę obrazu. A malarstwo niderlandzkie z tą czułością dla detalu i czystości koloru? A Leonardo ze swoim sfumato? A „Źródło” Ingesa, które oglądaliśmy przed chwilą?

Z.G.: Courbet kochał pić piwo, a Ingres grę na skrzypcach – malarzami jednak byli równie świetnymi, każdy w swoim gatunku. Tzw. wartości malarskie, to nie zawsze to samo. Ich obrazy spełniają się w odmienny – ale równie doskonały – sposób. Malarze salonowi nazywali Courbета prostakiem – albo realistą, co na jedno wychodziło; malarze następnych pokoleń kpili z Ingesa, klasika, że lukruje bombonierki.

Paryż, maj 1999 – Kraków, luty 2001



JOANNA BONIECKA
– historyczka sztuki,
dziennikarka.

ZBYLUT GRZYWACZ
– malarz, członek byłej Grupy
Wprost, wykładowca
krakowskiej Akademii Sztuk
Pięknych.

BAJKA

TEKST I ZDJĘCIA • ETA ZARĘBA

dla dorosłych

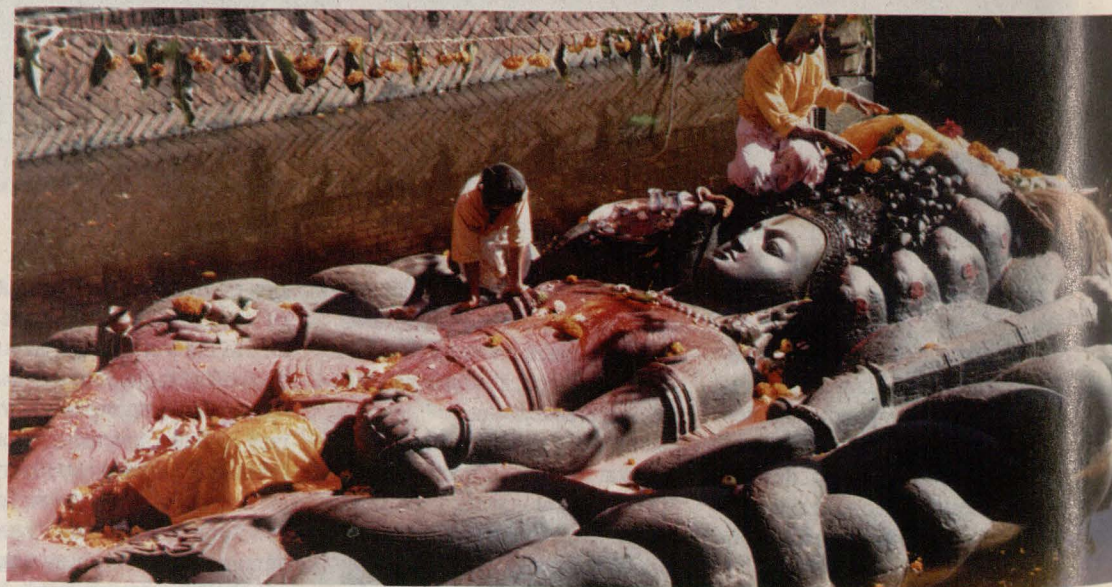
Katmandu wkreca, wciąga, męczy i złości.
Już sama nazwa – nie wiedzieć czemu
– pobudza wyobraźnię. To coś więcej niż tylko
obrazy, dźwięki i zapachy.

Weż kilkuset bogów, co najmniej kilka demonów, trochę zwierząt, jednego obłąkanego architekta. Dodaj szczyptę szaleństwa, nieco okrucieństwa, garść tolerancji, kroplę mądrości, dosyp magii czarnej i białej, zamieszaj, potrząśnij i rozsyp to wszystko w okolicy najwyższych gór świata. A potem wdrap się po wysokich stopniach, usiądź pod okapem czterospadowego dachu jednej z setek świątyń, otwórz oczy i powoli zanurz się w rzeczywistości całkiem nierzeczywistej.

Aż tyle piękna. W nadmiarze i przesycie. Nieustający spektakl wymyka się wszelkim regułom. Czas mierzy się inaczej, logika nie obowiązuje. Odkryli to już kiedyś hippisi. Z lat 60. została nazwa ulicy. Na Freak Street dziwaczność jest legalna. Trawa i haszysz – już nie.

Katmandu oddycha, zmienia się, żyje od świtu do późnej nocy – chwilę i parę wieków. Potok ludzi, wszechobecny handel, w ścisiku migają jaskrawo pomalowane riksze i pomarańczowe szaty świętych sadhu. Wszystko porusza się jak na filmie – klatka po klatce. Okruchy zdarzeń składają się w niepowtarzalną opowieść bez początku i końca. Nic nie jest pewne, wszystko jest możliwe.

Przed królewskim pałacem ubrany w czerwoną pelerynkę bóg-mała Hanu-



man, codziennie „zjada” swoją porcję ofiarnego ryżu i owoców. Posąg ma opaskę na oczach, nie widzi na wspornikach świątyni Dżaganath erotycznych płaskorzeźb, które odganiają pioruny.

Nieopodal przyjmuje gołdy straszliwy Czarny Bhairaw. W świąteczną noc płynie tu strumieniem krew zarzynanych kóz i kogutów oraz alkohol.

Z rzeźbionego okna wychyla się boska para – Sziwa i Parwati.

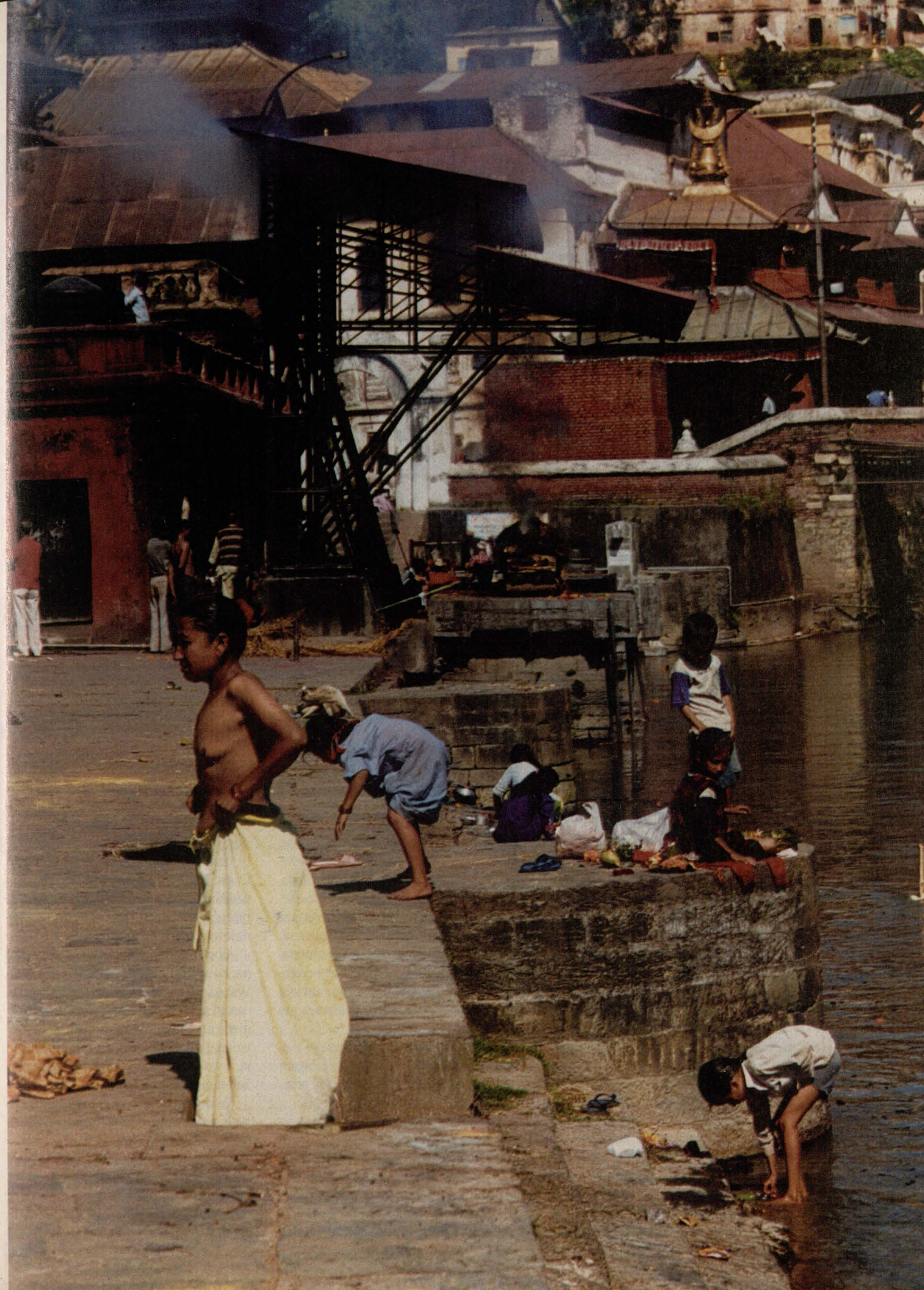
Placyki, podwórce i wąskie uliczki kryją schowane w zakamarkach świątynie

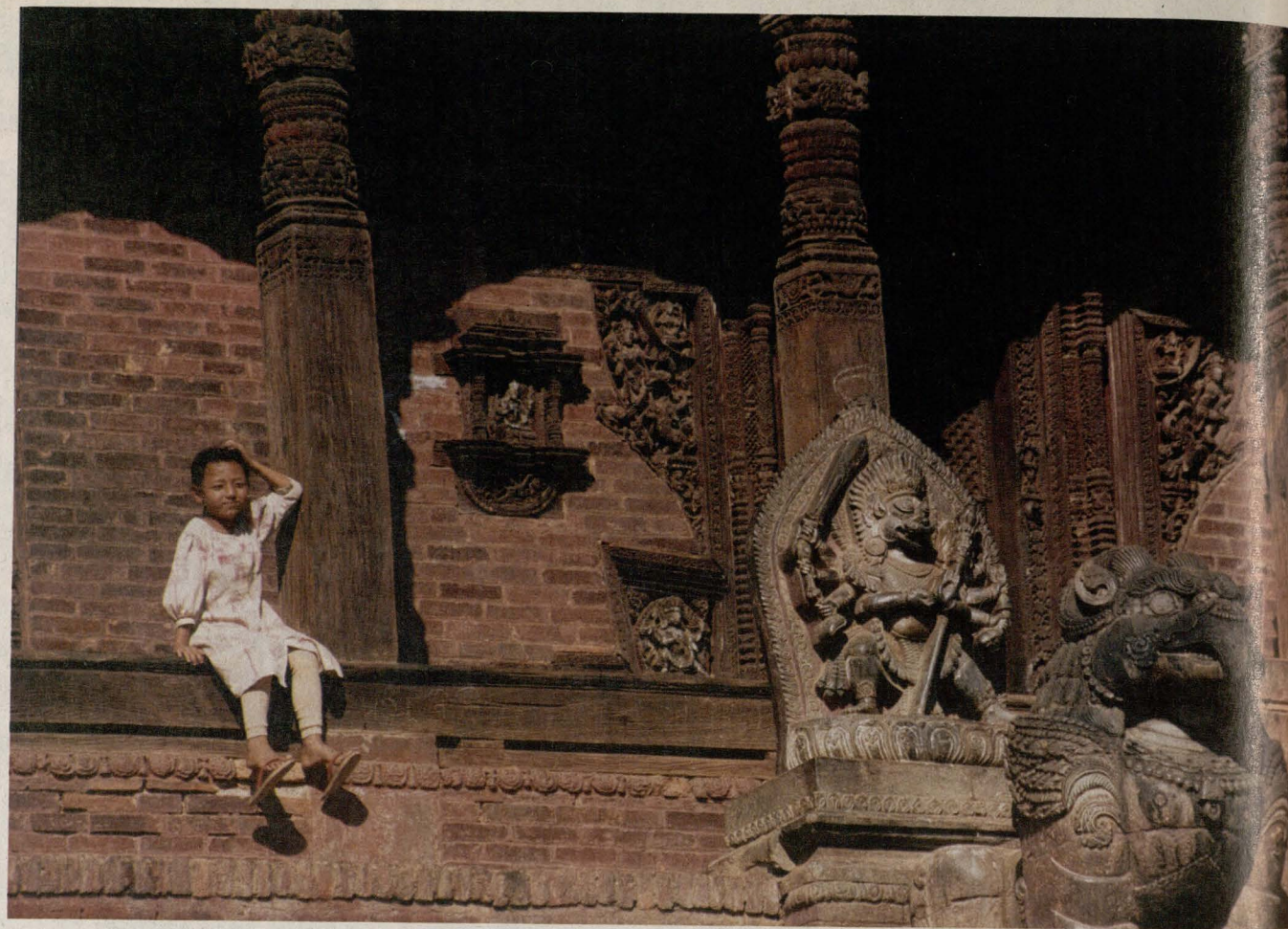
małe oraz większe ołtarzyki. Święte kamienie oraz domowe bóstwa odpędzające demony. Wszystkim składa się ofiary.

Stada gołębi, stada psów, stada posągów. Ptak Garuda, słoń Ganesha, byk Nandin, smoki, lwy i lwosmoki – manasy, mityczne gryfy, fantastyczne stwory – menażeria z kamienia i brązu.

W niewielkiej sadzawce na splotach węża spoczywa ogromny posąg Wisznu. Otoczony czcią, każdego ranka obmywany mlekiem świętej krowy, namaszczony, obsypany czerwonym

Budhanilkantha
– bóg Wisznu
na splotach węża
Na zdjęciu obok
– Pasupatinath
– miejsce kremacji
nad rzeką Bagmati





Katmandu żyje chwilę i parę wieków.

proszkiem, przystrojony girlandami kwiatów.

Budhanilkantha – miejsce, gdzie nie ma wstępu król Nepalu, ponieważ sam jest wcieleniem boga Wisznu.

W oknie dobrze strzeżonego pałacu pojawia się czasem smutna, samotna dziewczynka w czerwieni – Kumari żywa bogini, którą będzie do pierwszej kropki krwi.

Na wzgórzu, które upodobały sobie małpy, w miejscu legendarnego płonącego kwiatu lotosu – wielka stupa. 365 kamiennych stopni, potężna wadźra z brązu, nad nią biała kopuła i patrzące na cztery strony świata Wszechwładzące Oczy Buddy przysłonięte woalką barwnych flag. Modlitewne młynki, woń kadzideł, szmer modłów ze świątyni. Swayambunath to najstarsze miejsce kultu w dolinie, która była kiedyś dnem wielkiego jeziora. Bodnath jest stupą największą. Wokół 40-

metrowej czaszy, tej odwróconej miseczki na ryż, koncentruje się życie tybetańskich uchodźców.

Do Katmandu ciągnie „cały Nepal”. Obok Newarów są przybysze z nizin Teraju, plemiona z dalekich górskich dolin, Tybetańczycy, kupcy z Kaszmiru. Twarze ciekawe, różnorodne, wyraziste. Wszyscy ci ludzie ciężko pracują, a nade wszystko kochają święta i festiwale, udział w obrzędach nieustającego misterium. Cóż z tego, że państwową religią jest hinduizm. Nepalczyki wyznają religię własną. Bywa, że buddyści modlą się razem z hinduistami. Te same bóstwa mają tylko inne imiona. Religie wchłaniają się wzajemnie, przenikają i uzupełniają. Budda to dziewiąte wcielenie Wisznu, Awalokiteśwara nie przeszkadza Sziwie.

Poranek w Pasupatinath. Cisza w alejkach kaplic, z których każda kryje lingam – fallus Sziwy. Linga i joni – jedność przeciwności.

Zastygli w medytacji jogini czekają na pielgrzymów. Twarze pomalowane, ciała posypane popiołem, oczy przekrwione od nadmiaru świętego ziela. Na kremacyjnej platformie płonie stos. To, co zostanie, wrzuca się do płytkiej wody. Życie i śmierć nad świętą rzeką Bagmati. Nie ma granicy

sacrum i profanum. Nigdy nie była potrzebna, jest wymysłem zachodniego umysłu.

Hinduistyczny Bhaktapur i buddyjski Patan – kiedyś oddzielne królestwa – to miasta-muzea, ale nie skanseny. Organiczne barwy – ciepła glina, cegła, drewno. Architektura dynastii Mallów. Cuda newarskiego rzemiosła – koronkowe ornamenty, framugi i okiennice, drewniane rzeźby. Część budowli została odtworzona po wielkim trzęsieniu ziemi w 1934 roku. Artysty rzemieślnicy zachowali kunszt średniowiecznych mistrzów.

Obok pałaców i świątyń leżą stopy ziarna, kobiety suszą ryż na wielkich sitach. Wszędzie bawią się dzieci. Pracują garnarze i snycerze. Z bogato zdobionych rynien i rzygaczy w starych łaźniach tryska woda. Ludzie myją się tu, piorą, plotkują, a woda zmywa rytualne nieczystości. Tak samo od setek lat.

W ciemnościach wieczoru kilku starych mężczyzn gra na starych instrumentach.

Na Thamelu prawie wyłącznie białe twarze. Od razu widać, kto na krótko, kto dłużej, kto przejazdem. Himalaiści, trekkingowcy, zwykli turyści i rezydenci. Niektórzy w mistycznej „Podróży na



▲ Święty Sadhu

◀ Uliczka w Katmandu

Turyści z Zachodu zdeptali Nepal, ale wciąż jest on jednym z najbardziej przyjaznych miejsc na ziemi.



Wschód”. Hotele, knajpy z pizzą i wieśniackim sznycem. Świeże bułeczki w German Bakery. Puby, dyskoteki, odczyty, koncerty. Świetne księgarnie i sklepy muzyczne. Sklepy ze sprzętem sportowym. Biura internetowe i trekkingowe. Spływ rzeką i lot nad Everestem. Wszystko, co potrzebne ludziom Zachodu. Sztuczna wyspa dobrego samopoczucia.

Groteskowe spotkanie Wschodu z Zachodem, jakby obie strony umówiły się, że to tylko zabawa, z korzyścią dla wszystkich. Są więc sklepy z pamiątkami – thanki, maski, posążki, biżuteria, turkusy, noże khukri, dywany, tkaniny, szale, ciuchy. Niezliczone piękne przedmioty. I jeszcze smog, spaliny, zakorkowane ulice, nachalność ulicznych sprzedawców.

Tu nędza nie rzuca się w oczy jak w Indiach. Łatwo zapomnieć, że to bardzo biedny kraj. Nepal do 1951 roku był całkowicie zamknięty dla świata. Teraz żyje z turystów i dla turystów. Został już niemal zdeptany, ale wciąż jest jednym z najbardziej przyjaznych miejsc na ziemi, jeszcze nie do końca zepsuty, jeszcze nie cały na sprzedaż.

Kilkanaście kilometrów dalej, wśród zielonych pól i wzgórz wylania się masyw Annapurny, Ganesh Himal, Lhotse – białe szczyty Wielkich Himalajów. Pod Dachem Świata życie jest bardziej intensywne, barwy doskonalsze, czas i przestrzeń nabierają znaczeń i właściwych proporcji. A może to tylko maja – iluzja?

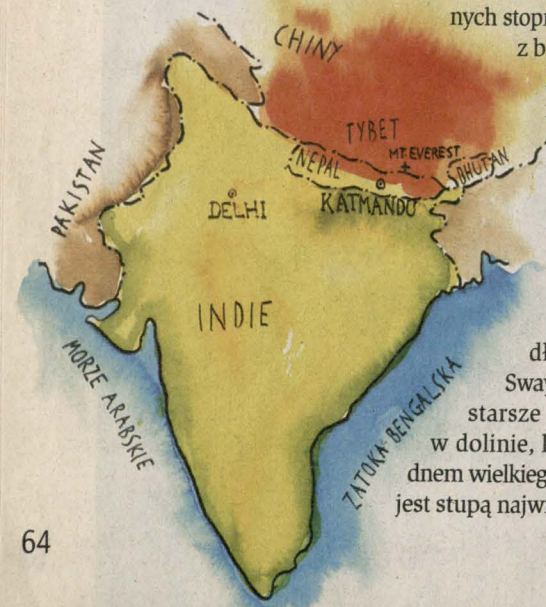
Krążyć tak można długo, wielokrotnie wracać do tych samych miejsc. Można

wyjmować z tej mozaiki pojedyncze kamyczki i tworzyć własną, prywatną mitologię. Albo budować kosmiczną mandalę.

Dolina Bogów fascynuje, intryguje, niepokoi, przypomina o czasach, kiedy ludzie mieli bliżej do bogów i absolutu.

Dlaczego właśnie Katmandu? Katmandu posiada wiele tajemnic. Jedną z nich jest to, że jest zarazem prawdziwe i nieprawdziwe, rzeczywiste i wymyślone, realne jak wytwór wyobraźni. Mistyfikacja? Raczej piękna bajka dla dorosłych, przyprawiona odrobiną okrucieństwa i szaleństwa.

Gdyby nie istniało, należałoby je stworzyć. Bo musi być takie miejsce, szczelina na styku wyobrażenia z rzeczywistością prowadząca do ukrytej krainy szczęśliwości, czymkolwiek by ona była. ■





Stalin mordował swoje ofiary jeszcze po śmierci. Ostatnia zginęła jesienią 1962 r., przyciśnięta do brzegu Wełtawy jego lewym butem.

FOT. ČTVEŘPORTER

ZDENEK HRABICA
LESZEK MAZAN

TWARDZIEL *znad* Wełtawy

Jest w Europie miejsce przeklęte, na którym strach co-
kolwiek budować, do którego niechętnie chodzi się na spacer i niechętnie mówi o nim turystom. To Miejsce Złego Czynu. Znajduje się na górującym nad Wełtawą wzgórzu Letná i widać z niego całą Pragę.

Największy w świecie pomnik Stalina stał tu tak, „by Józef Wissarionowicz mógł zajrzeć do każdego z praskich okien”. Zleceńodawcy chcieli, aby na obrotowej platformie kręcił się za słońcem. Zarzucono im, niczym kiedyś Kopernikowi, brak szacunku: to Słońce winno się kręcić za towarzyszem Stalinem.

Mało kto wie, że Stalin mordował swe ofiary jeszcze po śmierci. Ostatnia zginęła jesienią 1962 r., przyciśnięta do brzegu Wełtawy lewym butem Przywódcy Światowego Proletariatu. But w 1991 r. znaleziono w prywatnym ogrodzie. Ustalenie nazwiska ofiary jest dotąd niemożliwe. Operację, w czasie której zginęła, władze otaczały ścisłą tajemnicą. Przekazany z Moskwy rozkaz był wyraźny: „Burzyć jak najszybciej, jak najciszej, bez świadków”.

Z powierzchni ziemi i z ludzkiej pamięci miał całkowicie zniknąć granitowy pomnik Stalina wysoki na ponad 30 m, o łącznej kubaturze 5 392,81 m kw. i wadze 14 021,30 ton.

Żywy Stalin miał 1,6 m wzrostu.

W co wlaźła Stalinowi kolejka po mięso

Decyzję budowy pomnika „Wyobrażającego uczucia największego szacunku, miłości i czci” podjęło kierownictwo Komunistycznej Partii Czechosłowacji w 1949 r. Warunki konkursu, w którym obowiązkowo musiał uczestniczyć każdy czeski rzeźbiarz, były proste: Stalin ma być większy od pomnika św. Wacława w centrum miasta i stać w miejscu widocznym z całej stolicy.

Nadesłano 64 projekty. 10 z nich uznanych za „niegodne” nigdy nie pokazano publiczności. Zwyciężył i został skierowany do realizacji projekt 60-letniego artysty rzeźbiar-

za Josefa Szveca. Poszedł on na koncepcję Stalina jako „przywódcy niezmierzonych mas ludzkich”. Za stojącym na pierwszym planie „Światłem Świata” kroczyli z lewej strony przedstawiciele narodów radzieckich: robotnik ze sztandarem, kołchoźnica, inteligent (reprezentowany przez Miczurina) i żołnierz. Z prawej karnie kroczyli Czesi i Słowacy (inteligencję reprezentował słynny przedwojenny komunistyczny dziennikarz Juliusz Fuczik). Mówiono, że postaci alegorycznych jest tylko osiem, gdyż reszta zdążyła już Stalinowi wejść do dupy.

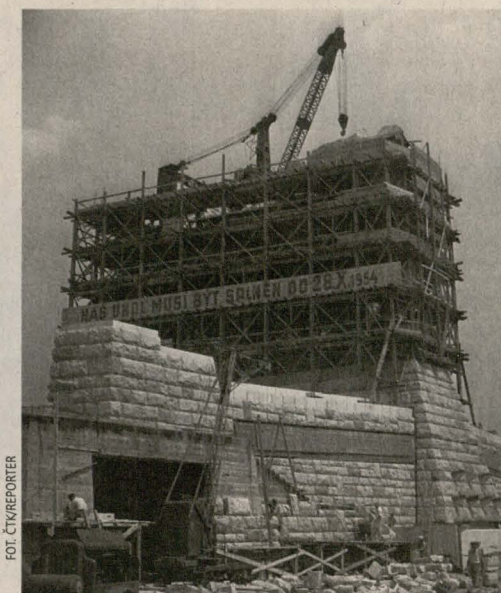
Na niewidocznej z zewnątrz betonowej platformie między figurami można było wyprawiać bale na sto par.

Śmierć pierwsza, śmierć druga

Całość miała być gotowa w roku 1952. Szvec otrzymał wraz z żoną piękną pracownię u wylotu ulicy Pažiskiej, przy Wełtawie, gdzie na drugiej stronie, na wprost jego okien wznosił się pas wzgórza Letná – niegdyś miejsce królewskich polowań. Tam właśnie miało stanąć kamienne monstrum.

Szvec był rzeźbiarzem z gatunku „przeklętych”. Jego wcześniejsze pomniki: pułkownika legionów czeskich Szveca (zbieżność nazwisk przypadkowa), wyzwolicieła zachodnich Czech, gen. Eisenhowera i słowackiego bohatera narodowego gen. Sztiefanika – zburzono w 1948 r. po dojściu do władzy komunistów. Z tych samych ideologicznych powodów Praga odmówiła mu przyjęcia gotowego już pomnika pierwszego czechosłowackiego prezydenta Tomasza G. Masaryka. Stalin był dla Szveca – artysty rzeźbiarza ostatnią, stuprocentową szansą na nieśmiertelność: czyż w ogóle ktoś ośmieliłby się wtedy myśleć, że pomnik Wodza Narodów może kiedykolwiek zniknąć z powierzchni ziemi?

Szvec otrzymał za projekt 500 tys. koron, sumę jak na owe czasy olbrzymią. Mieszkał i jadł w pracowni, a bezpieka objęła ścisły patronat nad dotrzymaniem harmo-



FOT. ČTVEŘPORTER



FOT. ČTVEŘPORTER

„Nie chcę dożyć odsłonięcia i niewątpliwego – kiedyś – zburzenia mojego dzieła” – pisał w swoim pożegnalnym liście Josef Szvec. Pomnik odsłonięto 1 maja 1955 r.

Po pierwszym odstrzale odpadła tylko głowa generalissimusa. Po monumencie, który burzono przez 10 dni, pozostała cała infrastruktura.

nogramu prac. Pierwsza nie wytrzymała olbrzymiej presji psychicznej żona rzeźbiarza: znalazła ją martwą przy odkręconym kurku gazowym.

Szvec – poganiany przez agentów, szczuty anonimowymi telefonami, otwierający codziennie dziesiątki pełnych inwektyw listów, opuszczony przez przyjaciół – pracował wolno, bez przekonania. „Nie chcę dożyć odsłonięcia i niewątpliwego – kiedyś – zburzenia mojego dzieła” – napisał w ostatnim liście 4 kwietnia 1955 r., po czym, podobnie jak żona, odkręcił gaz. Całe prawie pół miliona konkursowych koron przeznaczył dla Instytutu Niewiedomych. Do dziś nie wiadomo,

czy wybór spadkobiercy miał ukrytą symbolikę.

But niczym mur Łubianki

Stalin od dwu lat nie żył, ale prace nad gigantycznym pomnikiem w Pradze trwały. Do stolicy ciągnęły dniami i nocami transporty czerwonego kamienia. Wożono go specjalnymi wagonami i ciężarówkami, blokowano drogi. Pierwszą ociosaną granitową bryłę ułożono 25 lutego 1953 r. (rocznica przejęcia władzy przez KPCz). Sześcianna, z którego odkuto głowę, ważył 52 t i przyjechał z kamieniołomów w Ruprechticach do tonącej w powodzi czerwonych flag Pragi kilka miesięcy później, w rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Przy bu-



FOT. PAVEL HRABICA

Na miejscu pomnika stało wahadło, ale jak długo będzie odmierzać czas?

dowie pracowało w systemie trzyzmianowym 600 osób (same postaci ciosało 23 artystów kamieniarzy). Dzięki posadowieniu pomnika na konstrukcji betonowej powstały pod nim gigantyczne katakumby.

Zgodnie z pierwotnymi założeniami „największy grupowy pomnik w Europie” miał kosztować 137,5 mln koron (równowartość 3 tys. mieszkań). Ostateczny koszt wyniósł 260 mln.

1 maja 1955 r. – przeszło dwa lata po śmierci Stalina i 26 dni po samobójstwie Szveca (którego uśmiercono ponownie, całkowicie pomijając jego nazwisko) światła potężnych reflektorów ustawionych nad Wełtawą wyluskały z ciemności granitowy, lekko czerwony posąg. Do stóp pomnika człowieka, którego oryginał leżał obok Lenina w mauzoleum na placu Czerwonym, spędzono setki tysięcy prażan. Przemawiali Kaganowicz i Lazar. „Prawie wszyscy obecni – jak donosiło »Rude Pravo« – mieli wilgotne oczy”. Dwa tysiące najbardziej zasłużonych przedstawicieli klasy robotniczej, rolników i inteligencji wzięło następnie udział w bankiecie (koszt 3,7 mln koron). KPCz „powierzyła ludowi praskiemu opiekę nad najbardziej drogim naszym sercom historycznym monumentem i ozdobą naszej pięknej stolicy”.

O jednym nie mówiono: o ofiarach. Po małżeństwie Szveców dwoma następnymi byli robotnicy, którzy spadli ze stawianych w gorącym pośpiechu rusztowań. Pią-

tym zabitym był inspektor BHP, wizytujący wnętrze pomnika (do głowy generalissimusa prowadziły wąskie, niebezpieczne schodki). Szósty robotnik zginął w pierwszym dniu burzenia pomnika. Siódmy, ostatni – pod koniec operacji. Przynieciony betonowym butem.

Burzenie na raty

Ponaglany przez walczącego z kultem jednostki Chruszczowa, sekretarz generalny KC KPCz, prezydent Czechosłowacji Antonin Zapotocky, uległ zrazu sugestiom sekretarza KC Hendrycha, by ze wzgórza usunąć jedynie samego Stalina, zastępując go alegoryczną postacią kobiety z gałązką oliwną w ręce. Ale Moskwa nie chciała o tym słyszeć: – Natychmiast zburzyć wszystko!

Stalin potwierdził opinię twardego. Po pierwszym ostrzale, wbrew wszelkim obliczeniom, odpadła mu tylko głowa. Na święte szczątki rzucili się ludzie, doszło do bójki o wasy. Po przywróceniu porządku głowę rozbito na możliwie jak najmniejsze kawałki.

Pomnik, budowany przez 495 dni, rozwalono – wywożąc gruz na budowy dróg – w dni dziesięć. Ba: rozwalono. Pozostała do dziś cała infrastruktura: znajdujący się ongi za plecami wodza gigantyczny plac Hołdów, 10-hektarowy park, do którego krzewy ulubionych róż przywieziono ongi aż z dalekiej Gruzji i – najważniejsze – potężny, otoczony kamiennymi zniczami cokol, przy którym łoża Hitlera na

stadionie w Norymberdze wygląda jak ogródek jordanowski.

Katakumby i Libusza

Kobieta z gałązką oliwną nie stała na miejscu jeszcze ciepłym po Stalinie. Można przypuszczać, że nawet czescy komuniści bali się gromu z jasnego nieba. Zrezygnowano – do dziś nie wiedzieć czemu – z wybudowania w tym miejscu, z myślą o naukowcach (stosowną uchwałę podjął nawet KC KPCz), pałacu kongresowego. W późniejszych latach na Miejscu Złego Czynu chciano również postawić (odsłonięcie przewidywano na maj 1995 r.) pomnik Czerwonej Armii Wyzwolicielki – większy od dawnego Stalina (który, jak podkreślano „był przecież naczelnym tej armii wodzem”).

Kusiły katakumby – ogromne, rozciągające się pod całym pomnikiem i przylegającym do niego placem Hołdu. Nikt nie zna ich powierzchni, nikt nie zdementował pogłoszek o przejściu podziemnym, biegnącym pod Wełtawą, a łączącym pomnik z gmachem KC KPCz. W katakumbach miało się mieścić światowe muzeum ruchu robotniczego.

Tutaj były magazyny praskiego przedsiębiorstwa „Owoce – warzywa”. Potem załęgły się tam damy niecieężkich obyczajów, złodzieje, zwykła zulia. W zimie 1990 r., tuż po „aksamitnej rewolucji”, wprowadziło się pod pomnik niezależne (i bezcencyjne) „Radio Stalin”. To wtedy brudne ściany ożywiły się na

krótko barwnymi kolorami graffiti. Ale panienki i złodzieje wrócili znowu, bardziej bezkarni, bardziej niepohamowani w niszczeniu wszystkiego, co jeszcze można było zniszczyć. Inwestować „pod Stalinem” nikt nie chciał. Przymierzano się do sieci dyskotek, do ogromnego hotelu, nawet do delfinarium. W styczniu tego roku wycofali się ostatni pomysłodawcy.

Nieco wcześniej przepadły kolejne dwie koncepcje: pomnika Czynu Zbrojnego (Czesi są bodaj jedynym narodem nie mającym takiego pomnika) oraz książęcy Libuszy.

Wahadło czasu

Profesor Wyższej Szkoły Sztuk Użytkowych Vratislav Karel Novak chciał, by na miejscu pomnika Stalina stało coś absolutnie oryginalnego.

– Myślałem o symbolu oczyszczenia z grzechów, pokuty, posypania głowy popiołem – opowiada. – W końcu zdecydowałem się na symbol czasu: wahadło.

Ważące siedem ton wahadło (po czesku kyvadlo), przetransportowane rosyjskim helikopterem, sterczy ponad wzgórzem Letna na wysokość 22 m. Ruchowi ma towarzyszyć muzyka cymbałów. Nie towarzyszy. Nie ma takiej ludzkiej siły, która by zapewniła kyvadłu właściwe funkcjonowanie. Nie udało się uruchomić mechanizmu laserowego, który – na sygnał wahadła – „wywoływałby” z ciemności nocy inne świejące obiekty na najwyższych położonych miejscach Pragi.

Profesor Karel Novak jest rozgorączkowany i nie ma wątpliwości, co do losów swego pomnika, którego budowie patronował dziewięć lat temu Vaclav Havel.

– Już nie mam sił do dalszej walki. Czego nie zniszczą bezkarni wandal, dokończy praska biurokracja – mówi profesor. – Wahadło należy do Zarządu Nieruchomości Praskich. Mówi się o usunięciu wahadła na dach pobliskiego muzeum techniki. Tak czy owak, z Miejsca Złego Czynu wcześniej czy później zniknie. Na miejscu Stalina nic stać nie może.

Dlaczego? – Bo – wzrusza ramionami profesor – bo tak to kiedyś zapisano w gwiazdach. ■

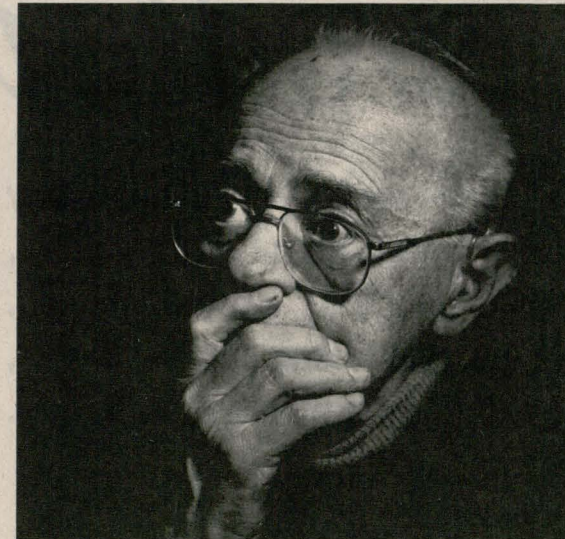
Jako chłopiec miałem szczególną słabość do mechanicznych, poruszających się zabawek. Blaszane autka nakręcało się, małe ptaszki poruszane sprężyną dziobały, żółwie łąziły. Były też takie pojazdy, które, puszczone w ruch na białce stołowym, dochodząc do krawędzi nie spadały na podłogę, ponieważ zatrzymywał je i zawracał w bezpieczną stronę kolec wysuwający się z podwozia.

Nie brakowało również zabawek bardziej skomplikowanych. Przypominam sobie, że miałem nawet młynarza, który brał na plecy blaszany worek z mąką, wlażył po drabinie do spichlerza, a gdy ów worek spadał na dół, młynarz schodził po niego i tak się to kręciło póty, póki naciągnięta była sprężyna. Jednakowoż w owych czasach nikomu nie przychodziło do głowy, ażeby takie auta, co nie spadają ze stołu, takich młynarzy albo śpiewające pięknie bąki nazywać urządzeniami inteligentnymi.

Obecnie jednak konstruktorzy, łakomi rozgłosu, beztrósko szafują określeniem „inteligentny”. W ostatnim numerze „New Scientist” widnieją całe tabele tak zwanych robotów, które wykonują rozmaite czynności, tym samym wykazując domniemaną rozumność. Jest tam więc na przykład łaźnik kroczący niczym krab po dnie kąpielowego basenu i przy okazji zgarniający muł oraz rozmaite paprochy na tym dnie osiadłe. Jest również kilka robotów, z których żaden w najmniejszej mierze nie przypomina wyglądem ludzkiej postaci. Jeden, poruszając się od środka pokoju po spirali, zmiata podłogę, a posiadając odpowiedni czujnik, potrafi na swej drodze omijać kształty nieruchome, na przykład stołowe nogi. Inny robot również zmiata, ale „zatacza” się przy tym od ściany do ściany, a jeszcze inne potrafią nawet przyszytych trawnik, o ile, oprócz trawy, nic na nim nie rośnie.

Lojalni klasyfikatorzy owych urządzeń zamieścili w odpowiedniej rubryce informacje o tym, co każde z nich potrafi, a czego nie może. Jest na przykład taki robot, który szuka żywiącego go prądem kontaktu ściennego, kiedy się jego akumulatory zaczyna wyładowywać.

Co Pan na to, Panie LEM!



FOT. BOGDAN KRZYZEL

W czasach, kiedy byłem chłopcem, nikomu nie przyszło do głowy, aby ruchome zabawki, śpiewające bąki lub młynarzy noszących worki nazywać urządzeniami inteligentnymi.



RYŚ. DMITRIJ SZERWONIKOW-KSIEGOW

Większość pozostałych jednak nie jest aż tak rozgarnięta. Po wyładowaniu baterii po prostu stają w miejscu. Żaden z nich, czy to do zmiatania, czy też do ścinania trawy, nie jest w stanie pokonać straszliwej przeszkody, jaką stanowią schody. Jednak konstruktorzy na tyle są zadowoleni, że nazywają owe napchane elektroniką biedactwa przedprożem sztucznej inteligencji.

Muszę wyznać, że nie widzę najmniejszego powodu, dla którego nie należałoby na podobnej zasadzie przypisać inteligencji spado-

chronowi, który przecież może uratować życie człowieka wyskakującego z samolotu, albo nadmuchanej dętkę gumowej pełniącej rolę koła ratunkowego w wodzie. Naciągając pojęcie inteligencji dalej, niczym płachtę na głowę podczas deszczu, moglibyśmy mówić też o inteligencji kupy siana, na którą ktoś spada z dachu. Przecież siano i jemu ratuje życie. Wedle tej manieri inteligencją właściwie jest obdarzone wszystko: nader bystre są moje szelki, albowiem bez nich spadłyby mi spodnie.

W ten sposób wkraczamy do państwa wszechinteligencji. Jedyny drobny problem w tym, że kiedy moje chłopięce zabawki były na ogół tanie, roboty obdarzone czujnikami elektronicznymi są cholernie drogie. Ten, który sprząta pokój, nabyć można za sześćset dolarów. Jego opis zawiera jednak ostrzeżenie, że kiedy ów elektroniczny wałkoń ze swoją szczotką radośnie buszuje po pokoju, nie należy tam wchodzić ani stawiać mu na drodze, ponieważ jego czujniki nie są w stanie odróżnić nogi ludzkiej, na ogół ruchomej, od nogi stołowej.

Średnio oryginalne wydaje mi się wspomniane rozciąganie definicji inteligencji, ponieważ na koniec okaże się pewno, jak zmyślne są dwie nogawki naszych spodni, albowiem, gdyby były trzy, to nie wiedzielibyśmy, gdzie wpakować nogi, a jeśli były tylko jedna, to wciągnąwszy ją, nie potrafilibyśmy zrobić ani kroku. Tym samym udowodnimy krawiecką, sztuczną inteligencję części naszej odzieży.

Wszystko to razem ma w moich oczach bardzo mało sensu, lecz wzmiankowany numer „New Scientist” wielkimi literami na okładce zapowiada powstanie niezwykle pożytecznych robotów, które będą oferowane w masowej sprzedaży. Być może te prototypy skuszą kogoś, kto nie wie, co robić z pieniędźmi, lecz ja się w poczet grona takich nabywców na pewno nie zaliczę.

Wniosek zaś ze wszystkiego taki, że jak było do sztucznej inteligencji daleko, tak jest nadal.

16 lutego 2001 r.

AMAZOŃSKIE źródła wiedzy

**W tempie 20 hektarów na godzinę uśmiercamy puszcę amazońską – największy organizm na Ziemi – po to, by sadzić banany, by drewno przerabiać na gazety, książki, meble...
Ginie największa apteka, największy bank genów i białek, największa wzorcownia wynalazków natury.**

Puszcza to żywa istota, a nie jedynie zbiór drzew rosnących blisko siebie i zwierząt zabłąkanych między nimi. To zbiorowy, doskonale harmonijny organizm, w którym każda roślina, ziele, grzyb, ptak, owad i czworonóg jest organem niezbędnym do działania całości.

Najnowszą sensacją w agrobiologii jest odkrycie, że dziko rosnące rośliny łączą się i dobierają w zespoły, aby wspomagać się nawzajem. Rosną bujnie, bo wytwarzają na wspólny użytek związki, mikroelementy, odżywcze wydziel-

ny, ochronne opary. Tysiąc lat temu leśne poletka Majów w Gwatemali dawały wielokrotnie wyższe plony niż uzyskiwane dzisiaj w sztucznie nawożonych ogrodach! Jeśli zniszczymy te wypracowane przez ewolucję naturalne zespoły, ich odtworzenie, drogą doświadczalną, zajmie nam stulecia.

Najbogatsza biblioteka

Skarbem Amazonii jest jej pula genów. Dwa miliony gatunków bakterii, roślin, robaków, owadów i zwierząt kręgowych nosi w sobie najbogatszą na Ziemi geno-

wą bibliotekę „przepisów” na budowę białek i enzymów o wszelkich możliwych do pomyślenia działaniach.

Olbrzymia część genów jest identyczna u gatunków nawet tak odległych taksonomicznie jak człowiek i mucha. Odpowiedni gen muchy, myszy czy fasoli działa tak samo w komórce człowieka. Można do niej wszczepiać nowe geny. Amazonia jest ich niewyczerpaną składnicą.

W ciałach ważek i mrówek, papug i węży, lian i grzybów są wypróbowane przepisy na szybki wzrost, regenerację tkanek, wzmocnienie włosów, bystry wzrok, odporność na brak wody, na zimno i upał, na oparzenia, brak snu i pogrubienie skóry. W chwili gdy wchodzimy w epokę inżynierii genetycznej, obiecując sobie, że rozwiąże ona trapiące nas problemy, zniszczenie substancji, na której się ta inżynieria opiera, byłoby żalosną głupotą.

Miliony białek

Geny to tylko abstrakcyjny zapis – ich ucieleśnionym wytworem są cząsteczki białkowe. Po odczytaniu genomu w ramach Human Genome Project na pierwszy plan wysuwa się program opisania białek. Jest ich w naszym ciele około 20 tys. rodzajów. Każde o innej, ściśle określonej budowie, każde spełnia inną rolę. Białka stanowią budulec tkanek i obsługują reakcje chemiczne w ciele. Krążą jako hormony, pobudzając życiowe procesy w wybranych organach. Wspomagają gromadzenie energii oraz jej uwalnianie. Jako enzymy są bionarzędziami: niby monterskie klucze łączą cząsteczki ze sobą, jak nożyce przecinają cząstki tam, gdzie trzeba, rozplatają i zwijają nici i włókna komórkowe. Brak lub nadmiar białek, ich nieprawidłowa budowa bądź występujące w nich uszkodzenia oznaczają wadliwe działanie organizmu, niesprawne procesy, niedorozwój lub niedoczynność organów...

„74 proc. nowoczesnych leków roślinnych w farmakopei zostało najpierw odkrytych przez tradycyjne społeczności. W laboratoriach przebadano mniej niż 2 proc. wszystkich gatunków roślin. Większość z pozostałych 98 proc. rośnie w lasach tropikalnych, połowa z tego w Amazonii. Bez wiedzy Indian biotechnicy byłiby skazani na ślepe wypróbowywanie medycznych własności 250 tys. gatunków roślin. (...) Zabieranie ziemi zagraża nie tylko przeżyciu Indian, ale i ich systemu osiągnięcia wiedzy. To tak, jakby ktoś palił najstarsze uniwersytety świata i ich biblioteki”.

(Jeremy Narby THE COSMIC SERPENT – Victor Gollanch, London, 1998)

Ale białka człowieka to tylko drobna część wszystkich białek występujących w przyrodzie. Po sporządzeniu ich „ludzkiego” katalogu nastąpi prawdziwe wyzwanie: spisanie ok. 50 tys. białek w dwóch milionach odmian. Większość z nich występuje w Amazonii. W jej zbiorowym ciele z udziałem białek odbywają się procesy metaboliczne – jedne genialnie proste, inne nieprawdopodobnie złożone. Lada chwila stanie się możliwe naśladowanie ich w celu przebudowy i usprawnienia roślin uprawnych, zwierząt hodowlanych i ludzkiego ciała. Pod warunkiem, że tych nadziei nie znieczy piła i siekiera.

Leki puszczy

Kolejnym bogactwem puszczy są leki. W tej niewyczerpanej aptecznej składnicy myszczą od lat ekipy producentów medykamentów, zdobywając indiańskie tajemnice. Zaczęło się od kurary, mieszaniny soku z kilkunastu roślin, gotowanej trzy doby i paraliżującej małpi system nerwowy. Kurara stosowana w minimalnych dawkach w chirurgii umożliwiła operacje płuc, a to dzięki zdolności do rozluźniania napięcia mięśniowego. Naturalnych leków na niezliczone schorzenia, czekających w liściach, kwiatach, łodygach, korzeniach i owocach, są setki tysięcy.

Wynalazki przyrody

Raczkująca dopiero, choć rozwijająca się burzliwie dziedzina to materiałowa inżynieria biomolekularna lub biomimetyczna. Początek dało jej spo-

strzeżenie, że nici pajęczce, jedwab i dwabniki, łuski chitynowe, macica perłowa to najczystszej wody chemiczne wynalazki przyrody, w dodatku nie opatentowane, a stanowiące najkrótszą i najtańszą drogę do technologii XXI w.

Opracowując włókna nylonowe, zastosowano te same wiązania chemiczne, jakie występują w białkach pajęczyny. Przy okazji stwierdzono, że kamizelka kulooodporna upleciona z pajęczyny przewyższałaby wszystkie obecnie stosowane. Technologie, które wymyślił człowiek, nie dorównują klejom wystrzeliwanym przez mrówki dla obezwładnienia wroga, nożycom chrząszczy, chemicznym systemom ostrzegania u roślin, konstrukcjom wiszących przeseł stworzonym przez liany, owadziom systemom ruchu.

DNA na twarzach Indian

Częścią lasu są też Indianie. Pijąc wywary roślinne, wchodzą oni w „odmienne stany świadomości”, które otwierają umysłowi dostęp do tzw. świadomości zbiorowej. Czym ona jest – nie wiemy, jednak liczne plemiona stosują na co dzień tę inną niż naukowa technikę poznania, która prowadzi na skróty do prawdziwej wiedzy. Już tysiąc lat temu Indianie wiedzieli, że najważniejsza dla życia struktura ukryta w ich ciałach to podwójna spirala, a podział komórek, z których zbudowane jest ciało, służy powielaniu życia. Gdyby Crick i Watson zainteresowali się malowanymi na indiańskich policzkach wizerunkami, znacznie skróciliby swą drogę do odkrycia podwójnej helisy DNA.

Amazońscy szamani, zaproszeni na Szczyt Ziemi w Rio de Janeiro w 1992 r., przekonywali lekarzy, że o sposobie leczenia dowolnej choroby dowiadują się nie przez wielopokoleniowe doświadczenia, lecz w transie, w jednej chwili. Znalazło to potwierdzenie w pracach antropologów Harnera i Narby’ego, którzy jako jedni z pierwszych dowiedli doświadczalnie na sobie, że szamańska metoda zdobywania wiedzy jest alternatywą dla poznania naukowego. Ona może być kluczem do zrozumienia istoty pamięci, myśli i umysłu ludzkiego. O ile nie przepadnie wraz z lasem i jego mieszkańcami.

MACIEJ KUCZYŃSKI

NAUKOWO

SAM SIĘ NAPRAWIA

Przełom w technologii materiałowej: wynaleziono materiał, który sam się naprawia. Polimer opracowany przez Scotta White’a, profesora inżynierii lotniczej i astronautycznej z Uniwersytetu Illinois w USA, potrafi w razie uszkodzenia regenerować się podobnie, jak ludzka skóra. Badania wykazały, że odzyskuje on 75 proc. oryginalnej wytrzymałości. Sekret materiału polega na umieszczeniu w nim setek mikroskopijnych kapsulek z cieczą regeneracyjną. Gdy materiał ulega uszkodzeniu, kapsułki uwalniają płyn, który wnika w pęknięcia, zasklepiając je i zapobiegając powstawaniu większych. Materiały samonaprawiające próbowano tworzyć już wcześniej, ale wymagały one dotąd uruchomienia procesu przez człowieka. Polimer White’a reaguje samoczynnie.

KOMPUTER JAK KARTKA

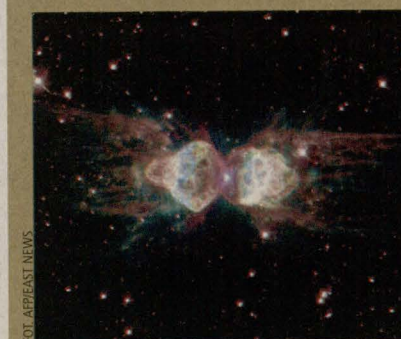
Amerykański inżynier Jim Willard zbudował komputer, który wygląda jak arkusz grubego kartonu. Nie musiał nawet niczego oryginalnego wymyślać; wykorzystał tylko istniejące technologie. Dostępne są już zarówno giętkie układy elektroniczne z mas plastycznych, bardzo płaskie baterie, jak i ekrany niewiele grubsze od papieru, zwane elektronicznym papierem. Moc obliczeniowa komputera Willarda, który można włożyć np. między kartki książki, jest porównywalna z możliwościami pierwszych pecetów. Jeśli pomysły trafi do masowej produkcji, cena jednego egzemplarza może spaść do ok. dwóch dolarów.

NICI Z KLONOWANIA

Odtworzenie wymarłych gatunków przez klonowanie, jak to przedstawia film „Park Jurański”, może się okazać niemożliwe. Naukowcy brytyjscy podjęli próbę opracowania mapy genomu dwóch ptaków – moa z Nowej Zelandii, który wyginął ok. 400 lat temu, i olbrzymiego ptaka z Madagaskaru, który wymarł 800 lat temu. W obu przypadkach stwierdzono, że kod genetyczny DNA jest zbyt uszkodzony, aby można było myśleć o klonowaniu. Odczytane fragmenty DNA pozwoliły natomiast badaczom wysnuć wniosek, że ewolucja ptaków wiąże się z rozpadem 140 mln lat temu pierwotnego kontynentu Gondwany, z którego uformowały się dzisiejsze lądy.

JAK UMRZE SŁOŃCE

Dzięki kosmicznemu teleskopowi Hubble’a możemy zobaczyć, jak będzie wyglądać śmierć Słońca. Astronomowie dają mu jeszcze 5 mld lat życia i prawdopodobnie żaden człowiek nie ujrzy jego kresu. Teleskop Hubble’a sfotografował jednak mgławicę Menzel 3,



którą tworzy gaz wypuszczany przez umierającą gwiazdę podobną do Słońca. Gwiezdny dramat rozgrywa się ok. 3 tys. lat świetlnych od Ziemi. Zdjęcie jest 10 razy dokładniejsze niż obrazy obiektu uzyskiwane teleskopami naziemnymi. (LP)



FOT. J. KASZA

FOT. APPEAST NEWS

STAREGO KRZEMU Czar

Nie musisz zakładać rozczłapanych pantofli ani unikać podejrzliwego wzroku pań pilnujących eksponatów. Tu nie pachnie kurzem i historią. I nie trzeba biletów. Jesteś w wirtualnym muzeum starych komputerów.

Komputery starzeją się szybko. Zgodnie z prawem Moore'a ich moc obliczeniowa podwaja się co 18 miesięcy. Po dwóch, trzech latach nowoczesne maszyny przemieniają się w dychawicznych staruszków. Starzeją się pięknie. Kształty i sposób obsługi niepostrzeżenie stają się ujmująco staroświeckie. I ludzie zaczynają tęsknić: za gumową klawiaturą ZX spectrum, za sławnym commodore 64 lub szczytem polskiej myśli technicznej – elwro 800 junior. Pożytku z tych urządzeń nikt już dziś

nie ma. Ale stare komputery są jak telewizor „Rubin”, rower „Wigry 3” albo pralka „Frania” – budzą nostalgię.

Na śmietniku

Wizyta w muzeum komputerów przypomina nieco spacer po cmentarzystku samochodów. Ale w przeciwieństwie do pogruchotanych pojazdów, ten sprzęt ciągle działa. Kustoszem wirtualnych zbiorów przypomina zaś o pionierskich czasach, gdy dzisiejsze eksponaty były cudami techniki, a wszędziebył dziś pecet dopiero się rodził.

Zbiory zamieszczone w serwisie o bezpretensjonalnej nazwie „Kupa złomu” – www.kupazlomu.prv.pl – są imponujące. Podzielone na dwie kategorie: starych komputerów i przedpotopowych konsol do gier. Dwieście eksponatów w dwóch grupach zależnie od producenta. Przy każdym, oprócz dokładnego omówienia, fotografia.

Znaleźć więc można mikrokomputery rzadkie, dziwne i śmieszne. Od oryginalnie polskiego meritum – 1 do klasycznego, pochodzącego z zamierzonego roku 1980 modelu ZX80, który doczekał się licznych podróbek, a jego konstruktor, Clive Sinclair – tytułu szlacheckiego. Po czym zbankrutował na produkcji elektrycznych samochodów. Jest też tajemniczy, ważący ponad 100 kg IBM 3741, wyglądający jak czołg Rudy. I czarno-biała francuska radiola, również III Rzeczypospolitej.

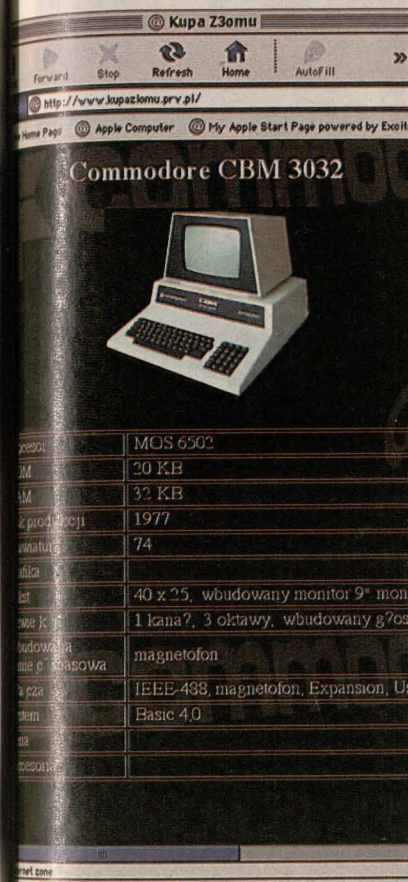
Naprawdę imponująca jest kolek-

cja serwisu o nazwie „8-bit” – rwi.pl/8bit. Przy popisującej „na starą nutę” muzyce podziwiamy 350 okazów. Wśród nich prawdziwa perła: sharp 1212. Taki sam jak ten, którego do komunikacji z centralą używał złapany w lecie 1983 r. w Bielsku-Białej szpieg CIA. Wreszcie – pierwszy IBM PC, protoplasta naszych dzisiejszych biurkowych monstrów. Cała rodzina atari, od najstarszego do najnowocześniejszego modelu 130XE. I setki innych, wyglądających jak mydelniczki albo kalkulatory.

Wszystkie te komputery można w internetowych muzeach obejrzeć, przeczytać opisy, wspominać stare lata osiemdziesiąte. Ale gdyby tak można było wrócić na chwilę, dotknąć klawiszy swego timexa czy atari? Otóż można. Wszystko jest w zasięgu ręki. Oczywiście w sieci.

Osukać procesor

Kilka lat temu programiści – weterani, którzy swoją przygodę z informatyką zaczęli dobre dwie dekady temu, zateknieli do staroświeckich maszyn z młodości. Zaczęli myśleć, jak wrócić do prymitywnych, ośmiobitowych systemów operacyjnych, do starych gier i programów użytkowych bez potrzeby wyjmowania nieporęcznych pudeł amigi albo commodore z przepastnych szaf i strychów. Wpadli na pomysł genialny w swej prostocie: należało stworzyć program, który każe procesorowi, „mózgowi” naszej maszyny, udawać inny procesor. Taka aplikacja zwie się „emulatorem”.



Od tamtej pory powstało mnóstwo programów-udawaczy. Na ekranie domowego peceta można mieć każdy komputer, jaki wyprodukowano. Od spectrum, przez atari i amstrada, do całkiem już nowoczesnego macintosha. Należy pamiętać tylko o jednej zasadzie: nasz komputer nie może być słabszy od tego, który chcemy emulować.

Nie da się ukryć, że najpopularniejsze emulatory to te, które udają amigę. Ma to swoją historyczną przyczynę. Kiedyś, gdy elektroniczne zabawki były rzadkie, użytkownicy maszyn klasy PC darzyli bezinteresowną i odwzajemnioną antypatią użytkowników amigi. Właściwie bez powodu. Ale w pewnym momencie pecety wygrały. Nie tyle dzięki jakości, co ilości. I „amigowcy” poddali się. Przenieśli się na znieawidzone IBM-y. Tylko że stara miłość nie rdzewieje – sentyment pozostał.

Właśnie do ludzi ogarniętych chwilową tęsknotą skierowana jest strona emu.pl. Dziesiątki emulatorów, stopy oprogramowania i – co ważne dla tych „opornych” – rozbudowana pomoc. Jak na profesjonalny serwis przystało,

co dzień garść nowości ze świata emulacji. Nie brak też listy dyskusyjnej. Uderza natomiast u autorów prawdziwa nostalgia: oni szczerze kochają stare komputery! I to słownictwo... Atari to zawsze już dla nich będzie „atarynka”, model amiga – „amisia”, spectrum zaś – po prostu „spektruś”. Skąd ta czułość? Czy można kochać garść starych układów scalonych w pudełku? Czy można o nich z miłością toczyć wielogodzinne dysputy?

Tęsknota za 1.0

Dziś w sieci błakają się miliony zapomnianych plików. Krążą między internautami albo leżą gdzieś na twardych dyskach. Takiemu oprogramowaniu nadano nazwę „abandonware”. Snuje się po Internecie na przykład – kto go dziś jeszcze pamięta? – Windows w wersji 1.0. Ten kompletnie nieudany koszmarek, pierwsze kolorowe dziecko Billa Gatesa. Albo tysiące starych gier. Kiedyś pochłaniały długie godziny, oszałamiały kolorami i animacjami. Teraz wywołują uśmiech politowania i rozrzewnienie. No i są jeszcze programy użytkowe, z których dzisiaj nikt nie będzie mieć pożytku.

Producenci tych staroci albo już dawno nie istnieją, zmiażdżeni przez rynkowego Goliata – firmę Microsoft, albo dawno o nich zapomnieli i odstąpili od praw autorskich. Można „abandonware” kopiować, używać, rozprzestrzeniać.

Potężny zbiór takiego oprogramowania znajdziemy na stronie www.theunderdogs.org. Posegregowany na rodzaje, lata wydania, producentów. W ten sposób można prześledzić karierę obecnych komputerowych gigantów lub ewolucję znanych, również dziś mających się dobrze, programów.

Cóż, wszystkie te „śmieci z sieci” krążą wśród internautów. Bawią, może uczą. Trudno zapomnieć, że kiedyś, gdy nie były jeszcze stare i samotne, robiły niezwykle wrażenie. A ludzie, którzy je kupowali, byli zafascynowani ówczesnymi możliwościami komputerów i programów.

Strach pomyśleć, co za 20 lat stanie się z naszymi superszybkimi dziś maszynami. I z nami.

ROMAN POLESEK



STATEK GŁUPCÓW

Kontrowersyjny film „Dogma” Kevina Smitha doczekał się strony jednej z angielskich organizacji chrześcijańskich. Nazwa daje do myślenia – „Statek głupców”. Z odpowiednio kąśliwym komentarzem pokazywane są współczesne reklamy, które

mniej lub bardziej gustownie wykorzystują symbolikę chrześcijańską w celach handlowych i komercyjnych. Uderza przede wszystkim w oczy reklama, w której piłkarz Ronaldo w pozie Chrystusa nawiązuje do słynnego posągu nad Rio de Janeiro. Do przemyslenia i gorzkiej refleksji.

<http://ship-of-fools.com/Signs/WatchingBrief>



CO GRAJĄ?

Dzięki filmowej stronie Interii możemy sprawdzić, co grają w kinach w kilkudziesięciu miastach. Do tego – opisy filmów, aktualności i zapowiedzi. Dane wedle daty, tytułu filmu, jego gatunku i miasta. Dobór miast budzi zdziwienie, ale warto

przynajmniej raz wejść na tę stronę, aby wiedzieć, czy akurat nasze rodzinne miasto zostało uwzględnione w katalogu.

<http://interia.pl/id/kina/d/www/kina/repertuar>

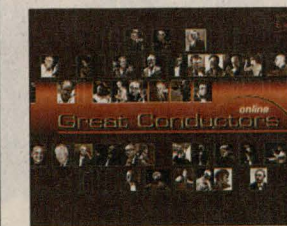


NAŁOGI BEZ AFIRMACJI

Nie idzie o bezmyślne propagowanie czy pochwałę nałogów. Twórcy wyszli z założenia, że środki zmieniające postrzeganie są ważną częścią naszej kultury i cywilizacji. W formie przejrzystej biblioteki – kluczowe teksty poświęcone

takim substancjom jak pejotl czy LSD. W dodatku – teksty nie amatorów, lecz niekwestionowanych autorytetów. Niektóre książki w całości, inne – we fragmentach. Artykuły z prasy naukowej. Wśród autorów: Aldous Huxley, Alan Watts, R. Gordon Wasson, Stanisław Grof, czy – odkrywca LSD – prof. Albert Hofmann. Te nazwiska znane są artystom, filozofom, antropologom i medykam.

www.druglibrary.com/schaffer/lsd



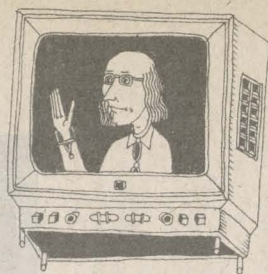
ŚMIERĆ SZTUKI

Informacje o śmierci sztuki wysokiej są przesadzone. Podważa je także znakomita i perfekcyjnie skonstruowana strona internetowa. To lista 170 najslawniejszych dyrygentów, a jak wiadomo

– to między innymi oni tworzą wielkie nagrania arcydzieł muzyki klasycznej. Ułożone alfabetycznie – nazwisko dyrygenta, potem zdjęcia, biografia, najważniejsze dokonania artystyczne. Co miesiąc specjalna sylwetka „dyrygenta miesiąca” – teraz jest nim wielki dyrygent rosyjski – Kirill Kondraszyn. Całość dostępna też na płycie CD, którą można zamówić. (JAZ)

www.greatconductors.com





Z CHARONEM PO KRAJU

Niezapomniany serial TVN „Agent”, niepozorna scenka – jedna z wielu prób, jakim poddawani byli uczestnicy „zabawy”. Żadne tam zabijanie królika. Ot, na jednym końcu uliczki małego francuskiego miasteczka – oni, gracze, na drugim ich bliscy, niewidziani od kilku tygodni. W środku prowadzący zadaje pytania. Odpowiesz, robisz krok do przodu, nie odpowiesz, krok do tyłu. Ci, co mieli pecha, mogli swoje żony (narzeczone) zobaczyć tylko z daleka, bo organizatorzy wpakowali je w samolot i odesłali z powrotem do kraju.

Dla widza cała scenka trwała trzy minuty i stanowiła swego rodzaju antrakt w wyścigu po wielką nagrodę. Dla uczestników gry mogła to być owa chwila olśnienia, w której poznali, czego się od nich oczekuje: prawdziwych łez.

W licznych ostatnio dyskusjach na temat widowisk typu „reality show” na pierwszy plan wyciąga się wątek ekshibicjonizmu. Nieśluszenie. Organizatorów całego zamieszania nie interesują ludzie ob-

PODGLĄDANIE SKRAJNYCH SYTUACJI JEST JAK KOPANIE LEŻĄCEGO.



noszący się z sekretami swego ciała i duszy, lecz ci zupełnie przeciętni, wręcz modelowi. A celem całej zabawy jest obnażenie ich prawdziwego bólu, strachu, agresji. Ich słabości.

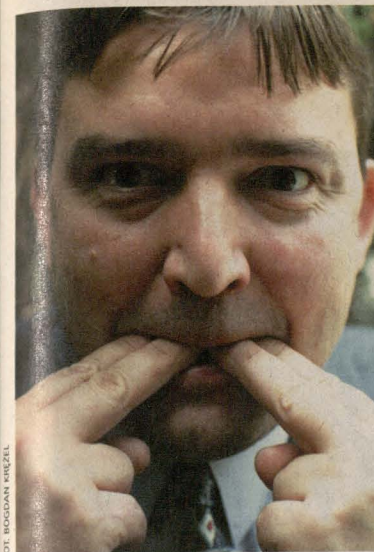
Pozornie rozrywkowa „Wyspa pokus” – najnowszy pomysł amerykańskiej telewizji Fox – zmierza dokładnie w tym samym kierunku. 26 par wdzonych jest tu na pokuszenie przez 26 bajecznych dziewcząt i tyluż chłopców. Wszystko piękne i efektowne realizacyjnie, rzecz w tym, że widzowie nie oglądają Roberta Redforda i Demi Moore w „Niemoralnej propozycji”, lecz rozpad autentycznych związków. To kręci. Telewizja jako medium zmierza dziś w kierunku pokazywania prawdziwych uczuć i prawdziwej krwi. Relacje na żywo z usuwania guza mózgu w dziecięcym szpitalu czy kamera umieszczona w karetce pogotowia gwarantują jedno i drugie. Nie widzieliśmy jeszcze śmierci na żywo, ale tylko dlatego, że w szufladach producentów leży kilka konkurencyjnych scenariuszy i trudno się zdecydować. Ale zapewne niedługo doczekamy się premiery kolejnej dokumentalnej noweli, na przykład „Z Charonem po kraju”.

Wszystkie te obecne i przyszłe próby podglądania skrajnych sytuacji mają jednak pewną, niejako naturalną, wadę. Są – przepraszam za porównanie – jak kopanie leżącego. A telewizja marzy o tym, by zanim gość upadnie, pokazać jeszcze jego uśmiech, teściową i zapis rozmów u psychoanalizy. Tak, by widowisko miało swój początek, środek i koniec.

Na pewno najbliższej tego ideału znajdziemy się wszyscy w marcu, oglądając „Big Brothera” w TVN i „Dwa Światy” w Polsacie. Ten drugi program wniesie do ogranej już w Europie formuły świeży, polski element w postaci zsyłania któregoś z uczestników do gorszego kontenera (oczywiście na życzenie PT Publiczności). Będzie więc coś z atmosfery tej cichej uliczki, gdzieś we Francji. Ta podkreślająca widzów świadomość, że oto na naszych oczach (i pośrednio za naszą sprawą) coś komuś odebrano (a już był w ogródku...), i to naprawdę. Jest więc na tym świecie jakaś sprawiedliwość!

Choć ły będą prawdziwe, to jednak szło – co tu ukrywać – grubymi nićmi szyty. Prawdziwy show nie zacznie się nawet wtedy, gdy w kolejnym okablowanym kontenerze zamknie się 26 niedoszłych samobójców, a publiczność w systemie audiotele będzie obstawiać, któremu pierwszemu się uda (i kto mu w tym powinien pomóc). Na swoich braci Lumière czeka zupełnie nowa telewizja, która znajdzie wreszcie formułę, by pokazać – bez picu – kawałek prawdziwego życia. By ten Kowalski zza ściany, co mi tak działa na nerwy, po włączeniu odbiornika zobaczył coś, co go naprawdę przestraszy: siebie. Innego końca świata nie będzie...

WŁAJER



PAWEŁ ZARZECZNY

Z-ca red. naczelnego „Przeglądu Sportowego” i „Tempa”, komentator Canal+

Burza w szklance wody

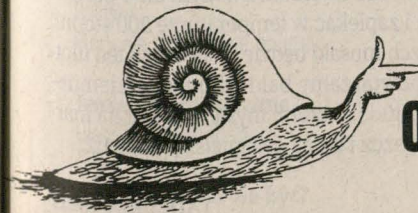
Od kiedy Adam Małysz stał się dobrem narodowym – zaczął się składać wyłącznie z samych plusów.

Przekonałem się o tym najbardziej po pierwszym konkursie o mistrzostwo świata na dużej skoczni w Lahti. Stuprocentowy faworyt Adam Małysz był drugi. Wygrał Niemiec, Martin Schmitt. Ten sam, którego w Harrachowie witał słynny transparent: „Schmitt! Ty parówko!”. O co idzie? Redagując narciarską kolumnę „Przeglądu Sportowego”, w którym pracuję, pomieściłem na niej ciekawą – moim zdaniem – infografikę. Miała hasło „Zawiedzione nadzieje Polaków”. Składała się z sylwetek znanych polskich ludzi sportu, którzy mieli coś ważnego wygrać, a nie wygrali. Górski w Montrealu (też srebrny, jak Małysz, a przecież odszedł), Gmoch w Argentynie, Szewińska w Moskwie, Gołota (against Tyson) w Detroit.

Co tu dużo opowiadać? Żadnego kłamstwa w tym zestawieniu nie było. No ale... zaczęło się. Najpierw oburzyli się kibice – telefonując – jak można tak źle o Małysz? Nic to, że tekst był o zawiedzionych nadziejach, a nie o skoczku, który zawiódł. I nic to, że złota chciał każdy z nas. Adama dotykać nie wolno, a już Boże broń porównywać z Gołotą! I nikt już jakby nie pamiętał, że ten sam Gołota ścisnął niedawno dłoń naszego prezydenta, walczył o zawodowe mistrzostwo świata w boksie wagi

ciężkiej i trzymał – tak jak Małysz – pół Polski przed telewizorami, do tego w środku nocy. Kibic polski najbardziej lubi pomniki. Szybko się okazało, bo po paru godzinach, że pomniki lubi także telewizja publiczna. Byle nie były to pomniki Lecha Wałęsy lub Mariana Krzaklewskiego (niepotrzebne skreślić). Naprawdę zmontowano wielgachną polemikę z „pewną gazetą” (to o „Przeglądzie Sportowym”), że tak nie wolno, że Małysz nie zawiódł, że nasz skoczek to nie pralka i tym podobne dyrdymały. A w ogóle to Adam wszystkim jeszcze pokaże, co potrafi. Ja mu tego życzę, zwłaszcza za rok, na igrzyskach w Salt Lake City. Ale na razie przestrzegam, by uważał na klakierów, a starał się szukać opinii innych, bo zwykle to one są prawdziwsze. Bo drugi to drugi, a nie pierwszy. I jak wszyscy czekają na złoto, to niech nie udają, że lubią srebro. W ogóle Małysz musi uważać. Bo kiedy znów przegra, a kiedyś to nastąpi, ci sami roześmiani kibice zrobią z nim to, co z Gołotą. Odmówią miejsca nie tylko w sportowym panteonie, ale nawet w małej ramce, obok jakiegoś nowego idola w zwykłej wtorkowej gazecie.

Niech Adam uważa,
bo gdy kiedyś przegra,
ci sami roześmiani kibice
odmówią mu miejsca
w sportowym panteonie.



Biuro Podróży **JORDAN**

ZAPRASZA
DO
KORZYSTANIA
Z NOWEJ, KONCESJONOWANEJ
LINII
AUTOKAROWEJ



KRAKÓW
-WIEDEŃ
-LINZ
-SALZBURG

Wyjazdy z Krakowa w piątki o godz. 20.00

Wyjazdy z Salzburga w soboty o godz. 16.00

UWAGA!

Możliwość połączeń z Wrocławia, Katowic, Tarnowa, Rzeszowa z przesiadką w Wiedniu.

INFORMACJE I SPRZEDAŻ BILETÓW M.I.N.:

KRAKÓW, ul. Sławkowska 12,
tel. /012/ 422 20 33,
w godz. 10.00 - 18.00

WIEDEŃ, Sudbahnhof - kiosk biletowy,
tel. 01/ 796 85 52 12,
w godz. 17.00 - 21.00

SALZBURG, Rudolf Biebl Str. 43
tel. 0662/42 10 84,
pon., sr., pt. w godz. 12.00 - 17.00
wt., czw. w godz. 17.00 - 20.00

Ponadto polecamy przejazdy do:

Austrii (Wiedeń)
Belgii (Liege, Charleroi, Bruksela, Antwerpia, Genk)
Holandii (Hengelo, Utrecht, Amsterdam, Haga, Rotterdam Breda)
Włoch (Mestre, Wenecja, Verona, Bolonia, Brescia, Mediolan, Genua, Turyn, Rzym, Florencja, Neapol, S. Giuseppe)
i na **Węgry** (Budapest, Vač)

CAŁOROCZNE CHATKI GÓRALSKIE

Zakopane
Kościelisko-Kąty
(u wylotu Doliny Kościeliskiej)

Chatki 2 - 6 osobowe
Cena od: 60 zł/chatka/noc

Rezerwacje: Biuro **JORDAN**
tel. (012) 421 53 13, 429 36 01
turystyka@jordan.krakow.pl



TADEUSZ PIÓRO

Rocznik 1960. Poeta, tłumacz, smakosz. Autor książek poetyckich i pysznych dań.

Śródziemnomorska złuda

Myślę o złocistym baldachimie na bakłazanie, patrząc na marznący deszcz i poranną gołodędź.



RYS. PIOTR GIDLEWSKI

Cywilizacja, za której spadkobierców lubimy uchodzić zwłaszcza zimą, poza krzepiącymi złudzeniami dała nam wiele wspaniałych potraw. Wśród nich kilkadziesiąt sposobów przyrządzania bakłazanów, które można znaleźć w prawie każdym zieleniaku.

Przed nabyciem radzę starannie je obejrzeć i obmacać. Bakłazan powinien mieć błyszczącą, gładką skórę, bez bruzd, odprysków czy innych powierzchniowych deformacji i odbarwień. Musi być twardy, to znaczy, nie ulegać naciskowi dłoni bardziej niż na milimetr do dwóch. Wielkość i kształt nie są związane z jakością jarzyny. Kiedy pewnego razu kupowałem bakłazany na małym bazarku w Warszawie, sprzedawczyni zapytała, co z nimi robię. – A ile ma pani czasu – odparłem. – Bo można z nimi robić prawie wszystko.

Na przykład usmażyć w panierce. Pokroić na centymetrowe plastry (nie obierając bakłazana ze skóry), zanurzyć w rozbełtanym i posolonym jajku, obtoczyć w tartej bułce, smażyć w oleju, aż będą rumiane z obu stron, odsączyć z tłuszczu na papierowych ręcznikach i podawać z ćwiartką cytryny, listkiem bazylii, sosem cacyki oraz makaronem z sosem pomidorowym.

Oto wariacja na temat cacyki: ugnieść kilka łyżek owczego sera (fety lub podobnego) z naturalnym jogurtem, do tego dodać drobno posiekanego wypestkowanego ogórka i drobnutko posiekany ząbek czosnku.

Bakłazana nakłuć w kilku miejscach nożem i w powstałe szparki wcisnąć plasterki czosnku. Piec w gorącym piekarniku, aż będzie całkiem miękki. Kiedy ostygnie, obrać ze skóry, zachowując czosnek. Miąższ grubo posiekać i włożyć do robota kuchennego razem z czosnkiem, kilkoma łyżkami naturalnego jogurtu, solą i łyżeczką soku z cytryny. Zawirować, rozdrobnić, zhomogenizować. Dorzucić garść świeżych ziół (pietruszki, kolendry, oregano) i podawać jako pastę do pieczywa, krakersów lub warzyw pokrojonych w słupki (na przykład marchwi, selera naciowego czy białej rzodkwi).

Pamiętam z dzieciństwa małą knajpkę w Atenach, gdzie gości zapraszano do kuchni, aby mogli obejrzeć, co jest w garnkach i zamiast zwracać głowę kelnerowi pytaniami o charakter każdej potrawy w karcie, wskazać na ten lub inny kociołek. Tam po raz pierwszy jadłem musakę, zapiekan-

kę z bakłazanów, ziemniaków, mielonego mięsa z grzybami i pomidorami, pokrytą złocistym baldachimem z jogurtu, jaj i owczego sera.

Pomimo licznych prób i lektury wielu fachowych dzieł, nigdy nie udało mi się odtworzyć takiego zwieńczenia. Lecz nawet bez niego musaka jest jedną z najsmaczniejszych potraw basenu upragnionego przez nas morza. Najlepiej przyrządzać ją z baraniny, a szczególnie – z pozostałości po pieczonym, baraninym udźcu. Lecz ujdzie nawet mięso mielone, baranie lub wołowe, podsmażone z cebulą, a następnie połączone z pieczarkami i rozpuszczonym w wodzie koncentratem pomidorowym. Potrzebny będzie także bakłazan pokrojony w centymetrowe lub cieńsze plastry, obtoczony w mące i usmażony w oleju oraz pokrojone w plastry, ugotowane ziemniaki.

Naczynie żaroodporne wysmarować masłem, wyłożyć jego dno ziemniakami i bakłazanami, przykryć je mięsem z grzybami, tę zaś warstwę musaki przykryć pozostałymi plasterkami ziemniaków i bakłazaną. Posypać serem (twardym lub miękkim owczym albo parmezanem) i zapiekać w temperaturze 200 stopni, aż wierzch musaki będzie złocisty jak ten ulotny, niepowtarzalny baldachim, śródziemnomorska złuda, o której myślę, patrząc na marznący deszcz i coraz groźniejszą gołodędź.

TADEUSZ PIÓRO

Prof. dr hab.

ZBIGNIEW LEW-STAROWICZ

Specjalista z zakresu psychiatrii i seksuologii.

Kierownik Katedry Społecznych Podstaw Rehabilitacji

i Rozwoju Psychoterapii AWF w Warszawie.

Wykłada również w warszawskiej Wyższej Szkole

Społeczno-Ekonomicznej. Autor wielu prac z psychiatrii

i seksuologii. Ekspert międzynarodowych

i polskich instytucji oraz organizacji.



FOT. IGOR OMILECKI

Ulegam NAMIĘTNOŚCIOM

Co tutaj robisz?

Jako Ziemiannin – robię to, co inni.

Najbardziej niedoceniona z Twoich zalet?

Łagodność.

Pokusa nie do odparcia?

Kobieta.

Co sprawia, że życie jest wyjątkowe?

Zmienność.

Gdybyś był psem, kogo byś ugryzł?

Polityka, który nie dotrzymuje obietnic.

Twoje grzechy główne?

Ulegam namiętnościom.

Czego powinno nie być?

Agresji.

Gdybyś był zegarkiem, na której godzinie byś się zatrzymał?

Północ.

Czego masz za dużo?

Różnych prac.

Pierwsze największe marzenie?

Przez jeden tydzień nic nie robić.

Najbardziej staram się.

Pomóc swoim pacjentom.

Co odróżnia człowieka?

Niepowtarzalna osobowość.

Ostatnia tęsknota?

Szybka rekonwalescencja.

Bez czego nie możesz zasnąć?

Bez lektury.

Wyjątek czy reguła?

Reguła.

Na co liczysz?

Na spokojnie życie w wieku emerytalnym.

Kiedy jestem sam...

...wypoczywam.

Za co zapłaciłbyś każdą cenę?

Za zdrowie bliskiej osoby.

Co podpowiadają ci złe siły?

Chęć zemsty.

Twój najbardziej zaniedbany talent?

Obce języki.

Jak chciałbyś być zapamiętany?

Jako użyteczny dla innych.

Co nowego?

Pomysł na książkę.

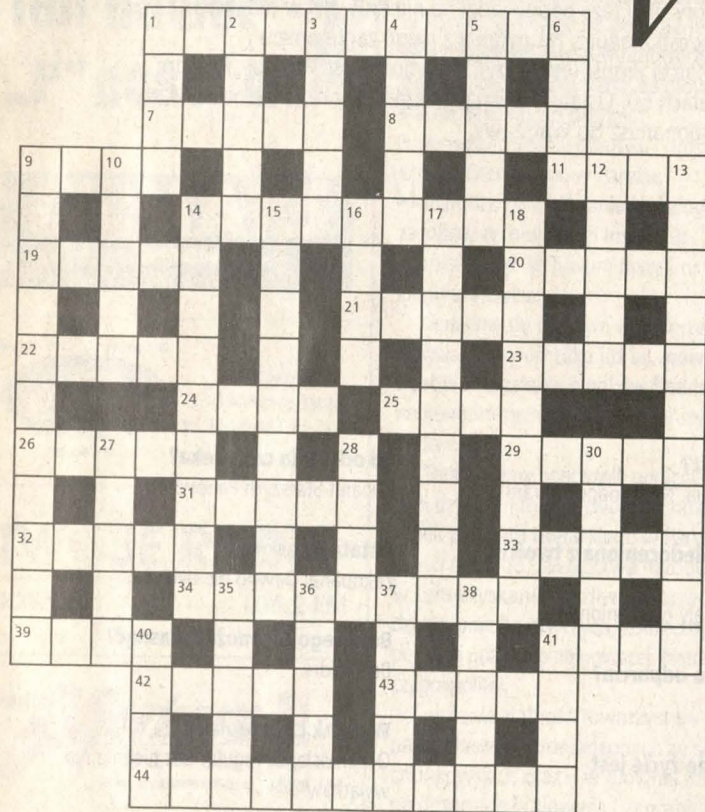
Pytania, na które odpowiedział prof. dr hab. ZBIGNIEW LEW-STAROWICZ, od dawna krążyły wśród bywalców. Trzy razy odpowiadał na nie Prus. Był w redakcji jeszcze inny kwestionariusz. Na pytania z niego zaczerpnięte odpowiadał Marcel Proust (dwa razy). Kwestionariusz Prousta „Przekrój” drukował w latach 60. Ostatnio zniknął z biurka redaktora Kerna. Ktoś wywiózł kwestionariusz do Warszawy.

krzyżówka

z Wydawnictwem

nr 1

Videograf II



Znany astrolog i autor bestsellerów próbuje w swojej pasjonującej książce określić, co czeka świat po roku 2000. Przedstawiając sylwetki najsłynniejszych wizjonerów i ich najbardziej spektakularne przepowiednie, stara się odpowiedzieć na pytania, jakie nasuwają się w momencie przełomu tysiącleci: czy grozi nam III wojna światowa albo zagłada nuklearna, jakie zagrożenie stanowi dla nas kosmos, ekspansja islamu czy rozwój genetyki, jakie niebezpieczeństwa czyhają na nas ze strony przyrody, a jakie drzemią w nas samych.

Kurt Allgeier, Proroctwa na trzecie tysiąclecie. Videograf II, 40-153 Katowice, Al. W. Korfańskiego 191, tel/fax 0 32 203 65 59 (60)

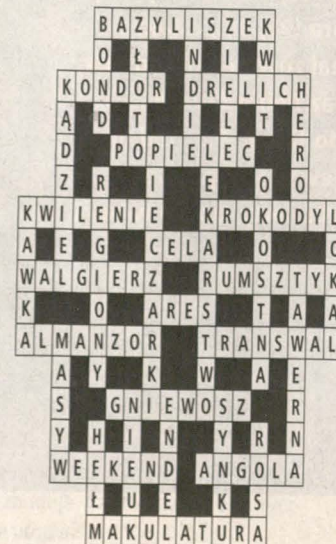
POZIOMO:

1. mizerotka
7. do opiekana
8. kpiarz bez granic
9. podaj!
11. tu się ręka zgina
14. szlifierka
19. turyński
20. twój czar i powab
21. składacz już za Gutenberga
22. najważniejszy w twoim samochodzie oprócz ciebie
23. ptysiopodobny
24. rozbity – symbolem naszych czasów
25. powtarzający się pewien odcinek czasu
26. składa się z liter
29. słowo nieprzetłumaczalne
31. na kraterze nie rośnie
32. koralowe wyspy
33. siedem z tańca Salome
34. kompozytor, w kalendarzu 1 I
39. wskazuje, nakazuje, informuje
41. inkluz Zapołskiej
42. ostatni Mohikanin
43. libacja nie tylko u Kaliguli
44. danie sobie spokoju ze sprawą

PIONOWO:

1. o co powinna dbać każda kobieta
2. oddany bez reszty Ligii
3. kra się spiętrzyła
4. działanie
5. atrofia
6. z niego kaloryferowe ciepło
9. obszarpaniec
10. umył ręce
12. skandynawski duszek
13. siłę podmuchów Eola wykaże
14. śląski Janosik
15. zaokienny miernik ze skalą
16. na spodzie statku
17. fundator znanej biblioteki poznańskiej
18. drugie imię Marka, wykształconego wodza Rzymian
27. codzienna... życia
28. mama Apollina i Artemidy
30. Abraham złożył go w ofierze
35. lasso
36. uganiają się za kłębami
37. Michał Anioł
38. świadczył się swoimi dziećmi
40. do ścierania
41. balowe pomieszczenia

Rozwiązanie krzyżówki nr 51/2895



● **Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie krzyżówki do niedzieli 14 stycznia (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć nagród książkowych ufundowanych przez Wydawnictwo Videograf II.** Nasz adres: PRZEKRÓJ, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Krzyżówka 1”.

● **Za poprawne rozwiązanie krzyżówki z „P” 50/2984 – pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez POLLENĘ EWĘ SA – wylosowali:** Włodzimierz Augustyńczyk, Łódź; Halina Klecz, Poznań; Wanda Chmielewska, Gorzów Wlkp.; Michalina Gardas, Bielsko-Biała; Stanisław Porwisz, Dzikowiec-Dębówka. Gratulujemy!

jolka nr 1



1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17



AUTOR: JERZY BUŁECKI

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Dla ułatwienia ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

B15 - Ł1 - J6 - C5 - Ł17 / G11 - I3 - K11 - C11 - G4 - Ł9 - F1 - A11 / F14 - K5 - Ł15 - A1 - E11 / C7 - J14 - B8 - A10 - H5 - G17 - A3 - C4 - L12 / D6 - K14 - A13 - C2 - Ł3 - I13 - E1 - E8 - L14 / Ł5 - F13 - H17 / K17 - B4 - I11 - K4 - C16 - J10.

Wyrazy 12-literowe:

• ją tam • słabo ubrane zapewnienie • szczególnie przypadek przypadku • to nie tylko Kara-Kum

jamie ustnej • stąpanie po ziemi • zrzesa szufladki • wartość, która przynosi wartość

Wyrazy 9-literowe:

• linia nie do dotarcia • w niej – bywa – sprawy toną

Wyrazy 6-literowe:

• równa burze • guma zwana traktorem • najważniejszy obok ekspresu poranny sprzęt agd • bezbronny wobec brony

Wyrazy 8-literowe:

• sąsiad topatki • błękitnieje wiosną • ofiara losu • przyda się tam, gdzie dwóch się bije • 0:0 • „świadczenia” przysługujące buntownikom

Wyrazy 5-literowe:

• pepeż z tyka • wędrowną postać śniegu • głodny kawałek (muzyczny) • PLN • na samotność w beczie uskarżać się nie może • kolektywna wersja wodzireja

Wyrazy 7-literowe:

• działanie na rzecz działania • różowi się

Wyrazy 4-literowe:

• ten wyżej • zlecać katu

● Rozwiązanie „Jolki” z nru 51/2895:

A TUŚ MI, PANIE MOTYLU! (Gustaw w IV cz. „Dziadów”).

Rzędami: dżentelmen, sółka, uprzejmości, umizgi, kwadratura, apologia, fokstrot, imitator, wicemiss, chłodzenie, grawer, kuśnierstwo, strąk, żardyniera.

Kolumnami: dziurawiec, haust, naczelstwo, drink, etui, kilometr, murawa, Wiktor, niezdrowie, go-dy, sumka, totumfacki, kocur, autostrada.

● **Za poprawne rozwiązanie Jolki z „P” 50/2894 – pięć upominków ufundowanych przez redakcję „Przekroju” wylosowali:** Anna Pisarczyk, Suchy Dwór; Eugeniusz Tęmka, Leśna; Danu-ta Śliwa, Katowice; Józef Zydorczak, Świnoujście; Halina Wierzbicka, Sochaczew. Gratulujemy!

Matura?

Egzamin na studia?

Zdał bo czytał!

JĘZYK POLSKI
MATURA 2001

PRZEZ
epoki

szkoła - studia - edukacja - kariera

L i d e r
PRZYSZŁOŚCI

Cogito

**dobra edukacyjna
prasa młodzieżowa**

Gender Studies, czyli teoria płci kulturowej w polskim kinie popularnym

W angielskim istnieje rozróżnienie pomiędzy sex – płcią biologiczną i gender – płcią kulturową. Sex – czyli to, jakiej jesteś płci. Gender – czyli, jak tę płć kształtuje kultura. Często tymi tematami zajmuje się zachodnioeuropejskie i amerykańskie kino popularne.

I w Polsce mamy kino popularne, i reżyserzy nasi też mają swoje przemyslenia, którymi się z nami dzielą. Na przykład teoria gender popularnego reżysera Pasikowskiego da się bez straty streścić w tym, że wszystkie kobiety to dziwki. Cóż, kupujemy nietań bilet, zasiadamy w sali kinowej i oglądamy jak twarde, jakby w erekcji całego organizmu, rozwalają innych facetów i pogardzają kobietami-dziwkami, ponieważ one zazwyczaj odchodzą od pełnych gorzkiej wiedzy bohaterów i idą do innych (też zresztą pełnych tej samej gorzkiej wiedzy). Nie potrafią kochać te suki jak wierne psy.

Może ci faceci i ich gorzka wiedza im się myli, a może im wszystko jedno, kto je nazwie dupą, a może sobie roją, że nie są dupą? Z punktu widzenia tych facetów najidealniej byłoby tak: on, straceniec romantyczny, idzie załatwić innych, a dziwka, onanizując się z jego wizerunkiem pod powiekami, powtarza: „całą dupą kocham pana Berettę (Linda) i za nic nie będę dupą pana Browninga (Kondrat)”.

**Ślesicki,
w przeciwieństwie
do Pasikowskiego,
nie uważa,
że kobiety
współzawodniczą
o facetów.
One współpracują
przeciwko
facetom.**



FOT. BOGDAN KRZYZEL

Taką dupę panowie lubią i mówią do niej, mniej niż zazwyczaj mamrocząc przez drętwe wargi, które trzymają tak, jakby były poparzone: „Co, dupencjo, chciałyś wydać trochę kasy, którą zdobyłem, ryzykując życiem, bo myślisz, dupo głupia, że kasa rośnie na klombie? Ale masz, dupo, kup sobie coś seksownego na dupę”.

Tak, ale taki szczęśliwy scenariusz nigdy się nie spełnia i dziwka zawsze odchodzi. Bo z definicji jest zdradliwa. Poza tym, co pokazał pan Pasikowski w swoim obrazie z życia młodzieży, pt. „Słodko-gorzki”, dupy już od wczesnej młodości zaprawiają się w zwalczaniu innych dup, konkurując ze sobą o cyniczno-romantycznych facetów. U facetów bowiem cynizm skrywa wrażliwość, którą wyraża się, opłakując swoich zabitych kolegów, powiedzmy tak: „Gnije, gnojek, w trumnie”.

Duża powściągliwość uczuć, ale jednak rozumiemy, że jest to głos wrażliwości. Kobieta nie powie o koleżance: „Gnije, dupa, w grobie”, tylko tak: „Umarła”. Albo: „Ela nie żyje” (chlip, chlip).

Ale przedyskutujmy inną polską teorię genderową, wyłożoną przez pana Ślesickiego w filmie „Tato”. Film był bardzo popularny. I słusznie. Bo reżyser Ślesicki, w przeciwieństwie do Pasikowskiego, nie uważa, że kobiety współzawodniczą o facetów. Odwrotnie, u niego kobiety współpracują ze sobą przeciwko facetom, a każda obżarła się szaleju. (Kurczę, jakie to jednak bogactwo teoretycznej myśli genderowej w tym polskim kinie!) Więc żona bohatera (Linda) po prostu obżarła się szaleju i ma cyklofrenię. Kolejne obżarte szalejem to teściowa Lindy, policjantki, pracownice społeczne, sędziny i w ogóle cały ten matriarchat. Tato wbrew nim sam wychowuje córeczkę.

A jaka ona słodka! Siedmioletnie dziecko, które za kieszonkowe kupiło książkę kucharską i robi chińskie jedzenie dla taty! Bo ma go za co kochać. Kiedy źle się sprawuje, tato rzuca pedagogicznie: „Jesteś zupełnie jak twoja matka, która myślała, że forsa rośnie na drzewie, a jak szedłem do roboty zarobić, to dostawała histerii” (nie wspomniał, chytrus, że po robocie szedł do Ziuty). Wraz z kolegą Cezarym zgadzają się – w obecności dziewczynki – że kobiety to „chory gatunek”. A kiedy dziewczynka przychodzi do taty, prosząc żeby wyrzucił śmieci, zrobił jej obiad i porozmawiał, tata daje jej do zrozumienia, że nie są to sensowne prośby. Więc owa wiceżona swojego taty już wie, że nie należy prosić go o zaspokojenie swoich potrzeb, tylko zabrać się za zaspokajanie jego potrzeb. Dziecko tak podbudowane przez rodzica w swojej tożsamości w dorosłym życiu zapewne może tylko dołączyć do kategorii dup i przejść do galerii postaci kobiecych z filmów reżysera Pasikowskiego. Tak się tworzy obieg zamknięty myśli gender w popularnym kinie polskim.

BOŻENA KEFF
Poetka, eseistka, krytyczka filmowa. Absolwentka filozofii i filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Napisała doktorat z zakresu kulturowej tożsamości płci (gender).



Z okazji 55-lecia Państwowego Instytutu Wydawniczego przypominamy Państwu jedną z najpopularniejszych, najbardziej poczytnych serii:

Bibliotekę Myśli Współczesnej



**Seria
obchodzi właśnie
swoje 30-lecie.
Zainicjowana pod
koniec lat 60.,
liczy już ponad
300 tytułów!**

Popularyzuje wiedzę
z wielu dziedzin:

**antropologii, filozofii,
socjologii, biologii, fizyki,
historii itd.**

Przybliża czytelnikowi najnowsze osiągnięcia naukowe, ale zawiera także pozycje należące dziś do klasyki. Wśród autorów znajdują się m.in.: **Zygmunt Bauman, Ruth Benedict, Erich Fromm, Ernest Gellner, Antoni Hoffman, François Jacob, Karl Jaspers, Claude Lévi-Stauss, Konrad Lorenz, Jurij Łotman, Krzysztof Michalski, Peter Singer, Michał Tempczyk, Alvin Toffler.**

Seria jest łatwo rozpoznawalna – autorem szaty graficznej jest znakomity artysta plastyk – Maciej Urbaniec.

Pełną bibliografię Biblioteki Myśli Współczesnej znajdą Państwo na stronie internetowej **www.piw@piw.pl**

Zapraszamy do naszej księgarni wirtualnej, gdzie nasze książki są aż 25% tańsze. Równie wysoki rabat otrzymują członkowie Klubu Dobrej Książki PIW: **Foksal 17, 00-372 Warszawa. Zapraszamy!**



PROSIMY NIE POWTARZĄĆ

Stanowczo za bardzo pobała się uczonym. Najteższe światowe łepetyny przez 10 lat liczyły i liczyły te geny i okazało się w końcu, że pomyliły się o głupie 70 czy 90 tysięcy. Był kasjer za takie coś idzie siedzieć.

O WACUSIU

- Ta twoja przyjaciółka Julcia - powiedziała Falczak do Falczakowej - to wyjątkowo szpetna istota.
- Sliczna nie jest - przyznała Falczakowa. - Ale wewnętrznie to jest samo piękno.
- To dlaczego się nie przelicuje?

NIEPOTRZEBNA KULPA

Jak się nie ma nic do powiedzenia, to się głędzi. Również w druku. Oto przykład głośnienia w wykonaniu Magdaleny Rubaj w numerze 29 „Życia”:

Przyznał się. Biję się w piersi. Nie wierzyłam. Nie wierzyłam, że polscy skoczki nie narciarzy potrafią wygrać. Nie wierzyłam w Małysz.

Taka niewiara, to oczywiście błąd, ale po co od razu się bić? Szkoda cyrusczków.

(Nadstąpił: J. Brodacki)

Na placu, gdzie stoi pomnik Władysława Jagiełły, toczyła się niegdyś wielka bitwa, zwana pod Grunwaldem.

* Mickiewicz opiewał Emilię Plater jako pułkownika-dziewicę.

* Lassie uciekła za pomocą otwartej bramy.

* Doktor Judym zerwał z Joasią, bo postanowił oddać się robotnikom.

* HUMOR ZESZYTÓW nadesłali: A. Kozarzewski z Pułtusk, M. Trachimowicz z Ostrowa Wielkopolskiego, E. Soloduch z Wrocławia i E. Biela z Myślenic. Dziękujemy.

GŹBYC NIEORTODOCZNE

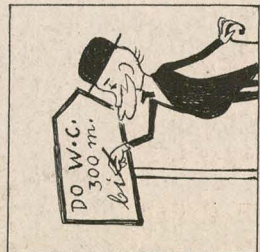
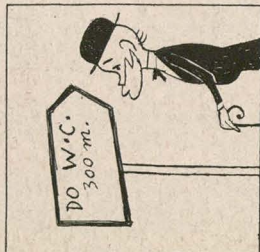
Ogłoszenie z nr 104 „Kontakt”:

Sprzedam w całości 2 kg świeżych suszonych grzybów...

Albo one są świeże, albo suszone, a poza tym ta ich świeżość dość podejrzanie pachnie.

(Nadstąpił: E. Biela)

FILUTER



100-1000

Punch



100-1000

- Pan i pani Richardson z prawdziwą przyjemnością zawiadamiają, że ich małżeństwo uległo rozbiciu.

MAGIA NAGRÓD

„Tygodnik Pułtusk” (nr 2) zachęca do udziału w zawodach sportowych:

Zdobycia pierwszego miejsca w turnieju drużynowym otrzyma puchar. Pozostałe nagrody otrzymają dyplomy. Zdobywcy trzech pierwszych miejsc w turnieju indywidualnym wyróżnieni zostaną dyplomem.

Bardziej precyzyjnie nikt na świecie tego wyrazić nie potrafi.

(Nadstąpił: A. Kozarzewski)

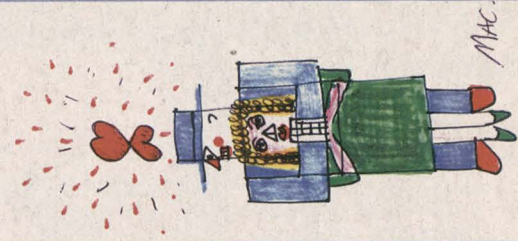
ONA DO NIEGO PORZUCONEGO

Pierzcham -
Pierz sam!

(Jan Sztaudynger)



Rys. Adam MACEDOŃSKI



- Nareszcie nasze serca się spotkały!

Ludwik Jerzy Kern

Z cyklu: Imiona nadwiślańskie

PELAGIA

Spotkałem w życiu tylko jedną Pelagie. Ta Pelagia Uwielbiała czarną magię Noc lubią, A w nocy księżyc oblicze. I w ogóle wszystko to, Co nieziemskie, Zagadkowe, I tajemnicze.

Na ludzi wcale nie zwracała uwagi, Oni istnieli tylko w taliach, W kartach Pelagii.

Byli królem, Waletem

Lub damą -

Czy aby inne Pelagie Nie postępują tak samo?

Nie wiem. Podają to tylko w formie cynku.



Czy to są brednie,

Czy nie brednie,

Trzeba by zrobić studia odpowiednie,

Co będzie zresztą trudne,

Z powodu Małej ilości Pelagii na rynku.

O WACUSIU

- Jeśli chcesz się żenić - poinstruował Falczak syna - to pamiętaj, że ta twoja wybranka powinna być albo tak piękna, żebyś ją wziął nawet w jednej koszuli, albo tak bogata, żeby sobie mogła pozwolić na bycie brzydka.

TANIA TINA

„Super Nowości” z 2 stycznia zajęły się finansami Tiny Turner w ubiegłym roku

...zyski 61-letniej piosenkarki wyniosły łącznie 80,2 tys. dolarów.

Gazeta wyjaśnia następnie, skąd te dolary się wzięły:

...artystka wykonała 95 koncertów w 88 miastach w USA, Kanadzie i Europie.

Trzeba przyznać, że dużo babcia nie brała za jeden koncert. Parę set dolarów zaledwie. Co to jest za tyle miotania się babuni po scenie.

(Nadstąpił: H. Korsak)